



RAYMOND  
CHANDLER

*Playback*



"RAYMOND CHANDLER IS A MASTER" —THE NEW YORK TIMES

Tytuł oryginału angielskiego      *Playback*

*Raymond Chandler* 1958

By ESKEŁ

1

Głos w słuchawce brzmiał ostro i ponagląco, ale nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Trochę dlatego, że jeszcze nie całkiem się rozbudziłem, a poza tym trzymałem słuchawkę do góry nogami. Odwróciłem ją i odchrząknąłem.

— Słyszysz mnie pan? Mówi Clyde Umney, mecenas Clyde Umney.

Mecenas Clyde Umney. Jakbym znał co najmniej tuzin Clyde Umneyów.

— Czy to Marlowe?

— No, chyba raczej tak. — Spojrzałem na zegarek. Było pół do siódmej. To nie jest moja ulubiona godzina.

— Nie żartuj sobie, młody człowieku.

— Przepraszam, panie Umney. Nie jestem młodym człowiekiem. Jestem stary, zmęczony i jeszcze nie piłem dziś kawy. Czym mogę panu służyć?

— Chcę, żeby wyszedł pan na ekspres Super Chief o ósmej, zidentyfikował wśród pasażerów pewną dziewczynę, śledził ją dopóki się gdzieś nie zatrzyma, i zameldował mi o tym. Jasne?

— Nie.

— Jak to nie? – warknął.

— Za mało wiem o sprawie, żeby ją przyjąć.

— Jestem mecenas Clyde Um...

— Wystarczy! — przerwałem. — Bo zacznę krzyczeć. Proszę o fakty. Albo może poszuka pan sobie innego detektywa? Ja nigdy nie pracowałem dla FBI.

— Aha, za pół godziny będzie u pana w biurze moja sekretarka, panna Vermilyea. Przekaze panu wszystkie niezbędne dane. To bardzo operatywna osoba. Mam nadzieję, że pan też.

— Bardziej operatywny jestem po śniadaniu. Niech raczej przyjedzie tutaj.

— Gdzie tutaj?

Podąłem mu swój adres na Yucca Avenue i wytłumaczyłem, jak dojechać.

— Dobrze — zgodził się niechętnie. — Ale żebyśmy się właściwie zrozumieli: dziewczyna ma nie wiedzieć, że jest śledzona. To bardzo ważne. Wykonuję zlecenie bardzo wpływowej firmy adwokackiej z Waszyngtonu. Panna Vermilyea przekaze panu pieniądze na bieżące wydatki i 250 dolarów zaliczki. Spodziewam się od pana dużej operatywności. To wszystko. Szkoda czasu na gadanie.

— Zrobię, co będę mógł, panie Umney.

Odłożył słuchawkę. Wygrzebałem się z łóżka, wziąłem prysznic, ogoliłem się i dopijałem właśnie trzecią kawę, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

— Jestem Vermilyea, sekretarka pana Umneya — oświadczyła raczej chłodnym tonem.

— Bardzo proszę.

Całkiem niezła. Miała na sobie biały płaszcz przeciwdeszczowy z paskiem, wysokie botki tego samego koloru, w ręku składaną plastikową parasolkę. Była z gołą głową. Platynowa blondynka o szaroniebieskich oczach, którymi patrzyła na mnie tak, jakbym użył brzydkiego wyrazu. Pomogłem jej zdjąć płaszcz. Pachniała bardzo przyjemnie. O ile mogłem zauważyć, miała też parę nóg, na które patrzyło się bez bólu. Nosila cienkie jak mgła pończochy. Przyglądałem się im chyba dość natrętnie, zwłaszcza gdy założyła nogę na nogę i wyciągnawszy papierosa czekała na ogień.

— Christian Dior — rzuciła, bez trudu czytając w moich myślach. — Nigdy nie noszę nic innego. Proszę o ogień.

— Widzę, że dzisiaj ma pani na sobie o wiele więcej — zauważyłem, strzelając zapalniczką.

— Nie przepadam za przystawianiem się o tak wczesnej porze.

— A jaka pora pani odpowiada, panno Vermilyea?

Uśmiechnęła się dość kwaśno, pogrzebała w torebce i podała mi brązową kopertę.

— Znajdzie pan tu wszystko, co trzeba.

— No, chyba niezupełnie wszystko.

— Dobra, dobra. Niech pan przestanie się zgrywać. Wiem o panu wszystko. Jak pan myśli, dlaczego Umney pana wybrał? To ja pana wybrałam, nie on. I niech pan przestanie gapić się na moje nogi.

Otworzyłem kopertę. Zawierała następną, zapieczętowaną, i dwa czeki na moje nazwisko. Jeden, z napisem, „Zaliczka a conto wynagrodzenia za usługi w ramach wykonywanego zawodu”, opiewał na 250 dolarów, a drugi: „Zaliczka dla Philipa Marlowe a conto niezbędnych wydatków” na 200 dolarów.

— Z wydatków rozliczy się pan u mnie, szczegółowo — powiedziała panna Vermilyea. — I za drinki proszę płacić z własnej kieszeni.

Drugiej koperty nie otwierałem. na razie.

— Na jakiej podstawie Umney sądzi, że wezmę sprawę, o której nic nie wiem?

— Weźmie pan. To czysta sprawa. Daję panu na to moje słowo.

— I co jeszcze?

— O tym możemy sobie porozmawiać, kiedy umówimy się na drinka jakiegoś deszczowego wieczoru, jeśli nie będę zbyt zajęta.

— Przekonała mnie pani.

Otworzyłem drugą kopertę. Zawierała zdjęcie dziewczyny. Jej poza wskazywała na naturalną swobodę albo duże obycie z kamerą. Ciemne włosy, być może rude, wysokie, jasne czoło, poważne oczy, wystające kości policzkowe, nerwowe nozdrza i usta, które nie zdradzały niczego. Była to twarz o rysach szlachetnych, twarz niemal surowa i z pewnością nie radosna.

— Niech pan odwróci — powiedziała panna Vermilyea.

Na odwrocie znalazłem dane wypisane starannie na maszynie.

„Imię i nazwisko: Eleanor King. Wzrost 175 cm. Wiek około 29 lat. Włosy ciemne, brązowo rude, gęste, naturalnie falujące. Sylwetka wyprostowana. Niski, donośny głos. Ubiera się dobrze, ale bez przesady. Dyskretny makijaż. Znaków szczególnych brak. Charakterystyczne zachowanie: wchodząc do pokoju ma zwyczaj wodzić wzrokiem nie odwracając głowy; w chwilach napięcia drapie wnętrze prawej dłoni; leworęczna, ale umiejętnie to ukrywa. Dobrze gra w tenisa, świetnie pływa i nurkuje, potrafi dużo wypić. Niekarana, ale odciski palców w kartotekach”.

— Aa, jednak siedziała — zauważyłem podnosząc wzrok na pannę Vermilyea.

— Nie posiadam żadnych informacji ponad to, co pan przeczytał. Proszę postępować zgodnie z poleceniem.

— Coś tu nie gra, panno Vermilyea. Taki towar w wieku dwudziestu dziewięciu lat prawie na pewno był już zameżny. A tu nie ma nic o obrączce ani o biżuterii. To mnie dziwi.

Spojrzała na zegarek. — Dalej niech się pan dziwi na Union Station. Nie ma pan wiele czasu.

Podniosła się. Pomogłem jej włożyć biały płaszcz przeciwdeszczowy i otworzyłem drzwi.

— Jest pani samochodem?

— Tak. — Zatrzymała się i odwróciła. — Jedna rzecz mi się w panu podoba. Nie pcha się pan z łapami. I ma pan dobre maniere — w pewnym sensie.

— Obłapianie to paskudna technika.

— Ale jest też coś, co mi się w panu nie podoba. Niech pan zgadnie, co.

— Przykro mi. Nie mam pojęcia. Niektórzy nie potrafią mi na przykład wybaczyć tego, że żyję.

— Nie to miałam na myśli.

Odprowadziłem ją na dół i otworzyłem drzwi do jej samochodu. Nic specjalnego: mały Cadillac Fleetwood. Skinęła mi lekko głową i samochód zsunął się ze wzgórza.

Wróciłem na górę i spakowałem torbę. Na wszelki wypadek.

## 2

Właściwie nie było nic do roboty. Super Chief przybył punktualnie, jak zwykle, a obiekt okazał się tak łatwy do namierzenia, jak kangur we fraku. Miała przy sobie tylko jakąś powieść w tanim wydaniu, którą wrzuciła do pierwszego napotkanego kubła na śmieci. Usiadła i patrzyła w podłogę. Moim zdaniem, nie była to szczęśliwa dziewczyna. Po chwili wstała i podeszła do stojaka z książkami, i oddaliła się nie biorąc żadnej, zerknęła na duży, ścienny zegar i zamknęła się w budce telefonicznej. Rozmawiała z kimś, wrzuciwszy garść monet do automatu. Wyraz jej i twarzy wcale się nie zmienił. Odwiesiła słuchawkę i poszła do półki z magazynami, wzięła „New Yorkera”, spojrzała i umownie na zegarek i zasiadła do czytania.

Miała na sobie granatowy kostium szyty na miarę, pod nim białą bluzkę. W kołnierzu zakietu wpięta była duża szafirowa szpilka, zapewne stanowiąca komplet z kolczykami, ale nie widziałem jej uszu. Włosy miała ciemnorude. Wyglądała tak samo jak na fotografii, chociaż była nieco wyższa, niż

przypuszczałem. Z ciemnoniebieskiego kapelusza opadała krótka woalka. Nosiła rękawiczki.

Po chwili przeszła pod arkady, gdzie stoją taksówki. Spojrzała na bar kawowy po lewej, zawróciła i weszła do głównej poczekalni, rzuciła okiem na wystawę drogerii, na kiosk z gazetami, okienko informacji i na ludzi siedzących mi gładkich drewnianych ławkach. Jedne kasy biletowe były otwarte, inne zamknięte. Nie interesowała się kasami. Usiadła znowu i popatrzyła na zegar dworcowy. Zdjęła prawą rękawiczkę i nastawiła swój zegarek, małe platynowe cacko bez kamieni. Porównywałem ją w myślach z panną Vermilyea. Nie wyglądała na głupią, nadętą czy pruderyjną, ale Vermilyea wydawała się przy niej obiektem bardziej przystępnym.

I tym razem nie usiadła długo. Wstała i zaczęła się przechadzać. Wyszła na wewnętrzny dziedziniec, wróciła, zajrzała do drogerii, postąpiła chwilę przed stojakiem z książkami. Dwie sprawy nie ulegały wątpliwości. Jeżeli była tu z kimś umówiona, to nie o godzinie przyjazdu pociągu. Zachowywała się tak, jakby czekała na połączenie. Weszła do baru. Usiadła przy jednym z plastikowych stolików, przejrzała menu i zaczęła czytać książkę. Pojawiła się kelnerka z nieodłączną szklanką wody z lodem i kartą dań. Obiekt śledzony złożył zamówienie. Kelnerka odeszła, obiekt powrócił do lektury. Było mniej więcej piętnaście po dziewiątej.

Przeszedłem pod arkadami do postoju taksówek, gdzie czekał bagażowy.

— Czy Super Chief to pana działka? — zapytałem.

— Tak. Częściowo. — Patrzył bez większego zainteresowania na banknot dolarowy, który gładziłem palcami.

— Miałem się tu spotkać z kimś z bezpośredniego wagonu Waszyngton—San Diego. Czy ktoś z niego wysiadł?

— Chodzi panu o to, czy ktoś wysiadł na dobre, z bagażem i tak dalej?

Potwierdziłem ruchem głowy.

Zastanowił się, taksując mnie badawczo inteligentnymi piwnymi oczyma.

— Wysiadł jeden pasażer — odparł w końcu. — A jak wygląda pana znajomy?

Opisałem kogoś, kto trochę przypominał znanego aktora, Edwarda Arnolda. Bagażowy potrząsnął przecząco głową.

— Ten, co wysiadł, wyglądał całkiem inaczej. Pana znajomy jest pewnie jeszcze w pociągu. Pasażerowie z wagonu bezpośredniego nie muszą wysiadać. Doczepiają go do siedemdziesiątki czwórki, która odchodzi o jedenastej trzydzieści. Jeszcze jej nie podstawili.

Podziękowałem i dałem mu dolara. Bagaż obiektu śledzonego był nadal w pociągu i to tylko chciałem wiedzieć.

Wróciłem przed bar i zajrzałem do środka przez szybę.

Obiekt śledzony czytał książkę popijając kawę i pojadając ślimaki. Przeszedłem do budki telefonicznej i zadzwoniłem do zaprzyjaźnionego garażu, żeby, jeżeli nie zadzwonię do południa, przysłali kogoś po mój wóz. Robili to już tyle razy, że zostawiłem im zapasowe kluczyki. Poszedłem do samochodu, zabrałem torbę i włożyłem do skrytki bagażowej. W ogromnej poczekalni głównej kupiłem bilet do San Diego i znowu pospieszyłem pod bar.

Obiekt śledzony był tam nadal, ale już nie sam. Po drugiej stronie stolika siedział facet, śmiał się, coś mówił i od razu było widać, że dziewczyna go zna i że tego żałuje. Czysty Kalifornijczyk — od czubków wiśniowych mokasynów aż po zapiętą pod szyję brązowożółtą, kraciatą koszulę bez krawata, na którą włożył kremową sportową marynarkę z tweedu. Był szczupły, miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, chudą, zarozumiałą twarz i przesadną ilość. Obracał w ręce kawałek papieru.

W zewnętrznej kieszeni jego marynarki jaśniała jak bukiet żonkili żółta chusteczka. I było jasne jak słońce, że dziewczyna nie jest zadowolona z jego towarzystwa.

Wciąż mówił i skubał ten papierek. W końcu wzruszył ramionami i wstał z krzesła. Nachylił się i przesunął końcem palca po jej policzku. Szarpnęła się do tyłu. Wtedy on rozwinął papier i ostrożnie położył go przed nią. Czekał uśmiechając się.

Opuściła wzrok bardzo powoli i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kartkę. Wyciągnęła rękę, żeby ją zabrać, ale on był szybszy. Schował papier do kieszeni nie przestając się uśmiechać. Potem wyjął notes, taki z wydieranymi kartkami, napisał coś długopisem; wyrwał kartkę i położył przed nią. To może sobie wziąć. Wzięła, przeczytała i schowała do torebki. W końcu spojrzała na niego. Miałem wrażenie, że nie przyszło jej to łatwo. Wyciągnął rękę nad stołem i poklepał ją po dłoni, po czym odwrócił się i opuścił bar.

Zamknął się w budce telefonicznej, wykręcił numer i przez jakiś czas rozmawiał. Wyszedł, przywołał bagażowego, udał się z nim do dworcowego schowka na bagaże. Wyjął stamtąd niedużą, lekką, perłowo białą walizkę i pod—ręczną torbę tego samego koloru. Bagażowy wyniósł je na parking i podążył za nim do lśniącego dwukolorowego Buicka Roadmastera z rodzaju tych kabrioletów, co mają dach zamocowany na stałe. Bagażowy wstawił rzeczy za siedzenie, wziął pieniądze i oddalił się. Facet w sportowym ubraniu z żółtą

chusteczką siadł za kierownicą, cofnął wóz, zatrzymał, żeby włożyć ciemne okulary i zapalić papierosa, po czym odjechał. Zapisalem numer rejestracyjny i wróciłem na dworzec.

Następna godzina trwała tyle, co trzy. Dziewczyna wyszła z baru i czytała książkę w poczekalni. Ale nie czytała uważnie. Raz po raz przewracała kartki wstecz, żeby sprawdzić, co przeczytała. Chwilami przerywała czytanie, trzymała tylko książkę, patrząc pusto przed siebie. Miałem przy sobie poranne wydanie wczorajszej gazety wieczornej i spoza niej obserwowałem dziewczynę, próbując zebrać do kupy to, co chodziło mi po głowie. Nie było tam żadnych pewnych faktów. Ale przynajmniej czas się tak nie dłużył.

Facet, który przysiadł się do jej stolika, musiał wysiąść z pociągu, bo miał bagaże. Mógł to być ten sam pociąg, którym przyjechała dziewczyna, i facet mógł być właśnie tym jedynym pasażerem, który wysiadł. Swym zachowaniem dziewczyna dawała jasno do zrozumienia, że nie jest zadowolona z jego obecności, a on się tym nie przejmował, jakby był pewien, że ona jednak zmieni zdanie, kiedy zobaczy ten kawałek papieru. Tak też się stało. Skoro zaś działo się to już po ich wyjściu z pociągu, a mogło przecież odbyć się bardziej dyskretnie przedtem, to znaczy, że w pociągu facet nie miał jeszcze tego papierka.

Nagle dziewczyna podniosła się raptownie, podeszła do stoiska z gazetami i wróciła z paczką papierosów. Rozerwała pudełko, wyjęła papierosa i zapaliła. Zrobiła to niezręcznie, jakby nie była przyzwyczajona do palenia. W trakcie palenia jej zachowanie zmieniało się. Stawała się bardziej stanowcza i wyzywająca, jakby rozmyślnie przybierała ordynarną pozę. Spojrzałem na zegar dworcowy. Dziesiąta czterdzieści siedem. Zastanawiałem się dalej.

Zwitek papieru wyglądał na wycinek z gazety. Chciała go zabrać, ale facet nie pozwolił. Potem napisał kilka słów na czystej kartce, dał jej tę kartkę, a ona spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Wniosek: przystojniak miał na nią jakiegoś haka, a ona udawała, że jej się to podoba.

Następna sprawa: facet opuścił przedtem dworzec i gdzieś poszedł, może po samochód, może po ten wycinek, a może po coś innego. Czyli nie martwił się, że dziewczyna się zmyje, co potwierdzałoby przypuszczenie, że wtedy nie wyjawiał wszystkiego, ale tylko część tego, co wie. Może nie był pewien. Musiał sprawdzić. A kiedy wyłożył karty na stół, zabrał bagaże i odjechał swoim Buickiem. I już się nie boi, że ją zgubi. To, co ich łączy, jest na tyle silne, że będzie ich łączyć nadal.



Pięć po jedenastej wyrzuciłem to wszystko przez okno i zacząłem od nowego założenia. Prowadziło donikąd. Dziesięć po jedenastej ogłoszono przez megafon, że pociąg numer siedemdziesiąt cztery do San Diego przez Santa An, Oceanside i Del Mar jest podstawiony na torze jedenastym. Gromada ludzi, z dziewczyną włącznie, opuściła poczekalnię. Inni przechodzili już przez bramkę. Zaczekałem, aż dziewczyna też ją minie, i wróciłem do budki telefonicznej. Wrzuciłem monetę i wykręciłem numer biura Clyde'a Umneya.

Odebrała panna Vermilyea.

— Mówi Marlowe. Czy jest pan Umney?

Tonem oficjalnym odpowiedziała: — Niestety, pan Umney jest w sądzie. Czy mam coś przekazać?

— Nawiązałem kontakt i udaję się pociągiem do San Diego albo do którejś ze stacji po drodze. Nie wiem na razie, do której.

— Dziękuję. Czy coś jeszcze?

— Owszem. Świeci słońce, a nasza znajoma nie wygląda mi bardziej na zbiega niż pani. Zjadła śniadanie w barku kawowym, który ma szklaną ścianę od strony hali dworcowej. Siedziała w poczekalni, podobnie jak mniej więcej sto pięćdziesiąt innych osób. A mogła zostać w pociągu i nie pokazywać się.

— Zanotowałam, dziękuję. Przekażę panu Umneyowi, jak tylko się zjawi. Nie ma pan zatem nic pewnego.

— Jedno jest pewne: że pani trzyma mnie na dystans.

Jej głos nagle się zmienił. Widocznie ktoś wyszedł z pokoju.

— Słuchaj, przyjacielu, wynajęto cię do roboty. Będzie lepiej, jeśli ją wykonasz, i to wykonasz jak trzeba. W tym mieście Clyde Umney to gruba ryba.

— A po co komu ryba, kochanie. Ja pijam pod piwo. Potrafię też ładnie opowiadać. Potrzebuję tylko trochę zachęty.

— Dostaniesz swoją zapłatę, tajniaczku, po wykonaniu roboty. Nie wcześniej. Jasne?

— Cieszę się, że jesteś dla mnie taka miła, ślicznotko. Żegnam.

— Słuchaj, Marlowe — wyrzuciła z siebie gwałtownie. — Nie chciałam cię urazić. Dla Umneya to jest bardzo ważna sprawa. Jeżeli mu nie wyjdzie, to może stracić bardzo korzystne powiązania. Po prostu mnie poniosło.

— Całkiem nieźle ci to wyszło. Korzystnie wpłynęło na moją podświadomość. Odezwę się, jak tylko będę mógł.

Odwiesiłem słuchawkę, przeszedłem przez bramkę i pokonując dystans zbliżony do odległości Los Angeles—Ventura dostałem się na tor jedenasty,

wsiadłem do wagonu, który zdążył już wypełnić się oparami dymu papierosowego, co dobrze robi na gardło i prawie zawsze pozbawia co najmniej jednego płuca. Nabiłem i zapaliłem fajkę przyczyniając się do ogólnego zaduchu.

Pociąg ruszył, przetoczył się opieszale przez podwórka i zaplecza wschodnich dzielnic Los Angeles, na chwilę się mi rozpedził, po czym zatrzymał się na pierwszej stacji Santa Ana. Obiekt śledzony nie wysiadł. Nie wysiadł także w Del Mar ani w Oceanside. W San Diego szybko wyskoczyłem, złapałem taksówkę i czekałem osiem minut przed dworcem zbudowanym w stylu hiszpańskim, aż bagażowi wyniosą walizki. Wtedy dziewczyna również wysiadła.

Nie wzięła taksówki. Przeszła na drugą stronę ulicy na parking za rogiem, gdzie mieściła się wypożyczalnia samochodów. Wróciła stamtąd po dłuższej chwili z wyrazem smutku na twarzy. Nie ma prawa jazdy, nie ma samochodu. Powinna była raczej o tym wiedzieć.

Tym razem wzięła taksówkę, taksówka zawróciła i ruszyła na północ. Moja zrobiła dokładnie to samo. Miałem pewne trudności z kierowcą w kwestii śledzenia.

— Panie, o tym to sobie można poczytać w książkach. Tu się tego nie robi.

Podąłem mu piątkę i fotokopię licencji, format 10x5. Obejrzał jedno, potem drugie, przeniósł wzrok na ulicę.

— Dobra, ale ja o tym zamelduję — powiedział. A dyspozytor może zameldować na policji. Takie tu są porządki, przyjacielu.

— To jest chyba miasto, w którym powinienem mieszkać — zauważyłem. — Zgubił go pan. Skręcił w lewo, dwie przecznice przed nami.

Kierowca oddał mi licencję. — Nie mam lewego oka — odciął się. — A jak pan myśli, od czego jest radiotelefon? — Podniósł słuchawkę i zaczął rozmawiać.

Skręcił w lewo przy Ash Street w kierunku Trasy 101 i włączyliśmy się do ruchu, utrzymując spokojną prędkość sześćdziesiąt na godzinę. Patrzyłem na tył jego głowy.

— Nie denerwuj się pan — rzucił przez ramię. — Ta piątka to ekstra?

— Tak jest. Dlaczego mam się nie denerwować?

— Bo ta pasażerka jedzie do Esmeralda. Dwadzieścia kilometrów na północ stąd, nad samym morzem. Zamówiła kurs do motelu Rancho Descansado... Chyba, że zmieniliby się jej coś po drodze, ale wtedy dostanę cynk. Po hiszpańsku descansar znaczy odpoczywać.

— O cholera! Niepotrzebnie brałem taksówkę — zauważyłem.

— Za usługę się płaci, przyjacielu. Musimy zarobić na chleb.

— Jest pan Meksykaninem?

— My tak siebie nie nazywamy. My jesteśmy hiszpańscy Amerykanie. Urodzeni i wychowani w USA. Niektórzy już prawie nic nie potrafią powiedzieć po hiszpańsku.

— Es gran lastima — powiedziałem. — Una lengua muchissima hermosa.

Odwrócił głowę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Tiene Usted, razón, amigo. Estoy muy bien de acuerdo.

Minęliśmy Torrance Beach i mknęliśmy dalej, na przylądek. Od czasu do czasu taksiarz zagadywał do radiotelefonu. Wykręcił głowę na tyle, żeby było wiadomo, że znowu wraca się do mnie.

— Chce pan, żeby pana nie widzieli?

— A kierowca? Może jej powiedzieć, że ktoś ją śledzi.

— On nie wie. Dlatego pytam.

— Może go pan wyprzedzi, tak żebyśmy tam byli przed mmi. Dołożę następne pięć.

— To żaden problem. Nawet mnie nie zauważy. Mogę mu później powiedzieć, przy flaszcze Tecate.

Przejechaliśmy przez niewielkie centrum handlowe, potem ulica rozszerzyła się, domy po jednej stronie miały wygląd zamożny i nie nowy, a po drugiej całkiem nowy i wcale nie mniej zamożny. Ulica znowu zwężyła się i można było jechać tylko czterdzieści na godzinę. Mój taksówkarz ściał zakręt w prawo, pokręcił się po jakichś wąskich uliczkach, przeskoczył przez znak stopu i zanim się połapałem, gdzie jesteśmy, zjeżdżaliśmy już do jakiegoś wąwozu. Po lewej, za szeroką, płaską plażą z dwiema metalowymi wieżami dla ratowników, rozciągał się połyskliwy Pacyfik. Kiedy dotarliśmy na dno wąwozu, kierowca zamierzał wjechać za bramę, ale go powstrzymałem. Duży napis, ułożony ze złotych liter na zielonym tle, głosił: El Rancho Descansado.

— Zjedźmy z widoku — poleciłem. — Chcę mieć absolutną pewność.

Wycofał się z powrotem na Trasę 101, przemknął wzdłuż zdobionego sztukaterią muru, potem skręcił w wąską, krętą drogę i tam się zatrzymał. Nad nami zwisał poskręcany eukaliptus z rozplątanym pniem. Wysiadłem z taksówki, włożyłem ciemne okulary, poszedłem w kierunku szosy i oparłem się o jasnoczerwonego jeepa, który miał wymalowaną na masce nazwę stacji obsługi. Ze wzgórza zjechała taksówka i skręciła do Rancho Descansado.

Minęły trzy minuty. Pusta taksówka skierowała się z powrotem pod górę. Wróciłem do swojego kierowcy.

— Taksówka nr 423 — powiedziałem. — Ta sama?

— Ten sam ptaszek. Co teraz?

— Czekamy. Jaki tam jest rozkład?

— Parterowe domki z zatokami do parkowania. Podwójne i pojedyncze. W małym od frontu jest biuro. W sezonie wysokie ceny. Teraz jest luz. Dużo miejsca i pewnie o połowę taniej.

— Poczekamy pięć minut. Potem się zamelduję, zostawię walizkę i rozejrzę się za jakimś wozem do wynajęcia.

Powiedział, że to nic trudnego. W Esmeralda były trzy miejsca, gdzie wynajmowano samochody różnej marki na czas albo na przebieg.

Poczekaliśmy pięć minut. Było trochę po trzeciej. Czułem już taki głód, że mógłbym jeść z psiej miski.

Zapłaciłem kierowcy, odprowadziłem taksówkę wzrokiem i przeszedłem na drugą stronę szosy do recepcji.

### 3

Oparłem się grzecznie o blat recepcji i przyglądałem młodemu facetowi o pogodnej twarzy, w muszce w groszki. Potem przeniosłem wzrok na dziewczynę, siedzącą pod ścianą przy centralce telefonicznej. Miała mocny makijaż, koński ogon jasnobłond, sterczący z tyłu głowy, i wyglądała na typ wyjściowy. Ale jej oczy były przyjemnie duże, ciepłe i błyszcząły, kiedy patrzyła na recepcjonistę. Podniosłem wzrok na niego i chrząknąłem. Dziewczyna przy centralce machnęła końskim ogonem i mnie także obdarzyła spojrzeniem.

— Czy zechce pan obejrzeć wolne pokoje, proszę pana? — uprzejmie zapytał młody człowiek. — Można zameldować się później, jeżeli zdecyduje się pan u nas zatrzymać. Na jak długo życzy pan sobie pokój?

— Na tak długo jak ona — odparłem. — Ta dziewczyna w granatowym kostiumie. Przed chwilą się tu meldowała. Nie— wiem, pod jakim nazwiskiem.: Spojrzeli na mnie oboje. Ich twarze wyrażały nieufność pomieszana z zaciekawieniem. Można zagrać tę scenkę na sto różnych sposobów. Tego sposobu jeszcze nie próbowałem. Nie kupiliby go w żadnym miejskim hotelu na świecie. Tu mogli kupić. Przede wszystkim dlatego, że zupełnie mi na tym nie zależało.

— Nie bardzo się to panu podoba, co? — powiedziałem.

Potrząsała lekko głową. — Przynajmniej jest pan szczery.

— Mam już dosyć udawania. Już nie mam siły. Zauważył pan u niej obrączkę?

— Nie, nie zauważyłem. — Spojrzał na dziewczynę z centralki. Potrząsnęła przecząco głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Nie nosi — powiedziałem. — Już nie nosi. Wszystko rozpadło się. Tyle lat... Ech, do diabła z tym! Jadę za nią od samego... Zresztą nieważne skąd. A ona nie chce nawet ze mną rozmawiać. Co ja tu robię? Robię z siebie idiotę, ot co!

Odwróciłem się gwałtownie i wyczyściłem nos. Zaciekawili się, to pewne. — Lepiej już pójdę — powiedziałem i skierowałem się do wyjścia.

— Pan chce to naprawić, a ona nie chce? — odezwała się i cicho dziewczyna.

— Tak.

— Współczuję panu — powiedział facet. — Ale wie pan, jak to jest, proszę pana. My tu w hotelu musimy być ostrożni. Takie historie różnie się kończą. Nawet strzelaniną.

— Strzelaniną? — posłałem mu zdziwione spojrzenie. — Na Boga, a któż tak postępuje?!

Oparł się oburącz o blat. — A co pan ma zamiar robić, panie Marlowe?

— Chciałbym być blisko niej, w razie gdyby mnie potrzebowała. Nie odzywałbym się do niej. Nie zapukałbym nawet do jej pokoju. Ale wiedziałaby, że jestem, i wiedziałaby, dlaczego jestem. Czekałbym. Zawsze będę czekał.

No, teraz dziewczynie się spodobało. Wpadłem po szyję w sentymentalną szmirę. Zrobiłem głęboki wdech i poszedłem na całość: — I nie bardzo mi się podoba ten facet, który ją tu przywiózł — wypaliłem.

— Nikt jej tu nie przywoził... Oprócz taksówkarza — stwierdził chłopak, ale dobrze wiedział, o co mi chodzi.

Dziewczyna wykrzywiła twarz w półuśmiechu. — Nie o to chodzi, Jack. Chodzi o rezerwację.

Jack obruszył się: — Tyle jeszcze potrafię się domyślić, Lucille. Nie jestem znowu taki głupi. — Nagłym ruchem wyjął spod lady i położył przede mną kartę. Kartę meldunkową. W rogu, po przekątnej, wypisane było nazwisko: Larry Mitchell, a innym charakterem pisma, w kolejnych rubrykach: (panna) Betty Mayfield, West Chatham, New York. W lewym, górnym rogu tym samym charakterem co Larry Mitchell wypisano datę, czas pobytu, cenę i numer.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziałem. — A więc wróciła do panińskiego nazwiska. W porządku, prawo tego nie zabrania.

— Prawo nie zabrania zmiany nazwiska, chyba, że w zamiarach przestępczych. Chciałby pan pewnie zająć sąsiedni pokój?

Otworzyłem szeroko oczy. Może były nawet trochę wilgotne. Bo chyba nikt nigdy nie starał się bardziej, żeby były wilgotne.

— Słuchajcie, naprawdę, jesteście strasznie mili — zapewniłem. — Ale nie możecie tego zrobić. Nie chcę wam sprawić żadnego kłopotu, ale nie powinniście tak ryzykować. Przecież, gdybym coś zmajstrował, będzie na was.

— W porządku — odparł Jack. — Kiedyś trzeba spróbować. Wygląda pan na porządnego faceta. Proszę tylko nikomu nic nie mówić. — Podał mi pióro. Wpisałem swoje nazwisko i adres: East Sixty—First Street, New York City.

Jack przeczytał. — To niedaleko Central Parku, prawda?—zapytał od niechcienia.

— Trzy przecznice z kawałkiem — odrzekłem. — Między Lexington i Third Avenue.

Pokiwał głową. Wiedział, gdzie to jest. Byłem w domu. Sięgnął po klucz.

— Chciałbym tu zostawić walizkę — powiedziałem. — Muszę iść coś zjeść i spróbuję wynająć wóz. Czy mógłby pan odesłać ją do mojego pokoju?

— Oczywiście, to żaden problem. — Wyszedł ze mną na zewnątrz i wskazał w kierunku młodego zagajnika. Domki były drewniane, pomalowane na biało z zielonymi dachami. Miały werandy z barierką. Pokazał mi mój między drzewami. Podziękowałem. Zawrócił do biura, a ja powiedziałem: — Wie pan co, jest jeszcze jedna sprawa. Ona może wyjechać, kiedy się zorientuje.

Uśmiechnął się. — Oczywiście. Ale cóż my możemy na to poradzić, panie Marlowe. Wielu gości zatrzymuje się u nas tylko na jedną lub dwie doby, z wyjątkiem lata. Teraz, o tej porze roku, nie mamy kompletu.

Wszedł do biura i słyszałem, jak dziewczyna powiedziała do niego: —To rzeczywiście jakiś sympatyczny facet. Ale nie powinieneś tego robić.

Usłyszałem też jego odpowiedź: — Drażni mnie ten Mitchell, chociaż to kumpel właściciela.

#### 4

Pokój nie był najgorszy. Wyposażony w zwyczajny, twarde tapczan, twarde fotele, małe biurko przy ścianie na wprost wejścia, garderobę z szafą w ścianie, miał łazienkę z wanną jak na hollywoodzkich filmach i neonówkę nad

umywalką z lustrem, kuchenkę z lodówką i białą, trzypalnikową kuchenką elektryczną. W szafce nad zlewem było trochę naczyń. Wyjąłem kilka kostek lodu i nalałem sobie drinka z butelki, którą wyciągnąłem z walizki, usiadłem na krześle i z wolna popijałem nasłuchując, przy zamkniętych oknach i zasuniętych żaluzjach. Z sąsiedniego pokoju nie dochodziły żadne dźwięki, potem usłyszałem odgłos wody spuszczonej w toalecie. Obiekt śledzony był na miejscu. Skończyłem drinka, zgasilem papierosa i zająłem się studium grzejnika, umieszczonego na ścianie i działowej. Składał się z dwóch rurek z mlecznego szkła i metalowej obudowy. Nie wyglądało na to, żeby dawał dużo ciepła, ale w garderobie był dodatkowy piecyk elektryczny z nawiewaczem, termostatem i trzyżyłową wtyczką na 220 volt. Zdjąłem chromowaną osłonę grzejnika ściennego, wykręciłem szklane rurki. Wyjąłem z walizki stetoskop, przyłożyłem do tylnej metalowej ścianki grzejnika i słuchałem. Jeżeli w przyległym pokoju był podobny grzejnik, a z pewnością był, to oba pokoje dzieliła tylko metalowa płyta i zapewne tylko jakieś niezbędne minimum izolacji.

Przez kilka minut nic nie słyszałem, potem dobiegł stamtąd odgłos wykręcania numeru telefonicznego. Odbiór miałem doskonały. Odezwał się kobiecy głos: — Esmeralda. Proszę 4—1499.

Głos był spokojny, opanowany, średniowysoki, wyrażający niewiele poza zmęczeniem. Po tylu godzinach śledzenia po raz pierwszy słyszałem jej głos.

Nastąpiła dość długa chwila milczenia, po czym dziewczyna powiedziała: — Chciałabym mówić z panem Larrym Mitchellem.

Znowu cisza, tym razem krótsza. A potem: — Mówi Betty Mayfield, Rancho Descansado — źle wymówiła „a” w słowie Descansado”. I jeszcze raz: — Betty Mayfield. Bez głupich żartów, proszę. Może mam przeliterować?

Drugi koniec linii miał coś do powiedzenia. Słuchała. Po chwili odezwała się znowu: — Pokój 12 C. Powinien pan wiedzieć. Przecież sam pan rezerwował... Aha, rozumiem... No, dobrze. Czekam.

Odłożyła słuchawkę. Zapadła cisza. Zupełna cisza. Następnie głos za ścianą odezwał się powoli i beznamytnie: — Betty Mayfield, Betty Mayfield, Betty Mayfield... Biedna Betty. Byłaś kiedyś przyzwoitą dziewczyną, porządną, fajną dziewczyną. Tak, kiedyś, dawno temu.

Siedziałem na podłodze na jednej z pasiastych poduszek, plecami do ściany. Podniosłem się ostrożnie, zostawiłem, stetoskop na poduszce i podszedłem do łóżka, żeby się na nim położyć. Facet miał przyjść niebawem. Ona czeka na

niego, bo musi. Z tego samego powodu musiała tu przyjechać. Chciałem poznać ten powód.

Miał chyba gumowe podeszwy, bo nic nie słyszałem aż do momentu, kiedy zabrzmiał dzwonek do drzwi pokoju. Nie podjechał też samochodem pod sam dom. Spuściłem nogi na podłogę i przystąpiłem do pracy ze stetoskopem.

Otworzyła drzwi, on wszedł i mogłem sobie wyobrazić uśmiech, z jakim powiedział: — Halo, Betty! Betty Mayfield, jeśli się nie mylę? Podoba mi się to nazwisko.

— Tak się naprawdę nazywam. — Zamknęła drzwi.

Roześmiał się rehotliwie. — Chyba miałaś rację, że je zmieniłaś. A co się stało z inicjałami na bagażach?

Jego głos nie podobał mi się tak samo jak jego śmiech, piskliwy i wesołkowaty, kipiący przebiegłym humorem. W zasadzie nie czuło się w nim szyderstwa, ale coś na tyle zbliżonego, że dostałem szczękościsku.

— Domyślam się — odparła sucho — że na to przede wszystkim zwrócił pan uwagę.

— Nie, dziecinko. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na ciebie. Potem na ślad po obrączce i brak obrączki. A dopiero później na inicjały.

— Nie mów do mnie „dziecinko”, tani szantażysto — rzuciła nagle z tłumioną wściekłością.

Nie stracił rezonu.

— Może i jestem szantażystą, kochanie — znowu zarozumiały rehot — ale z pewnością nie tanim.

Zrobiła kilka kroków, prawdopodobnie odsuwając się od niego.

— Chce się pan napić? Widzę, że przyniósł pan butelkę.

— Mógłbym się stać zbyt lubieżny.

— Jedyne, co mnie u pana niepokoi, panie Mitchell — odparła ze spokojem — to pana niewyparzona gęba. Za dużo pan mówi i jest pan za bardzo zadufany w sobie. Byłoby lepiej, gdybyśmy doszli do porozumienia. Podoba mi się tu, w Esmeralda. Bywałam tu już przedtem i zawsze chciałam tu wrócić. To, że pan tutaj mieszka i że znalazł się pan w pociągu, którym akurat jechałam, jest jedynie niekorzystnym zbiegiem okoliczności. A to, że mnie pan rozpoznał, jest parszywym zbiegiem okoliczności. Ale to tylko zły zbieg okoliczności, nic więcej.

— Dla mnie dobry, kochanie — wycedził.

— Być może, jeżeli nie będzie pan zbyt natrętny. W przeciwnym razie okoliczności mogą się obrócić przeciwko, panu.



Zapadło krótkie milczenie. Widziałem oczyma wyobraźni, jak patrzą na siebie. Może uśmiechał się teraz trochę nerwowo, ale tylko trochę.

— Wystarczy, żebym podniósł słuchawkę — powiedział cicho — i zadzwonił do gazet w San Diego. Zależy ci na popularności? Ja ci to mogę załatwić.

— Przyjechałam tu po to, żeby się jej pozbyć — odparła z goryczą.

Roześmiał się.

Jasne, zawdzięczasz to sklerotycznemu sędziemu i temu jedynemu stanowi Ameryki, sprawdziłem to, gdzie coś takiego mogło się zdarzyć, chociaż ława przysięgłych orzekła inaczej. Dwa razy zmieniałaś nazwisko. Gdyby ta historia dostała się tutaj do gazet, a jest to całkiem dobry materiał, kotku, to chyba musiałabyś znowu zmienić nazwisko. I jeszcze trochę popodróżować. A to się może okazać męczące, prawda?

— Dlatego jestem tutaj — powiedziała. — I dlatego pan tu jest. Ile? Domyślam się, że będzie to tylko pierwsza rata?

— A czy ja coś mówiłem o pieniądzach?

— Ale pan powie — odparła. — I proszę mówić trochę ciszej.

Cały dom jest twój, kochanie. Sprawdziłem, zanim tu przyszedłem. Wszystkie drzwi pozamykane, okna też, żaluzje spuszczone, parking pusty. Skoro się tak przejmujesz, to mogę jeszcze sprawdzić w recepcji. Ja tu mam wielu przyjaciół — ludzi, których powinnaś poznać, oni potrafią uprzyjemnić ci życie. W tym mieście niełatwo wejść do towarzystwa. A jest to cholernie nudne miasto, kiedy się do towarzystwa nie należy.

— Jak to się stało, że pan wszedł, panie Mitchell?

— Mój stary jest grubą rybą w Toronto. Nie układają nam się stosunki i stary nie chce mnie w domu. Ale jest ciągle moim ojcem, i to fakt niezaprzeczalny, nawet, jeśli płaci mi za to, że trzymam się z dala od domu.

Nic na to nie powiedziała. Jej kroki oddaliły się. Z kuchni dobiegł odgłos wysypywania kostek lodu. Odkręcono kran, kroki wróciły.

— Muszę się napić — powiedziała. — Być może zachowuję się wobec pana niegrzecznie. Jestem zmęczona.

— Jasne — odezwał się pojednawczo. — Jesteś zmęczona. — Milczenie. — No, to wypijmy za to, co będzie, kiedy nie będziesz zmęczona. Powiedzmy około pół do ósmej wieczorem w Szklanej Sali. Przyjadę po ciebie. To dobry lokal na kolację. Jest dansing, jest spokój. Ekskluzywnie, jeżeli to słowo jeszcze cokolwiek znaczy. Własność Beach Clubu. Dla nieznanomych nie ma wolnych miejsc. Należę do grona stałych bywalców.

— Czy tam jest drogo? — zapytała.

— Dość drogo. Aha, byłbym zapomniał. Zanim nadejdzie ten mój miesięczny przekaz, mogłabyś mi odpalić parę dolarów? — Roześmiał się. — Sam się sobie dziwię. Jednak w końcu wspomniałem o pieniądzach.

— Parę dolarów?

— Albo lepiej parę stów.

— Mam wszystkiego sześćdziesiąt, zanim założę konto albo zrealizuję czeki podróżne.

— Możesz to zrobić w recepcji, kochanie.

— Racja. Proszę, tu jest pięćdziesiąt. Nie chcę pana rozpieszczać, panie Mitchell.

— Mów mi Larry. Bądź człowiekiem.

— Czy rzeczywiście powinnam? — Ton jej głosu zmienił się. Zabrzmiała w nim nuta zachęty. Wyobraziłem sobie, jak na jego twarzy pojawia się powoli uśmiech zadowolenia. Z ciszy wywnioskowałem, że ją objął, a ona się nie opierała. W końcu zabrzmiał jej głos, nieco stłumiony:

— Wystarczy, Larry. Teraz bądź grzeczny i uciekaj. Będę gotowa o pół do ósmej.

— Jeszcze strzemiennego.

Po chwili drzwi otworzyły się i facet powiedział coś, czego nie uchwyciłem. Wstałem, podszedłem do okna i spojrzałem ostrożnie przez listewki żaluzji. Na jednym z wysokich drzew palił się reflektor. W jego świetle widziałem, jak facet oddala się i znika za wzniesieniem. Wróciłem do grzejnika. Przez jakiś czas nie słyszałem nic i nie bardzo wiedziałem, co mogę usłyszeć. Wkrótce się dowiedziałem.

Dobiegł mnie tupot szybkich kroków w tę i z powrotem, zgrzyt wysuwanych szuflad, trzask zamka, stukot podnoszonego wieka.

Zbierała się do wyjazdu. Wkręciłem podłużne mleczone rurki do grzejnika, zamontowałem osłonę i schowałem stetoskop do torby. Wieczór robił się chłodny. Włożyłem marynarkę i stanąłem na środku pokoju. Ściemniało się i brakowało mi światła. Stałem i zastanawiałem się. Mógłbym iść do telefonu i złożyć sprawozdanie, a w tym czasie ona mogłaby się znaleźć w jakiejś następnej taksówce w drodze do następnego pociągu czy samolotu, do następnego miejsca przeznaczenia. Mogła jechać, gdzie zechce, ale zawsze znalazłby się na stacji docelowej jakiś prywatny szpicel, gdyby zależało na tym ważniakowi z Waszyngtonu. Zawsze znalazłby się jakiś Larry Mitchell czy jakiś reporter, który ma dobrą pamięć. Zawsze byłoby w niej coś podejrzanego i zawsze znalazłby się ktoś, kto to zauważy. Nie można uciec od samego siebie.

Wykonywałem jakieś nędzne, mętne zadanie, robotę dla ludzi, którzy mi się nie podobali — ale po to właśnie się najmujesz, przyjacielu. Oni płacą, a ty babrzesz się w brudach. Tyle, że tym razem czułem także smak. Nie wyglądała na awanturnicę i nie wyglądała na przestępczynię. Co znaczyło, że mogła stać się i jednym, i drugim o wiele łatwiej, niż gdyby rzeczywiście taka była.

## 5

Otworzyłem drzwi, podszedłem do sąsiednich i nacisnąłem przycisk dzwonka. W środku nic się nie poruszyło. Nie słyszałem żadnych kroków. Potem zgrzytnął łańcuch wsuwany w zawleczkę i drzwi uchyliły się, ukazując kilka centymetrów światła i pustej przestrzeni. Głos spoza drzwi zapytał: — Kto tam?

— Czy mógłbym pożyczyć pół szklanki cukru?

— Nie mam cukru.

— No to może parę dolarów, zanim dostanę czek.

Znowu cisza. Następnie drzwi otworzyły się na długość łańcucha, w szparze pojawiła się jej twarz, z której patrzyły ma mnie schowane w cieniu oczy. Wyglądały jak kałuże w ciemności. Odbijało się w nich ukośne światło reflektora umieszczonego wysoko na drzewie.

— Kim pan jest?

— Mieszkam w pokoju obok. Zdrzemnąłem się i zbudziły mnie jakieś głosy. Głosy mówiły coś, co mnie zaintrygowało.

— Niech pan idzie intrygować się gdzie indziej.

— Owszem, mógłbym tak zrobić, pani King. O, przepraszam, panno Mayfield. Ale nie jestem pewien, czy rzeczywiście na tym właśnie pani zależy.

Nie poruszyła się, a w jej spojrzeniu dostrzegłem wahanie. Wytrząsnąłem papierosa z pudełka i próbowałem, podnieść kciukiem zamknięcie swojej kowbojskiej zapalniczki Zippo, naciskając jednocześnie kółko. Powinno się to robić jedną ręką. Jest to wykonalne, ale dość kłopotliwe. Udało mi się w końcu i przypaliłem papierosa, ziewnąłem i wypuściłem dym nosem.

— A co pan robi na bis? — zapytała.

— Żeby być w porządku, powinienem zadzwonić do Los Angeles i opowiedzieć o tym facetom, którzy mnie tu przysłali. Może dałbym się odwieść od tego zamiaru.

— Jezu! — rzuciła ze złością. — Dwóch w ciągu jednego wieczoru. Czy to nie za dużo szczęścia na raz?

— Nie wiem — powiedziałem. — Nic nie wiem. Mam wrażenie, że ktoś robi ze mnie frajera.

— Proszę zaczekać. — Zamknęła mi drzwi przed nosem.

Nie kazała czekać długo. Łańcuch został zwolniony z zawlecзки i drzwi otworzyły się.

Wszedłem powoli, a ona cofnęła się parę kroków, odsuwając się ode mnie.

— Co pan słyszał? Proszę zamknąć drzwi.

Zamknąłem drzwi ramieniem i oparłem się o nie.

— Sam koniec raczej nieprzyjemnej rozmowy. Ściany są tu cienkie jak portfel żigolaka.

— Pan się widzę, zajmuje pokazywaniem sztuczek.

— Wręcz przeciwnie. Zajmuję się sztuką gry w chowanego. Nazywam się Philip Marlowe. Widzieliśmy się już kiedyś.

— Doprawdy? — Odsunęła się ode mnie jeszcze dalej, ostrożnymi kroczkami, i zatrzymała nad otwartą walizką. Oparła się o poręcz krzesła. — A gdzie?

— Na Union Station w Los Angeles. Czekaliśmy oboje na połączenie. Wzbudziła pani moje zainteresowanie. Zaciekawilo mnie to, co dzialo sie pomiedzy pania i panem Mitchellem, bo tak nazywa sie ten mlody czlowiek, prawda? Nie słyszałem nic, niewiele też widziałem, ponieważ znajdowałem się na zewnątrz baru.

— Więc coś pana tak bardzo zainteresowało, drogi pnie, jak panu tam?

— Już częściowo wyjaśniłem. Zastanowiło mnie także i to, iż po rozmowie z nim pani się zmieniała. Obserwowałem, jak pani nad tym pracuje. To było bardzo dokładnie przemyślane. Zmieniała się pani w beczelną, cyniczną laluchnę. Dlaczego?

— A czym byłam przedtem?

— Przyjemną, spokojną, dobrze wychowaną dziewczynką.

— To była tylko poza — oświadczyła. — Naprawdę jestem jak ta druga. A co za tym idzie... — Wyciągnęła przed siebie mały pistolet automatyczny.

Przyjrzałem mu się.— O, broń palna. Mnie broń palna nie przeraża. Obcuje z nia od urodzenia. Ząbkowałem na jednostrzałowym Derringerze starego typu, z tych, których używali zawodowi szulerzy pływający po Missisipi. Kiedy podrosłem, dostałem lekki karabinek sportowy, potem karabin kaliber 303 i tak dalej. Trafiłem kiedyś w dziesiątkę z ośmiuset kroków z karabinu z normalnym celownikiem. Na wypadek, gdyby pani nie wiedziała, to z odległości ośmiuset metrów cel jest wielkości znaczka pocztowego.

— Fascynująca kariera — skwitowała.

— Broń nigdy niczego nie rozwiązuje — stwierdziłem i usiadłem na krześle.  
— Jest jak szybkie opuszczenie kurtyny po słabym drugim akcie.

Uśmiechnęła się blado i przełożyła pistolet do lewej ręki. Prawą chwyciła brzeg bluzki przy szyi i szybkim, zdecydowanym ruchem rozerwała ją do pasa.

— A teraz — powiedziała — chociaż nie ma się z tym co spieszyć, przekładam pistolet do drugiej ręki — przełożyła go z powrotem do prawej, ale tym razem trzymając za lufę — uderzam się rękojeścią w policzek i robię sobie śliczne nacięcie.

— A potem — podjąłem — chwyta pani pistolet, jak trzeba, odbezpiecza i pociąga za spust, mniej więcej w momencie, kiedy ja kończę właśnie czytanie wstępniaka w Dziale Sportowym.

— Nie doszedłby pan nawet na środek pokoju.

Rozparłem się wygodnie, założyłem nogę na nogę, ze stołu wziąłem zieloną, szklaną popielniczkę, postawiłem ją sobie na kolanie i paliłem papierosa trzymając go między pierwszym i drugim palcem prawej ręki.

— Nigdzie bym nie chodził. Siedziałbym sobie tak jak teraz, wygodnie, relaksując się.

— Z tym, że w charakterze nieboszczyka — dodała. — Strzelam dobrze i tu nie ma ośmiuset metrów.

— A następnie próbuje pani wcisnąć glinom opowieść o tym jak usiłowałem panią zaatakować, a pani się broniła.

Wrzuciła pistolet do walizki i roześmiała się. Śmiech brzmiał szczerze i wyrażał autentyczne rozbawienie.

— Przepraszam — powiedziała. — Pan siedzi sobie tam z nogą założoną na nogę i z dziurą w głowie, a ja tłumaczę, jak to zastrzeliłam pana w obronie własnej czci — taki obrazek byłby rzeczywiście dość rozbijający.

Osunęła się na krzesło i pochyliła do przodu opierając brodę na broni, a łokieć na kolanie. Twarz miała napiętą i zmęczoną. W •obramowaniu ciemnorudych włosów wydawała się drobniejsza.

— Więc co pan chce dla mnie zrobić, panie Marlowe? Albo może inaczej: co ja mogę zrobić dla pana w zamian za to, że pan nie będzie robił nic dla mnie?

— Kto to jest Eleanor King? Kim była w Waszyngtonie? Dlaczego gdzieś po drodze zmieniła nazwisko i usunęła inicjały z walizek? Czy może mi pani wytłumaczyć te drobne szczegóły? Zapewne pani nie zechce.

— Ach, sama nie wiem. Inicjały zdjął bagażowy. Powiedziałam mu, że mam za sobą nieudane małżeństwo, że jestem rozwódką i mam prawo powrócić do

panieńskiego nazwiska. To znaczy Elizabeth albo Betty Mayfield. Mogło tak być czy nie?

— Mogło, chociaż nie wyjaśnia to roli Mitchella.

Oparła się na krzesło, rozluźniona. Jej spojrzenie nadal pozostało czujne.

— To po prostu znajomy z pociągu.

Pokiwałem głową. — Który przyjechał tutaj własnym samochodem i zarezerwował dla pani pokój. Nie jest tu lubiany, ale prawdopodobnie ma jakiegoś wpływowego przyjaciela.

— Znajomości z podróży rozwijają się czasem bardzo szybko.

— Na to wygląda. Nawet wyłudził już od pani pożyczkę. Szybka robota. A mnie się wydawało, że nie przepada pani za nim.

— No to co, że się panu wydawało? — powiedziała. — A ja za nim szaleję. — Odwróciła rękę i spojrzała na wnętrze dłoni.

— Panie Marlowe, zacznijmy może od tego, kto pani wynajął i za ile?

— Prawnik z Los Angeles, działający z polecenia jakichś ludzi ze wschodu. Miałem panią śledzić i zameldować gdzie się pani zatrzymała. Zrobiłem to. Ale teraz znowu przygotowuje się pani do wyjazdu. Będę chyba musiał zaczynać wszystko od nowa.

— Ale teraz ja już wiem o pana istnieniu — rzuciła ostrzejszym tonem. — Więc będzie pan miał o wiele trudniejsze zadanie. Domyślam się, że jest pan prywatnym detektywem?

Skinąłem głową. Dawno już zgasilem papierosa. Odstawiłem popielniczkę na miejsce i podniosłem się.

— Mnie będzie trudniej, panno Mayfield, ale poza mną jest jeszcze wielu innych.

— O, niewątpliwie. I wszyscy oni są równie sympatyczni jak pan. Niektórzy mają nawet całkiem czyste ręce.

— Nie szukają pani gliny. Mogliby panią mieć bez trudu. Wiadomo było, że jedzie pani tym pociągiem. Dostałem nawet pani fotografię i rysopis. Ale Mitchell może zmusić panią do wszystkiego. On nie poprzestanie na pieniądzach.

Wydawało mi się, że lekko się zaczerwieniła, ale światło, nie padało bezpośrednio na jej twarz.

— Być może — odparła. — Ale skąd pan wie? Może nie mam nic przeciwko temu?

— Ma pani.

Podniosła się nagle i podeszła do mnie. — W pana branży nie robi się dużej forsy, co?

Potaknąłem. Staliśmy teraz bardzo blisko siebie.

— A ile chciałby pan za to, że pan stąd wyjdzie i zapomni, że mnie kiedykolwiek widział?

— Wyjdę stąd za darmo. Co do reszty, to będę musiał zdać sprawozdanie.

— Ile?— Powiedziała to stanowczym tonem. — Stać mnie na wypłacenie panu sporej zaliczki. Tak się to u was podobno nazywa. Brzmi o wiele przyjemniej niż szantaż.

— To nie to samo.

— Ale może być to samo. Zapewniam pana, że może. Nawet dla niektórych mecenasów i doktorów. Tak się składa, że wiem coś o tym.

— Jakiś niefart, co?

— Nic z tych rzeczy, kapusiu. Jestem najszcześniejszą dziewczyną pod słońcem. Ciągle jeszcze żyję.

— Ja jestem po przeciwnej stronie. Szkoda forsy.

— No, no, coś takiego — wycedziła. — Tajniak, co ma skrupuły. Nie do mnie taka gadka, kolego. Mnie to nie bierze. A teraz leć pan, panie Marlowe, do telefonu zamówić tę cholernie ważną rozmowę, na której panu tak zależy. Nie zatrzymuję.

Ruszyła do drzwi, ale chwyciłem ją za przegub dłoni i odwróciłem. Porwana bluzka nie ukazywała zapierającej dech nagości, tylko nieco ciała i skrawek bielizny. Na plaży byłoby widać więcej, o wiele więcej. Ale nie przez rozerwaną bluzkę.

Musiałem widocznie zerknąć tam pożądliwie, bo nagle skurczyła palce i próbowała mnie podrapać.

— Nie jestem goniącą się suką — wycedziła przez zaciśnięte zęby.— Zabierz łapy.

Chwyciłem ją za drugi przegub i zacząłem przyciągać do siebie. Chciała mnie uderzyć kolanem w pachwinę, ale była już zbyt blisko. Potem osłabła, odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Jej wargi rozchyliły się w sardonicznym grymasie. Wieczór był chłodny, a nad wodą może nawet panował ziąb. Ale ja nie czułem zimna.

Po chwili zauważyła z westchnieniem, że musi przebrać się na kolację.

— Uhm — odparłem.

Po kolejnej chwili milczenia wyznała, że dawno już żaden mężczyzna nie odpinał jej biustonosza. Powoli obróciliśmy się w kierunku jednego z dwóch

bliźniaczych łóżek. Były przykryte różowosrebrnymi kapami. Czasem zauważa się takie drobiazgi.

Oczy miała otwarte, patrzyły ironicznie. Przyglądałem się im po kolei, najpierw jednemu, potem drugiemu, ponieważ byłem za blisko, by przyglądać się obu na raz. Wyglądały na dobrze dopasowane.

— Kochanie — powiedziała cicho — jesteś bardzo słodziutki, ale ja już nie mam czasu.

Pomogłem jej zamknąć usta. Do drzwi chyba wsunięto od zewnątrz klucz, ale nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. Zgrzytnął zamek, drzwi otworzyły się i wszedł pan Larry Mitchell.

Oderwaliśmy się od siebie. Odwróciłem się. Patrzył na mnie spod opadających powiek — metr osiemdziesiąt pięć, muskularny i sprężysty.

— Postanowiłem sprawdzić w recepcji — odezwał się tonem prawie obojętnym. — Pokój 12 B został wynajęty dziś po południu, zaraz po tym, jak wprowadziłaś się do tego. Trochę mnie to zdziwiło, bo jest tu teraz dużo wolnych pokoi. Więc pożyczyłem zapasowy klucz. Kim jest ten kawał mięsa, dziecinko?

— Zdaje się, że ta pani prosiła, żebyś nie mówił do niej „dziecinko”. Pamiętasz?

Jeżeli zrozumiał, to nie okazał tego. Powoli opuścił zaciśniętą pięść.

Dziewczyna powiedziała: — To prywatny detektyw. Nazywa się Marlowe. Ktoś go wynajął, żeby mnie śledził.

— Czy musiał śledzić z aż tak bliskiej odległości? Przeszkodziłem chyba w nawiązywaniu pięknej przyjaźni.

Odskoczyła ode mnie i wyciągnęła pistolet z walizki. — Mówiliśmy o pieniądzach — wyjaśniła.

— Kolejny błąd — odparł Mitchell. Twarz miał zaczerwienioną, a oczy za bardzo mu błyszczały. — Zwłaszcza w tej sytuacji. Pistolet nie będzie ci potrzebny, kochanie.

Wszedł do mnie z prawym prostym, bardzo szybkim i dobrze wyprowadzonym. Zrobiłem szybki unik, zachowując spokój i rozwagę. Ale to nie prawym zarabiał na życie. Był leworęczny. Powinienem był to zauważyć na Union Station w Los Angeles. Wytrawny obserwatorze, nigdy nie pomijaj szczegółów. Chybiłem prawym sierpem, ale on nie chybił lewym.

Odrzuciło mi głowę do tyłu. Straciłem równowagę na tyle, że zdążył rzucić się w bok i wyrwać pistolet z ręki dziewczyny. Pistolet zatańczył w powietrzu i wylądował w jego lewej dłoni.



— Tylko spokojnie — ostrzegł. — Mógłbym cię teraz rozwalić i nikt by mi za to nic nie zrobił. Myślisz, że się przechwalam, ale zapewniam cię, że to prawda.

— Dobra — powiedziałem ochrypłym głosem. — Nie dam się zastrzelić za pięćdziesiąt dolarów dziennie. To kosztuje siedemdziesiąt pięć.

— Odwróć się. Z przyjemnością zajrzę do twojego portfela.

Rzuciłem się na niego, nie zważając na pistolet. Tylko panika mogła go skłonić do strzału, a był na swoim gruncie i nie miał powodu do paniki. Dziewczyna nie była chyba jednak o tym przekonana. Kątem oka zauważyłem, jak sięga po stojącą na stole butelkę whisky.

Chwyliłem Mitchella za szyję. Otworzył usta. Uderzył mnie w coś, ale to nie było takie ważne. Ja przyłożyłem mu znacznie lepiej. Nic mi to jednak nie dało, bo w tym momencie dostałem potężnego, końskiego kopa prosto w tył mózgowicy. Poleciałem zakosami nad jakieś ciemne morze i eksplodowałem płachtą ognia.

## 6

Pierwszym uczuciem, jakiego doznałem, było to, że gdyby ktokolwiek zwrócił się do mnie ostro, to bym się rozplakał. Drugim, że pokój był za ciasny na moją głowę. Prząd głowy znajdował się w znacznej odległości od jej tyłu, boki odsunęły się strasznie daleko od siebie, a mimo to tępy łomot obijał się od skroni do skroni. W naszych czasach odległości nie mają żadnego znaczenia.

Trzecim doznaniem było rozlegające się gdzieś, całkiem niedaleko, uparte wycie. Czwartym i ostatnim — że po plecach cieknie mi lodowato zimna woda. Sądząc po przykryciu łóżka, leżałem twarzą do dołu, jeżeli jeszcze miałem twarz. Przekręciłem się delikatnie, usiadłem i coś zagrzechotało, a potem stuknęło. Był to ręcznik, w który zawinięto topniejące kostki lodu. Musiał mi to położyć na ciemieniu ktoś, kto mnie bardzo kochał. Ktoś, kto kochał mnie trochę mniej, przyłożył mi w tył czaszki. Niewykluczone, że była to ta sama osoba. Ludzie miewają różne nastroje.

Stanąłem na nogi i sięgnąłem do kieszeni. Portfel tkwił na miejscu, w lewej kieszeni, ale zatrzask był odpięty. Sprawdziłem zawartość. Nie brakowało niczego. Portfel udzielił informacji, która nie stanowiła już żadnej tajemnicy. Na szafce przy łóżku stała moja otwarta walizka. A więc znajdowałem się u siebie w pokoju.

Wyjąłem lusterko i obejrzałem twarz. Wydała mi się znajoma. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je. Wycie przybrało na sile. Przede mną stał, opierając się o poręcz schodów, jakiś tęgawy mężczyzna. Był średniego wzrostu, tęgi, ale nie otyły. Pod burym, starym, filcowym kapeluszem nosił okulary i duże uszy. Kołnierz płaszcza miał podniesiony. Ręce trzymał w kieszeniach. Włosy na skroniach miał siwe jak stal. Jego wygląd wyrażał trwałość. Jest to cecha większości tęgich mężczyzn. W jego szklach odbijało się światło padające spoza mnie przez otwarte drzwi. W zębach trzymał krótką pękatą fajkę. Ciągle jeszcze czułem, że mam watę w głowie, ale coś mnie w nim niepokoiło.

— Dobry wieczór — zagadnął.

— Pan w jakiej sprawie?

— Szukam człowieka. Pan nim nie jest.

— Jestem tu sam.

— W porządku — powiedział. — Dziękuję. — Odwrócił się do mnie plecami i oparł brzuchem o poręcz werandy.

Ruszyłem wzdłuż werandy w kierunku, skąd dochodziło wycie. Drzwi pokoju 12 C były szeroko otwarte, światła zapalone, a wycie wydobywało się z odkurzacza, który obsługiwała kobieta w zielonym fartuchu.

Wszedłem do środka i rozejrzałem się. Kobieta wyłączyła odkurzacza i spojrzała na mnie. — Szuka pan czegoś?

— Gdzie jest panna Mayfield?

Wzruszyła ramionami.

— Wynajmowała ten pokój — wyjaśniłem.

— Aha! Ta pani. Wyjechała. Wymeldowała się pół godziny temu. — Ponownie włączyła odkurzacza. — Zresztą niech pan się lepiej zapyta w recepcji — dodała próbując prze krzyknąć hałas. — Tu jest teraz wymiana pościeli.

Sięgnąłem do tyłu i zamknąłem drzwi. Wzdłuż wijącego przewodu odkurzacza dotarłem do ściany i wyrwałem w tyczkę z kontaktu. Kobieta w zielonym fartuchu spojrzała na mnie ze złością. Zbliżyłem się do niej i wręczyłem jej banknot dolarowy. Trochę jej ulżyło.

— Chciałbym tylko zadzwonić — powiedziałem.

— Nie ma pan telefonu w swoim pokoju?

— Niech pani przesunie myślę — zaproponowałem. — Za dolara.

Podeszedłem do telefonu i podniosłem słuchawkę. Odezwał się dziewczęcy głos: — Słucham, recepcja.

— Mówi Marlowe. Nie udało się.

— Co?... Ach, tak. Pan Marlowe. Słucham.

— Wyjechała. Nie zdążyłem się z nią nawet rozmówić.

— Okropnie mi przykro, panie Marlowe. — Powiedziała to tak, jakby naprawdę było jej przykro. — Rzeczywiście się wymeldowała. Nie mogliśmy...

— Powiedziała dokąd?

— Nie. Po prostu zapłaciła i wymeldowała się. Całkiem nagle. Nie podała żadnego adresu.

— Z Mitchellem?

— Niestety, nie wiem, panie Marlowe. Nikogo oprócz niej nie widziałam.

— Coś jednak musiała pani zauważyć. Czym odjechała?

— Taksówką. Ale obawiam się, że...

— W porządku. Dziękuję pani. — Wróciłem do swojego pokoju.

Tęgi facet średniego wzrostu siedział wygodnie na krześle, założywszy nogę na nogę.

— Cieszę się, że pan wpadł — powiedziałem. — Czy mógłbym dla pana zrobić coś konkretnego?

— Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest Larry Mitchell?

— Larry Mitchell? — powtórzyłem z głębokim namysłem. — A czy ja znam Larry'ego Mitchella?

Otworzył portfel i wyjął wizytówkę. Podniósł się z trudem i wręczył mi ją. Wizytówka głosiła: „Goble and Green, Zespół Detektywistyczny, 310 Prudence Building, Kansas City, Missouri”.

— To musi być bardzo ciekawe zajęcie, panie Goble.

— Przyjacielu! Bez żartów. Łatwo się denerwuję.

— Doskonale. Popatrzmy, jak się pan denerwuje. Co pan wtedy robi? Gryzie wąsy?

— Przecież widzisz, że nie mam wąsów, frajerze!

— Mógłby pan sobie zapuścić. Ja poczekam.

Tym razem podniósł się znacznie szybciej. Spojrzał w dół na swoją pięść. Nagle w jego dłoni pojawił się rewolwer.

— Słuchaj no, frajerze! Oberwałeś już kiedyś z pistoletu?

— Panie! Spadaj pan! Pan mnie nudzi. Bardzo mnie nudzą tępaki.

Ręka mu drgnęła, a twarz spurpurowiała. Po czym włożył pistolet z powrotem do pochwy pod pachą i zakolebał się w kierunku drzwi.

— Jeszcze się zobaczymy — warknął przez ramię. Odpuściłem. Taki tekst niewart był odpowiedzi.

Po jakimś czasie udałem się do recepcji.

— No i nie wyszło — stwierdziłem. — Czy widzieliście taksówkarza, który ją zabrał?

— To był Joe Harms — odpowiedziała szybko dziewczyna. Znajdzie go pan na pewno na postoju przy Grand MIITI. Albo proszę od razu zadzwonić do firmy. To porządny gość. Kiedyś się nawet do mnie przystawiał.

— Ale się nie dostawił — zadrwił recepcjonista.

— No, nie byłabym taka pewna. Ciebie chyba przy tym nie było.

— Jasne — westchnął. — Człowiek pracuje po dwadzieścia godzin dziennie, żeby uzbierać na dom. A zanim uzbiera, kilkunastu facetów zdąży obrobić mu dziewczynę.

— Nie tę dziewczynę — wtrąciłem. — Ona się tylko tak z panem droczy. Promienieje cała, kiedy na pana patrzy:

Wyszedłem, a oni uśmiechali się do siebie.

Esmeralda, jak większość małych miast, posiadała jedną ulicę główną. Po obu jej stronach łagodnie spływały uliczki, gdzie najpierw, przeważnie do pierwszej przecznicy, mieściły się instytucje handlowe, by następnie ustąpić miejsca niewiele się od nich różniącym budynkom mieszkalnym. Jednak, w odróżnieniu od większości miasteczek kalifornijskich, w Esmeralda nie było fałszywych frontonów, kiczowatych szyldów, punktów sprzedaży hamburgerów na parkingach, sklepów tytoniowych, sal bilardowych ani też miejscowych osiłków wałęsających się w pobliżu, na rogach ulic. Sklepy na Grand Street były albo stare i ciasne, chociaż niepozbawione gustu, albo zmodernizowane, z wielkimi szybami wystawowymi we framugach z nierdzewnej stali, jasnym neonowym oświetleniem w żywych kolorach. Nie wszystkim w Esmeralda powodziło się dobrze, nie wszyscy byli szczęśliwi, nie wszyscy jeździli Cadillacami, Jaguarami albo Rileyami, ale odsetek żyjących w zdecydowanym dobrobycie był bardzo wysoki. Zaś sklepy sprzedające artykuły luksusowe wyglądały równie schludnie i drogo jak sklepy w Beverly Hills, przy czym o wiele mniej pretensjonalnie. Zauważyłem też jeszcze jedną różnicę. W Esmeralda to, co stare, było schludne, czasem nawet niezwykle. W innych miasteczkach stare jest po prostu zniszczone.

Zaparkowałem w połowie drogi między dwiema przecznicami, dokładnie przed pocztą. Urząd był już oczywiście zamknięty, ale jego cofnięte wejście tworzyło rodzaj niszy, która stanowiąc przykład poświęcenia powierzchni użytkowej na rzecz stylu, mieściła dwie zielone budki telefoniczne,

przypominające budki wartownicze. Po przeciwnej stronie ulicy stała beżowa taksówka, zaparkowana na ukos przy krawężniku między malowanymi na czerwono liniami. Siwowłosy kierowca czytał gazetę. Podeszedłem do niego.

— Pan Joe Harms?

Potrząsnął przecząco głową. — Będzie za chwilę. Potrzebna taksówka?

— Nie, dziękuję.

Wycofałem się, przeszedłem przez ulicę i zatrzymałem się przed jednym z okien wystawowych. Wisiała tam koszula sportowa w brązowożółtą kratę, która przypomniała mi Larry'ego Mitchella. Na dużej powierzchni wystawowej wyłożono brązowe buty z niewyprawionej skóry, tweedy z importu, dwa czy trzy krawaty i dopasowane do nich koszule. Nad sklepem widniało nazwisko mężczyzny, który był kiedyś słynnym lekkoatletą. Nazwisko wyrzeźbiono w drewnie sekwojowym odręcznym charakterem pisma i pomalowano.

Zadzwoił telefon, taksówkarz wysiadł z wozu i poszedł na ukos przez chodnik, żeby go odebrać. Rozmawiał przez chwilę, potem odwiesił słuchawkę, wsiadł do wozu i wyjechał z parkingu. Po jego odjeździe przez dobrą minutę na ulicy panowała zupełna pustka. Potem przemknęło kilka samochodów, przeszła gawędząc i oglądając wystawy jakaś para: przystojny, dobrze ubrany kolorowy chłopak z wystrojoną ślicznotką. Meksykanin w zielonej liberii chłopca hotelowego przyjechał czymś nowojorskim i Chryslerem — chociaż mógł to być jego własny Chrysler — wszedł do sklepu, pojawił się z kartonem papierosów i zawrócił w kierunku hotelu.

Z za rogu wytoczyła się następna taksówka z napisem Esmeralda Cab Company i wjechała między czerwone linie. Wsiadł z niej zwalisty facet w grubych szklach. Sprawdził telefon wiszący na ścianie, wrócił do taksówki i spoza lusterka wstecznego wyciągnął czasopismo.

Podeszedłem do niego. Tak, to był on. Nie miał marynarki, a rękawy koszuli podwinął powyżej łokci, chociaż pogoda nie była odpowiednia na bikini.

— Tak. Jestem Joe Harms — włożył papierosa w zęby i przypalił zapalniczką Ronson.

— Lucille z Rancho Descansado powiedziała mi, że mogę uzyskać od pana pewną drobną informację. — Oparłem się o taksówkę i posłałem mu swój szeroki, ciepły uśmiech. Równie dobrze mógłbym kopać w krawężnik.

— Na jaki temat?

— Dziś wieczór miał pan kurs z jednego z domków Descansado, numer 12 C. Taka dość wysoka dziewczyna rudawymi włosami, nieźle zbudowana. Nazywa się Betty Mayfield, chociaż chyba nie mówiła panu, jak się nazywa.

— Przeważnie mówią tylko, dokąd chcą jechać. Dziwne, co? — Wypuścił z płuc kłęb dymu i obserwował, jak rozpląszcza się na przedniej szybie i rozchodzi po wnętrzu taksówki. — A w czym rzecz?

— Odeszła ode mnie. Trochę się posprzeczałyśmy. Z mojej winy. Chciałbym ją przeprosić.

— Ona gdzieś mieszka?

— Kawał drogi stąd.

Małym palcem strząsnął popiół z papierosa, którego ciągle trzymał w ustach.

— Może ona sobie to zaplanowała. Może nie chce, żeby pan wiedział, gdzie pojechała. Może tak jest dla pana lepiej. Tu w tym mieście przymykają za życie na kocią łapę w hotelu. Wprawdzie tylko wtedy, kiedy się z tego zrobi jakiś skandal, ale wie pan...

— A może ja mówię nieprawdę — powiedziałem i wyjąłem z portfela swoją wizytówkę. Przeczytał i oddał.

— No, teraz lepiej — powiedział. — Trochę lepiej. Ale regulamin zabrania. Nie jeżdżę tą bryczką tylko po to, żeby wyrobić sobie mięśnie.

— Czy zainteresuje pana piątka? Chyba że to również wbrew regulaminowi?

— Firmę prowadzi mój stary. Byłoby mu przykro, gdyby się dowiedział, że coś kręcę na boku. Co nie znaczy, że nie lubię zarobić.

Zadzwoił automat na ścianie. Facet wysunął się z taksówki i w trzech długich krokach był przy nim. Ja stałem w miejscu jak wrośnięty w ziemię, przygryzając wargi. Rozmawiał chwilę przez telefon, po czym wrócił i jednym, płynnym ruchem wślizgnął się za kierownicę.

— Muszę już lecieć — powiedział. — Przepraszam. Jestem trochę do tyłu. Właśnie wróciłem z Del Mar, trasą siedemset czterdzieści siedem na Los Angeles. Większość tutejszych jeździ tamtędy.

Włączył silnik i wychylił się przez okno, żeby wyrzucić papierosa na ulicę.

Powiedziałem: — Dziękuję.

— Za co? — Wyjechał tyłem i znikł za zakrętem.

Ponownie spojrzałem na zegarek. Dane: odległość i czas. Do Del Mar nie było więcej jak dwadzieścia kilometrów, żeby zawieźć kogoś do Del Mar, wysadzić pasażera lub pasażerkę na stacji, zawrócić i przyjechać z powrotem, trzeba prawie godzinę. Poinformował mnie na swój sposób. Mógł w ogóle nic nie mówić, a skoro powiedział, to znaczy, że chciał mi coś przekazać.

Odprowadziłem go wzrokiem, po czym przeszedłem na drugą stronę ulicy do budek przed urzędem pocztowym. Drzwi budki zostawiłem otwarte, wrzuciłem monetę i wykręciłem zero.

— Chciałbym zamówić rozmowę do West Los Angeles na rachunek abonenta. — Podałem numer biura na Bradshaw. — Proszę połączyć mnie z panem Clydem Umneyem. Moje nazwisko Marlowe, Esmeralda 4—2673, automat.

Uzyskanie połączenia trwało krócej niż zamawianie. Odezwał się ostro i pośpiesznie:

— Marlowe? Najwyższy czas, żeby złożył pan jakiś meldunek. Proszę, słucham.

— Jestem w San Diego. Zgubiłem ją. Wyślizgnęła mi się, kiedy się zdrzemnąłem.

— Wiedziałem, że trafiłem na zarozumiałego cwaniaka — powiedział nieprzyjemnym tonem.

— Nie jest tak źle, jakby się zdawało, panie Umney. Wiem mniej więcej, dokąd pojechała.

— Mniej więcej mnie nie interesuje. Kiedy kogoś wynajmuję, wymagam od niego, by działał dokładnie według instrukcji. Co pan rozumie przez „mniej więcej”?

— Panie Umney, czy mógłby mi pan z grubsza powiedzieć, o co tu chodzi? Wdepnąłem w tę sprawę dość nagle z powodu przyjazdu tego pociągu. Pańska sekretarka podała mi sporo danych personalnych, ale bardzo niewiele informacji. Przecież chce pan, żebym był zadowolony ze swojej pracy, prawda, panie Umney?

— Panna Vermilyea powiedziała panu wszystko, co było do powiedzenia — odburknął. — Wykonuję zlecenie poważnej firmy adwokackiej z Waszyngtonu. Ich klient pragnie na razie zachować anonimowość. Do pana należy jedynie śledzenie tej osoby aż do miejsca, w którym się zatrzyma, i mam tu na myśli nie poczekalnię ani nie punkt sprzedaży hamburgerów, ale hotel, pensjonat albo na przykład mieszkanie któregoś z jej znajomych. To wszystko. Czy może być coś łatwiejszego?

— Panie Umney, ja nie proszę o ułatwienia. Proszę o materiał źródłowy. Kim jest dziewczyna, skąd pochodzi, co takiego zrobiła, co stanowi o tym, że ta robota jest konieczna.

— Konieczna! — wrzasnął. — Kim pan jest, do cholery, żeby decydować o tym, co jest konieczne? Znajdź pan dziewczynę, zatrzymaj pan ją i podaj mi pan telefonicznie jej adres. I jeśli pan chce, żebym panu zapłacił, to proszę się pośpieszyć. Daję panu czas do dziesiątej jutro rano. Potem wynajmuję kogoś innego.

— W porządku, panie Umney.

— Gdzie pan się dokładnie znajduje i pod jakim numerem telefonu?

— Właściwie to się kręcę tu i tam. Dostałem w głowę butelką whisky.

— No, to szkoda — powiedział kwaśno. — Podejrzewam jednak, że najpierw ją pan opróżnił.

— Wie pan, mogło być znacznie gorzej. To mogłaby być pańska głowa, panie Umney. Zadzwoń do pańskiego biura około dziesiątej rano. Proszę się nie obawiać. Nikt nikogo nie zgubi. Jest tu jeszcze dwóch facetów, którzy robią to samo co ja. Jeden tutejszy, nazywa się Mitchell, a drugi to tajniak z Kansas City nazwiskiem Goble. Nosi broń. No, to dobranoc, panie Umney.

— Zaraz, zaraz! — zaryczał. — Proszę poczekać! Co to znaczy: jeszcze dwóch?

— Pan mnie pyta, co to znaczy? Przecież to ja pana pytałem. Wygląda na to, że dostał pan tylko część tego zlecenia.

— Chwileczkę! Niech pan poczeka! — Umilkł na moment. Potem odezwał się głosem spokojnym, znacznie mniej napastliwym: — Panie Marlowe, z samego rana zadzwonię do Waszyngtonu. Proszę mi wybaczyć, jeżeli pana uraziłem. Wydaje mi się, że jestem już upoważniony do udzielenia pewnych dodatkowych informacji na temat tego przedsięwzięcia.

— Taak.

— Proszę się ze mną skomunikować natychmiast po ponownym nawiązaniu z nią kontaktu. Bez względu na rodzinę. O każdej porze.

— Taak.

— No, to dobranoc. — Rozłączył się.

Odwiesiłem słuchawkę i wziąłem głęboki oddech. Głowa wciąż mnie bolała, ale zawroty ustąpiły. Wdychałem chłodne, wieczorne powietrze, przesycone morską mgłą. Wydostałem się z budki i wyjrzałem na ulicę. Wrócił już starszy taksówkarz, którego zastałem najpierw na postoju. Podeszedłem do niego i zapytałem, jak dostać się do Szklanej Sali, tam gdzie Mitchell obiecał zabrać pannę Betty Mayfield na kolację. Nie dbając o jej zdanie. Opisał mi drogę, podziękowałem. Znowu przeciąłem ulicę, wsiałem do wynajętego auta i ruszyłem z powrotem tam, skąd przyjechałem.

Nadal zachodziło prawdopodobieństwo, że panna Mayfield złapała ekspres 747 do Los Angeles na jakiejś mniejszej stacji. Ale o wiele bardziej prawdopodobne było to, że tego nie zrobiła. Taksówkarz odwożący klienta na stację nie czeka, aż ten wsiądzie do pociągu. Larry Mitchell nie należy do tych, których łatwo się pozbyć. Jeżeli miał na nią haka na tyle długiego, żeby



ściągnąć ją do Esmeralda, to trudno przypuszczać, żeby nie potrafił jej tu przytrzymać. Wiedział też, kim jestem i co tu robię. Nie wiedział tylko, dlaczego, bo tego ja sam nie wiedziałem. Jeżeli nie był półgłówkiem, a na półgłówka raczej mi nie wyglądał, to musiał liczyć się z tym, że będę śledzić ją aż do miejsca, gdzie dowiezie ją taksówka. Najpierw rozważyłem taką ewentualność, że pojechał do Del Mar, zaparkował swojego wielkiego Buicka gdzieś w ustronnym miejscu i czekał, aż ona przyjedzie taksówką, wysiądzie i weźmie bagaże, a kiedy taksówka rzeczywiście przyjechała, zawróciła i odjechała, zabrał dziewczynę z powrotem do Esmeralda. Następnie zająłem się przypuszczeniem, że ona nie powie mu nic, czego by już wcześniej nie wiedział. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles, nieznany zleceniodawca wynajął mnie, żebym ją śledził, co też robiłem; a potem popełniłem błąd, usiłując podejść za blisko. Mogłoby go to zaniepokoić, ponieważ wskazywało, że ma ograniczone pole działania. Z tym, że skoro informacja, jaką posiadał, cokolwiek by to było, pochodziła z wycinka prasowego, to raczej nie powinien spodziewać się, że uda mu się zachować ją na zawsze tylko dla siebie. Przy odpowiednim zainteresowaniu i cierpliwości każdy mógłby się z czasem do niej dokopać. Każdy, kto był na tyle rozsądny, by wynająć prywatnego detektywa, z pewnością już ją posiadał. To z kolei oznaczało, że jakikolwiek hak — finansowy, miłosny czy oba na raz — przygotował Mitchell na Betty Mayfield, to musiał zarzucić go bez zwłoki.

Około pięćset metrów w głąb wąwozu widniał podświetlony napis „Szklana Sala” ze strzałką wskazującą w kierunku oceanu. Droga schodziła w dół pomiędzy wczepionymi w zbocza domami. Okna domów paliły się ciepłym światłem, oświetlając wypielegnowane ogrody, ściany zdobione sztukaterią oraz pojedynczym kamieniem polnym czy cegłą, wetkniętymi tu i ówdzie między tradycyjne, meksykańskie płyty.

Minąłem ostatni zakręt wokół ostatniego wzgórza, moje nozdrza wypełniła woń wodorostów, przesłonięte mgłą światła Szklanej Sali rozkwitły bursztynowym blaskiem, i przez brukowany parking dobiegły dźwięki muzyki tanecznej.

Zaparkowałem wóz, tuż pod nogami miałem niewidoczne pomrukujące morze. Parkingowego nie było. Po prostu zamykało się samochód i wchodziło do lokalu.

Samochodów niewiele, około trzydziestu. Przyjrzałem im się. Przynajmniej jedno przeczucie się sprawdziło. Buick Roadmaster z dachem mocowanym na stałe posiadał te same numery, które miałem w kieszeni. Stał prawie przy

samym wejściu, a obok niego, na ostatnim skrawku przed wejściem zaparkował bladozielony kabriolet Cadillac. Miał perłowo białą skórzaną tapicerkę, na przednie siedzenie rzucono pled podróżny, żeby się nie kleiło, i wyposażony był we wszystkie możliwe urządzenia, włącznie z ogromnymi lustrzanymi reflektorami, anteną, której nie powstydziliby się kliper tuńczykowy, składanym chromowanym bagażnikiem zewnętrznym, uzupełniającym główny kufer na wypadek dalekich, eleganckich podróży; szkłem przeciwsłonecznym, reflektorem pryzmowym do odczytywania świateł ulicznych, które przesłaniało szkło przeciwsłoneczne; radiem posiadającym tyle pokręteł co konsola sterownicza; zapalniczką, do której wrzuca się papierosa, a ona pali go za Ciebie; i wieloma innymi duperelami, na widok których zawsze zadaję sobie pytanie ile czasu upłynie, zanim producenci zaczną instalować radar, echosondę, barek i baterię przeciwlotniczą.

Obejrzałem sobie to wszystko w świetle małej latarki przypinanej do klapy, którą skierowałem następnie na nalepkę ubezpieczeniową wozu i odczytałem nazwisko właściciela: Clark Brandon, Hotel Casa del Poniente, Esmeralda, Kalifornia.

## 8

Hall wejściowy znajdował się na wyższym poziomie niż bar i dwupoziomowa sala jadalna. Do baru prowadziły kręte schody pokryte dywanem. Na górze nie było nikogo oprócz dziewczyny, która pilnowała kapeluszy w szatni, i starszego faceta w budce telefonicznej, którego wyraz twarzy ostrzegał, że lepiej z nim nie zaczynać.

Zszedłem po schodach do baru i wcisnąłem się w niewielkie zaokrąglone wgłębienie, skąd widać było dobrze krąg taneczny. Jedną ścianę budynku stanowiła szyba ogromnych rozmiarów. Było za nią widać tylko mgłę, ale w jasne noce, kiedy księżyc schodził nisko nad wodę, widok musiał być niezwykły. Trzyosobowy zespół meksykański grał muzykę właściwą meksykańskiemu zespołowi. Cokolwiek grają, zawsze brzmi to tak samo. Śpiewają zawsze tę samą piosenkę, zawsze złożoną z przyjemnych i dla ucha otwartych samogłosek w przeciągłym, słodkim rytmie, a facet, który śpiewa, zawsze brzdąka na gitarze, ma zawsze za długie i zbyt obficie naoliwione włosy i dużo do powiedzenia o „amor mi carazón” oraz o damie, która jest „linda”, chociaż nie daje się przekonać. A kiedy nie zajmuje się sprawami miłości, wygląda na

takiego, co potrafi wydajnie i oszczędnie posługiwać się nożem w ciemnej uliczce.

Na parkiecie kilka par rzucało się w szaleńczym zapomnieniu, przywodząc mi na myśl nocnego stróża cierpiącego na artretyzm. Większość tańczyła ciasno przytulona, jeżeli taniec to odpowiednie słowo. Mężczyźni byli ubrani w białe smokingi, a dziewczynom błyszczały oczy, miały rubinowe usta i mięśnie tenisistek. Jedna para nie przytulała się.

Facet był za bardzo pijany, żeby utrzymać rytm, a dziewczyna nie miała czasu na rytm, bo musiała uważać, żeby nie deptał jej po nogach. Nie potrzebowałem się już martwić, że zgubię pannę Betty Mayfield. Była tam i to z Mitchellem, chociaż daleka od szczęścia. Mitchell miał szeroko otwarte usta, zęby wyszczerzone w uśmiechu, twarz czerwoną i błyszczącą, a wzrok zamglony. Betty usiłowała odsuwać od niego głowę jak mogła najdalej, nie skręcając sobie przy tym szyi. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że ma już dość pana Larry'ego Mitchella.

Podszedł meksykański kelner w krótkiej, zielonej marynarce i białych spodniach z zielonym lampasem. Zamówiłem podwójnego Gibsona i zapytałem, czy mógłby mi podać kanapkę klubową. — Muy bien, senior — powiedział, uśmiechnął się promiennie i znikł.

Muzyka ucichła, rozległy się bezładne oklaski: Orkiestra poczuła się głęboko wzruszona i zagrała jeszcze jeden kawałek. Pomiędzy stolikami krążył ciemnowłosy kierownik sali o wyglądzie amanta z teatru objazdowego, rozdawał przymilne uśmiechy, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby uprzejmie zagadnąć starego bywalca. Potem wysunął krzesło i usiadł naprzeciw wielkiego, przystojnego faceta o wyglądzie Irlandczyka, włosach lekko przyprószonych siwizną, który chyba przyszedł sam. Miał na sobie ciemny smoking z pasowym goździkiem w klapie. Sprawiał wrażenie przyjemnego gościa, byle nie nawijać mu się pod rękę. Z tej odległości i w takim świetle potrafiłem o nim powiedzieć tylko tyle, że jeżeli już wpadło się na niego, to dobrze było też być dużym, szybkim i wytrzymałym osiłkiem w szczytowej formie.

Kierownik sali nachylił się i coś do niego powiedział, po czym obaj spojrzeli w kierunku Mitchella i panny Mayfield. Kierownik był zatroskany, a duży facet jakby się nie przejmował. Kierownik wstał i odszedł. Duży osadził papierosa w cygarniczce i natychmiast zjawił się kelner, strzelił przed nim zapalniczką, jakby cały wieczór tylko na to czekał. Duży podziękował nie podnosząc głowy.

Przyniesiono mi drinka, wychyliłem go szybko. Muzyka znowu ucichła. Pary rozdzieliły się i powędrowały z powrotem do swoich stolików. Larry Mitchell nadal trzymał się Betty. Wciąż się uśmiechał. Potem zaczął przyciągać ją do siebie. Chwycił ją ręką z tyłu za szyję. Próbowala go z siebie strząsnąć. Przyciągnął mocniej i przycisnął swoją czerwoną twarz do jej twarzy. Walczyła, ale był dla niej za silny. Przygniótł jej twarz jeszcze mocniej. Wtedy ona go kopnęła. Odrzucił głowę zirytowany.

— Odwal się, pijana mendo! — wyrzuciła z siebie resztką tchu, ale bardzo wyraźnie.

Jego twarz przybrała zły wyraz. Chwycił ją za ramiona wystarczająco silnie, by zostawić siniaki, powoli, pokonując jej opór, przyciągnął ją do siebie i przytrzymał. Ludzie patrzyli surowo, ale nikt się nie ruszył.

— Co jest, dziecinko? Nie kochasz już wujka? — zapytał głośno i ochryple.

Nie widziałem, co mu zrobiła kolaniem, ale mogłem się domyślić. Zabolalo go. Odepchnął ją i wykrzywił usta w dzikim grymasie. Potem zamachnął się i uderzył ją w twarz, wierzchem dłoni i otwartą dłonią. Na jej policzku natychmiast pojawiła się czerwona pręga. Stała zupełnie spokojnie. Potem powoli, głosem tak wyraźnym, że słycać ją było w całej sali, powiedziała:

— Następnym razem, panie Mitchell, niech pan włoży koszulkę kuloodporną.

Odwróciła się i odeszła. A on stał. Twarz mu pobladła — trudno powiedzieć, czy z bólu, czy z wściekłości. Kierownik sali podszedł do niego i coś wyszeptał, pytając unosząc brwi.

Mitchell spojrzał w dół i obrzucił go wzrokiem. Potem bez słowa ruszył przed siebie, tak, że kierownik sali musiał odskoczyć, żeby go przepuścić. Mitchell poszedł za Betty.

Po drodze potracił siedzącego na krześle mężczyznę, ale nie zatrzymał się, żeby go przeprosić. Betty siedziała teraz przy stoliku pod szklaną ścianą, w pobliżu tego dużego, ciemnego faceta w smokingu. Facet spojrzał na nią. Spojrzał na Mitchella. Wyjął z ust cygarniczkę i spojrzał na nią. Jego twarz była bez wyrazu.

Mitchell podszedł do stolika. — Sprawiałaś mi ból, kochanie — powiedział chrapliwym, ale donośnym głosem. — A kiedy mnie boli, to jestem zły. Jasne? Bardzo zły. Chcesz przeprosić?

Podniosła się, ściągnęła szal z poręczy krzesła i stanęła przed nim.

— Czy mam zapłacić rachunek, czy też zapłaci pan z pieniędzy, które pan ode mnie pożyczył, panie Mitchell?

Zamierzył się, by ją ponownie uderzyć. Nie poruszyła się. Poruszył się facet przy sąsiednim stoliku. Podniósł się i szybkim, miękkim ruchem chwycił Mitchella za przegub dłoni.

— Spokojnie, Larry. Masz już dość. — Powiedział to tonem spokojnym, jakby z lekkim rozbawieniem.

Mitchell wyrwał rękę i odwrócił się do niego.

— Nie wtrącaj się, Brandon,

— Nie mam zamiaru, stary. To nie moja sprawa. Ale lepiej nie bij już tej pani. Nieczęsto wyrzucają stąd gości, ale to się może zdarzyć.

Mitchell zaśmiał się gniewnie. — Odpieprz się, dobra?

Duży zwrócił się do niego łagodnie: — Powiedziałem: spokojnie, Larry. I już nie powtórzę.

Mitchell wpatrywał się w niego.

— Dobra. Pogadamy później — rzucił obrażonym tonem. Ruszył do wyjścia, ale jeszcze się zatrzymał. — Znacznie później — dodał w półobrocie. Potem wyszedł niepewnym, lecz szybkim krokiem, nie oglądając się.

Brandon stał. Dziewczyna też stała. Nie bardzo wiedziała, co dalej.

Spojrzała na niego. On spojrzał na nią. Uśmiechnął się, po prostu uprzejmie i swobodnie się uśmiechnął, bez żadnej zachęty. Dziewczyna nie odwzajemniła mu uśmiechu.

— Czy mogę pani w czymś pomóc? — zapytał. — Może gdzieś podwieźć? — Potem nieznacznie odwrócił głowę. — Aha, Carl!

Kierownik sali podszedł pospiesznie.

— Nie wystawiaj rachunku — powiedział Brandon. — W tej sytuacji, rozumiesz...

— Dziękuję, ale nie życzę sobie, żeby ktoś za mnie płacił — rzuciła dziewczyna ostro.

Powoli pokręcił głową. — Tu jest taki zwyczaj — powiedział. — Ja nie mam z tym nic wspólnego. Natomiast chętnie przyślę pani drinka.

Przyjrzała mu się nieco dłużej. Wyglądał jak należy.

— Przyśle pan? — zapytała.

Uśmiechnął się uprzejmie. — A więc przyniosę. Jeżeli zechce pani usiąść.

Tym razem wysunął dla niej krzesło przy własnym stoliku. Dziewczyna usiadła. I wtedy, dokładnie w tym momencie, a nie sekundę później, kierownik sali dał znak orkiestrze i orkiestra zaczęła grać kolejny kawałek.

Pan Clark Brandon wyglądał na jednego z tych, którzy mają to, co chcą, bez podnoszenia głosu.

Po jakimś czasie dostałem swoją kanapkę klubową. Nic specjalnego, ale dało się zjeść. Zabrałem się do jedzenia. Posiedziałem jeszcze pół godziny. Brandon z dziewczyną całkiem dobrze sobie radzili. Oboje milczeli. Po chwili poszli potańczyć. Potem ja wyszedłem do samochodu i zapaliłem papierosa. Mogła mnie zauważyć, ale nie dała po sobie poznać. Wiem, że Mitchell mnie nie widział. Zbyt szybko zawrócił na schody i był za bardzo wściekły, żeby cokolwiek widzieć.

Około pół do jedenastej Brandon wyszedł razem z nią, wsiedli do Cadillaca i opuścili dach. Pojechałem za nimi, nie kryjąc się, bo wybrali drogę, którą wybrały każdy wracający do centrum Esmeralda. Zajechali przed Casa del Poniente i Brandon odstawił wóz do garażu.

Trzeba było jeszcze tylko sprawdzić jedną rzecz. Zaparkowałem z boku, przy krawężniku, i wszedłem przez hall do telefonów.

Proszę z panną Mayfield, Betty Mayfield.

— Chwileczkę — krótkie milczenie. — Aha, właśnie się zameldowała. Łączę.

Znowu milczenie, tym razem znacznie dłuższe. — Niestety, numer nie odpowiada.

Podziękowałem i odwiesiłem słuchawkę. Wyniosłem się szybko na wypadek, gdyby mieli zamiar zejść oboje do hallu.

Wsiadłem do swego wynajętego rydwanu i udałem się w drogę powrotną przez wąwóz i mgłę do Rancho Descansado. Domek, w którym mieściła się recepcja, wyglądał na zamknięty i pusty. Jedyne zamglone światelko na zewnątrz wskazywało przycisk nocnego dzwonka. Podjechałem do 12 C, ustawiłem wóz na parkingu i ziewając dotarłem do swojego pokoju. Panował w nim chłód, wilgoć i smutek. Ktoś już w nim był przede mną, zdjął z łóżka pasiastą narzutę i zabrał takie same powłoczki.

Rozebrałem się, złożyłem swą kędzierzawą głowę na poduszce i zasnąłem.

## 9

Obudziło mnie stukanie. Bardzo delikatne, ale natarczywe. Miałem wrażenie, że rozlega się już od dawna i że stopniowo wdziera się w mój sen. Przewróciłem się na drugi bok i słuchałem. Ktoś nacisnął klamkę, a potem pukanie rozległo się ponownie. Spojrzałem na zegarek.

Blado fosforyzujące wskazówki pokazywały parę minut po trzeciej. Wstałem z łóżka, podszedłem do walizki i sięgnąłem po pistolet. Zbliżyłem się do drzwi i

uchyliłem je nieznacznie. Stała za nimi ciemna postać w spodniach. I w jakimś prochowcu. I w ciemnym szalu na głowie. Była to kobieta.

— O co chodzi?

— Proszę mnie wpuścić. Szybko. I niech pan nie zapala światła.

A więc to Betty Mayfield. Otworzyłem drzwi, a ona wślizgnęła się jak powiew mgły. Zamknąłem drzwi. Sięgnąłem po szlafrok i wciągnąłem go.

— Czy ktoś został na zewnątrz? — zapytałem. — W pokoju obok nie ma nikogo.

— Nikt. Jestem sama. — Oparła się o ścianę i oddychała szybko. Wyciągnąłem z płaszcza latarkę i cienkim pasemkiem światła odszukałem włącznik piecyka. Oświetliłem jej twarz. Zmrużyła oczy i podniosła rękę. Opuściłem światło na podłogę, przesunąłem w stronę okien, zamknąłem oba, spuściłem i zasunąłem żaluzje. Potem wróciłem i zapaliłem lampę.

Syknęła, ale nic nie powiedziała. Wciąż opierała się o ścianę. Chyba bardzo potrzebowała jakiegoś drinka. Poszedłem do kuchenki, nalałem trochę whisky do szklanki i przyniosłem jej. Odmówiła ruchem ręki, potem zmieniła zdanie, złapała szklankę i wychyliła.

Usiadłem i zapaliłem papierosa — ot, automatyczna reakcja, która tak nuży u innych. Potem po prostu siedziałem sobie, patrzyłem na nią i czekałem.

Nasze oczy spotkały się ponad rozległymi obszarami pustki. Po chwili sięgnęła z wolna do kieszeni prochowca i wyciągnęła pistolet.

— O, nie! — powiedziałem. — Raz wystarczy.

Spojrzała na pistolet. Jej wargi drżały. Nie mierzyła w nic konkretnego. Oderwała się od ściany i podeszła, żeby położyć pistolet obok mojego łokcia.

— My się już znamy — powiedziałem. — Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Widziałem go ostatnio u Mitchella. O co chodzi?

— I dlatego cię uderzyłam. Bałam się, że może cię zastrzelić.

— To by pokrzyżowało jego plany. Bez względu na to, jakie ma plany.

— Nie wiedziałam. Nie byłam pewna. Przepraszam. Przepraszam, że cię uderzyłam.

— Dziękuję za łód — powiedziałem.

— Nie chcesz przyrzyć się temu pistoletowi?

— Już się przyjrzałem.

— Przyszłam tutaj pieszo z Casa. Teraz tam mieszkam. Przeniosłam się... Przeniosłam się po południu.

— Wiem. Wzięłaś taksówkę na stację w Del Mar, żeby łapać wieczorny pociąg, a potem Mitchell cię zabrał i przywiózł z powrotem. Zjedliście razem

kolację, tańczyliście i doszło do małego spięcia. Facet, który nazywa się Clark Brandon, podwiózł cię do hotelu swoim kabrioletem.

Patrzyła na mnie zdziwiona. — Nie widziałam cię tam — odezwała się w końcu tonem, który świadczył, że myśli o czymś zupełnie innym.

— Siedziałem w barze. Kiedy bawiłaś się z Mitchellem, i byłaś zbyt zajęta dostawaniem po twarzy i radzeniem mu, żeby następnym razem włożył koszulkę kuloodporną. A potem, przy stoliku Brandona, siedziałaś tyłem do mnie. Wyszedłem przed wami i czekałem na zewnątrz.

— Zaczynam wierzyć, że naprawdę jesteś detektywem — powiedziała cicho. Znowu przeniosła wzrok na pistolet. — On mi go wcale nie oddał — wyjaśniła. — Oczywiście, nie mogę tego udowodnić.

— To znaczy, że chciałabyś udowodnić.

— To byłoby pożyteczne. Ale raczej niewystarczające. Zwłaszcza, kiedy wpadną na to, kim jestem. Wiesz chyba, o czym mówię?

— Siadaj i przestań dzwonić zębami.

Podeszła powoli do fotela, usiadła na samym brzegu i pochyliła się do przodu. Patrzyła w podłogę.

— Wiem, że jest coś, na co trzeba wpaść — odparłem. — Bo Mitchell na to wpadł. Więc ja też mógłbym na to wpaść, gdybym się postarał. Mógłby to zrobić każdy, kto wie, że istnieje coś takiego. Na razie nie wiem, o co chodzi. Zlecono mi tylko utrzymać kontakt i meldować.

Rzuciła mi szybkie spojrzenie. — I zrobiłeś to?

— Złożyłem meldunek — powiedziałem po chwili. — i w międzyczasie straciłem kontakt. Wspomniałem coś o San Diego Zresztą on i tak wie o tym od telefonistki.

— Straciłeś kontakt — powtórzyła sucho. — Kimkolwiek on jest; to musi mieć o tobie wysokie mniemanie. — Przygryzła wargę. — Przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć. Staram się podjąć decyzję w pewnej sprawie.

— Nie spiesz się — poradziłem. — Dopiero dwadzieścia po trzeciej.

— No, teraz to ty szydzisz.

Popatrzyła w kierunku grzejnika ściennego. Nie dawał znaku życia, ale chłód jakby nieco zelżał. Uznałem, że muszę się czegoś napić. Wyszedłem do kuchni i strzeliłem sobie drinka. Postawiłem szklanekę, dolałem i wróciłem do pokoju.

Trzymała teraz w ręce portfelik z imitacji skóry. Pokazała mi jego zawartość.

— Mam tu pięć tysięcy dolarów w czekach American Express po sto. Co pan może zrobić za pięć kawałków, panie Marlowe?

Pociągnąłem łyk whisky. Zastanawiałem się ze skupionym wyrazem twarzy.



— Przyjmując normalną stawkę kosztów własnych, można by mnie za to mieć na cały etat przez kilka miesięcy. To znaczy, gdybym akurat był do kupienia.

Postukiwała portfelem w oparcie krzesła. Zauważyłem, iż palcami drugiej ręki tak głęboko wpijała się w kolano, że omal nie wyrwała sobie rzepki.

— Jesteś do kupienia — stwierdziła. — Ale to byłby tylko Km zadatek. Kupowałam już za większą forszę. Mam więcej pieniędzy, niż ci się kiedykolwiek śniło. Mój ostatni mąż był tak bogaty, że aż przykro. Wyduśiłam z niego okrągły milion.

Przybrała drwiący grymas i dała mi dużo czasu, żebym się do niego przyzwyczaił.

— Rozumiem, że nie będę musiał nikogo zamordować.

— Nie będziesz musiał nikogo zamordować.

— Nie podoba mi się ton, jakim to mówisz.

Spojrzałem z ukosa na rewolwer, którego dotychczas nie tknąłem nawet palcem. Przyszła piechotą z Casa, w środku nocy, żeby mi go przynieść. Nie musiałem go dotykać. Patrzyłem. Pochyliłem się i powąchałem. Nadal nie musiałem go dotykać, ale wiedziałem, że dotknę.

— Komu dostała się kulka?—zapytałem. Chłód panujący w pokoju zmroził mi krew w żyłach. Płynęła w nich lodowata woda.

— Skąd wiesz, że tylko jedna?

Wtedy wziąłem pistolet. Wyciągnąłem magazynek, obejrzałem i włożyłem z powrotem. Gładko zaskoczył w rękojeść.

— Może nawet dwie — odparłem. — W magazynku jest sześć. Pistolet siedmiostrzałowy. Mogłaś zużyć jeden, a potem włożyć nowy do magazynka. Oczywiście, mogłaś też wystrzelać cały magazynek, a potem włożyć sześć nowych.

— Tak sobie po prostu rozmawiamy, prawda? — powiedziała powoli. — Nie bardzo mamy ochotę nazywać rzeczy po imieniu.

— Dobra. Gdzie on jest?

— Na leżance na balkonie mojego pokoju. Wszystkie pokoje po tej stronie mają balkony. Balkony mają z przodu betonowe barierki, a boczne przegrody — to znaczy między pokojami czy apartamentami — są wysunięte na zewnątrz. Myślę, że jakiś akrobata albo alpinista potrafiłby obejść taką ściankę, ale na pewno nie z ciężarem. Mój pokój jest na dwunastym piętrze. Wyżej jest już tylko poddasze. — Przerwała i zmarszczyła czoło, a potem wykonała bezbronny gest ręką, która dotąd ścisnęła kolano. — To zabrzmia trochę naiwnie — ciągnęła

— ale mógł się tam dostać tylko przez mój pokój. A ja nie wpuszczałam go do pokoju.

— I jesteś pewna, że nie żyje?

— Absolutnie pewna. Absolutnie nie żyje. Zimny trup. Nie wiem, kiedy to się stało. Nic nie słyszałam. Coś mnie zbudziło, to prawda. Ale to nie był żaden odgłos strzału. Zresztą on i tak już był zimny. Więc nie wiem, co mnie zbudziło. I nie wstałam od razu. Po prostu leżałam i myślałam. Nie mogłam zasnąć na nowo, więc po chwili zapaliłam lampkę, wstałam, zaczęłam chodzić po pokoju i zapaliłam papierosa. Zauważyłam, że mgła opadła i że świeci księżyc. Nie w dół, na ziemię, ale na podłogę w moim pokoju. Kiedy wyszłam na balkon, w dole ciągle jeszcze leżała mgła. Było cholernie zimno. Gwiazdy wydawały się ogromne. Stałam jakiś czas pod ścianą, zanim go zauważyłam. To chyba też wygląda dość naiwnie... albo nieprawdopodobnie. Myślę, że policja nie potraktuje tego niepoważnie. A potem — no, powiedzmy szczerze. Nie mam nawet jednej szansy na milion, jeżeli nikt mi nie pomoże.

Podniosłem się, wychyliłem resztę whisky i podszedłem do niej.

— Powiem ci coś. Po pierwsze, twoje reakcje są nienormalne. Nie jesteś zimna jak lód, ale jesteś zbyt opanowana. Nie okazujesz paniki, hysterii, absolutnie niczego. Zachowujesz się jak fatalistka. Po drugie, słyszałem dziś po południu całą twoją rozmowę z Mitchellem. Wykręciłem tamte żarówki — wskazałem grzejnik — i przyłożyłem stetoskop do tej ścianki z tyłu. Mitchell wiedział, kim jesteś, co oznaczało, że gdyby to podał do wiadomości publicznej, musiałabyś najprawdopodobniej znowu zmieniać nazwisko i spływać do jakiegoś innego miasta. Powiedziałaś mi, że jesteś najszcześniejszą dziewczyną pod słońcem, ponieważ żyjesz. A teraz, na twoim balkonie, leży trup faceta zastrzelonego z twojego pistoletu i tym facetem jest oczywiście Mitchell. Zgadza się?

Kiwnęła głową potakująco. — Tak, to Larry.

— I powiadasz, że go nie zabiłaś. I że gliny na pewno już od samego początku w to nie uwierzą. A potem tym mniej. Domyślam się, że miałaś z nimi przedtem do czynienia.

Ciągle patrzyła na mnie z fotela. Podniosła się powoli. Nasze twarze zbliżyły się, patrzyliśmy sobie teraz twardo prosto w oczy. Nie miało to już najmniejszego znaczenia.

— Pół miliona dolarów to dużo, to kupa forsy, Marlowe. Nie jesteś taki twardy, żeby odmówić. Jest na świecie wiele miejsc, gdzie moglibyśmy pięknie spędzić życie. Na przykład w jednym z tych wysokich, luksusowych

wieżowców w Rio, nad brzegiem oceanu. Nie wiem, jak długo mogłoby trwać coś takiego, ale nie ma rzeczy nie do załatwienia. Co ty na to?

— Ileż w tobie jest przeróżnych dziewczyn — zauważyłem. — Teraz robisz z siebie dziwkę. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, byłaś spokojną, dobrze urodzoną damą, która nie lubi, kiedy czepiają się jej takie przystojniaki jak Mitchell. Potem kupiłaś sobie paczkę papierosów i zapaliłaś jednego tak, jakbyś nie znosiła palenia. Zaraz po przyjeździe tutaj dałaś mu się objąć. A na mój widok porwałaś na sobie bluzkę, he, he, he, z cynizmem godnym utrzymanki z Park Avenue tuż po wyjściu kochanka do domu. Potem mnie też pozwoliłaś się objąć. A potem rozbiłaś na mojej głowie butelkę whisky. I teraz roztaczasz przede mną uroki wspólnego życia w Rio. Którą z was oglądałbym obok siebie w łóżku, budząc się co rano?

— Pięć patyków z góry. A potem znacznie więcej. Od policji nie dostaniesz nawet pięciu wykałaczek. Jeżeli jesteś innego zdania, to proszę bardzo, dzwoń.

— Co mam zrobić za te pięć patyków?

Powoli wypuściła powietrze. — Hotel stoi prawie na samej krawędzi skały. Dołem biegnie tylko wąska, bardzo wąska ścieżka. Niżej są już tylko głazy i ocean. Przyływ jest wysoki. Nad tym wszystkim wisi mój balkon.

Kiwnąłem głową. — Są schody przeciwpożarowe?

— Z garażu. Zaczynają się zaraz przy wejściu do windy w suterenie, kilka stopni powyżej poziomu garażu. Ale podejście jest długie i ciężkie.

— Za pięć kawałków mógłbym wejść na górę nawet w pełnym oporządzeniu pletwonurka. Czy wyszłaś przez hall?

— Nie, schodami przeciwpożarowymi. Garaż jest strzeżony całą dobę, ale stróż spał w jednym z samochodów.

— Mówisz, że Mitchell leży na balkonie. Czy jest tam dużo krwi?

Zamrugła oczami. — No... Właściwie... nie zauważyłam. Chyba tak.

— Nie zauważyłaś? Chociaż byłaś wystarczająco blisko, żeby stwierdzić, że nie żyje i że jest zimny. Gdzie dostał?

— Nie widziałam żadnej rany. Musiała być gdzieś pod spodem.

— Gdzie leżał pistolet?

— Na posadzce balkonu, koło jego ręki.

— Której ręki?

Otworzyła szeroko oczy. — A co to ma za znaczenie? Nie wiem, przy której. On leży jakoś tak w poprzek, głowa mu zwisa z jednej strony, nogi z drugiej. Czy musimy jeszcze o tym rozmawiać?

— W porządku — powiedziałem. — Nie mam pojęcia, jakie tu są prądy i przyływy. Może go wyrzucić na plażę już jutro, ale równie dobrze może nie wypływać przez dwa tygodnie. Oczywiście, zakładając, że znieśliśmy go na dół. Jeżeli potrwa to długo, mogą nawet nie być w stanie stwierdzić, czy został zastrzelony. Istnieje też pewna szansa, że w ogóle go nie znajdą. Niewielka, ale zawsze. W tych wodach są barakudy i inne takie stworzenia.

— Widzę, że dokładasz wszelkich starań, żeby brzmiało to odrażająco — zauważyła.

— Właściwie przejąłem tylko pałeczkę. Zastanawiam się też, czy jest jakaś szansa na samobójstwo. Musielibyśmy wtedy zanieść pistolet z powrotem. On był leworęczny. Dlatego chciałem wiedzieć, która to była ręka.

— Ach tak, rzeczywiście, był leworęczny. Zgadza się. Ale samobójstwo nie przejdzie. Nie w przypadku takiego zadowolonego z siebie przystojniaczka.

— Mówi się, że człowiek potrafi czasem zabić to, co dla niego najdroższe. Czyli, w jego przypadku, siebie samego.

— To nie leżało w jego naturze — powiedziała krótko i stanowczo. — Jeżeli będziemy mieli dużo szczęścia, to mogą myśleć, że wypadł przez balkon. Był przecież wystarczająco pijany. A w tym czasie ja będę już w Ameryce Południowej. Mój paszport jest ciągle ważny.

— Na jakie nazwisko masz paszport?

Wyciągnęła dłoń i końcami palców przejechała po moim policzku.

— Już wkrótce będziesz o mnie wiedział wszystko. Tylko bądź cierpliwy. Poznasz moje najintymniejsze sprawy. Czy możesz jeszcze trochę poczekać?

— Tak. Zaczniemy od zawarcia bliższej znajomości z tymi czekami. Mamy jeszcze godzinę, najwyżej dwie godziny ciemności. Mgła utrzyma się może nieco dłużej. Zajmij się czekami, a ja się ubiorę.

Sięgnąłem do marynarki i podałem jej wieczne pióro Usiadła bliżej światła i wysuwając język zabrała się do podpisywania czeków. Pisała powoli i uważnie. Wpisał nazwisko Elizabeth Mayfield.

A więc zaplanowała zmianę nazwiska jeszcze przed wyjazdem z Waszyngtonu.

Ubierając się zastanawiałem się, czy rzeczywiście jest na tyle głupia, żeby przypuszczać, że pomogę jej pozbyć się ciała.

Zaniósłem szklanki do kuchni, a po drodze wziąłem pistolet. Zaczekałem, aż zamknęły się za mną drzwi wahadłowe, po czym wsunąłem pistolet wraz z magazynkiem do szuflady pod piekarnikiem. Wypłukałem i wytarłem szklanki. Wróciłem do pokoju i włożyłem płaszcz. Nawet na mnie nie spojrziała.

Ciągle podpisywała czeki. Kiedy skończyła, wziąłem od niej książeczkę i przerzuciłem wszystkie czeki jeden po drugim, sprawdzając podpisy. Ta duża forsa nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Wsunąłem czeki do kieszeni, zgasilem lampę i ruszyłem do drzwi. Otworzyłem je, a ona znalazła się tuż za mną. Bardzo blisko mnie.

— Wymknij się dyskretnie — poradziłem. — Czekaj na mnie na szosie, przy końcu ogrodzenia.

Spojrzała mi w oczy, lekko nachylając się ku mnie.

— Czy mogę ci ufać? — spytała cicho.

— Do pewnego stopnia.

— Przynajmniej jesteś szczery. A jeżeli nam się nie uda? Jeżeli ktoś słyszał strzał i doniósł na policję, jeżeli już go znaleźli, jeżeli przyjdziemy, a tam już pełno glin?

Stałem nieruchomo, obserwując jej twarz, i nic nie odpowiedziałem.

— Powiem ci — mówiła bardzo powoli i cicho. — Wydasz mnie bez zmruczenia oka. I nie dostaniesz żadnych pięciu tysięcy. Te czeki będą warte tyle, co stara gazeta. Nie odważysz się zrealizować ani jednego z nich.

Milczałem nadal.

— Ty sukinsynu. — Nie podniosła głosu nawet o pół tonu. I po co ja w ogóle do ciebie przychodziłam?

Ująłem jej twarz i pocałowałem w usta. Odepchnęła mnie.

— Nie po to — zapewniła. — Na pewno nie po to. I jeszcze jeden drobiazg. Wiem, że jest zupełnie nieistotny. Musiałam się tego uczyć u doświadczonych nauczycieli. Brałam dużo lekcji — długich, trudnych i bolesnych. Tak się jednak akurat składa, że ja go nie zabiłam.

— Może ci nawet wierzę.

— Nie wysilaj się — powiedziała. — Nikt nie wierzy.

Odwróciła się, przebiegła wzdłuż werandy i na dół po schodach. Przemknęła między drzewami. Po kilkunastu krokach zniknęła we mgle.

Zamknąłem pokój, wsiadłem do wozu i ruszyłem cicho uliczką wyjazdową, mijając zamkniętą recepcję ze światelkiem nad nocnym dzwonkiem. Cała okolica pogrążona była we śnie, chociaż w wąwozie dudniły ciężarówki wiozące materiały budowlane i ropę, wielkie kontenerowce przyczepami lub bez, wypełnione wszystkim tym, co potrzebne jest miastu do życia. Ciężarówki jechały na światłach przeciwmgielnych i wspinały się pod górę z wolna i ociężale.

Jakieś pięćdziesiąt metrów za bramą, przy końcu płotu, wyszła z cienia i wsiadła do wozu. Włączyłem światła drogowe. Gdzieś daleko, na wodzie, zawodził sygnał mgłowy. Wysoko, po czystym niebie, z jękiem, jazgotem i hukami fali uderzeniowej przeszła formacja odrzutowców z North Island i zniknęła, zanim zdążyłem wyciągnąć zapalniczkę i zapalić papierosa.

Dziewczyna siedziała obok bez ruchu patrząc w milczeniu przed siebie. Nie widziała ani mgły, ani tylnych świateł ciężarówki, do której właśnie się zbliżaliśmy. Nie widziała niczego. Siedziała zastygła w bezruchu, skamieniała z rozpaczy, jak w drodze na szafot.

Chyba, że grała. W takim razie dawno nie spotkałem lepszej aktoreczki.

## 10

Hotel Casa del Poniente wznosił się na krawędzi skalistego wybrzeża, w otoczeniu około trzech hektarów trawnika z klombami. Od strony osłoniętej od oceanu posiadał patio. Za szklaną przegrodą stały nakryte stoły, a pomiędzy nimi biegł chodnik prowadzący do wejścia. Po jednej stronie znajdował się bar, po drugiej kawiarnia, a po obu stronach budynku zadaszone parkingi, ukryte częściowo za prawie dwumetrowej wysokości żywopłotem kwitnących krzewów. Na parkingach stały samochody. Nie wszystkim chciało się używać garażu w podziemiach, chociaż wilgotne, słone powietrze jest szkodliwe dla chromu.

Ustawiłem wóz nie opodal zjazdu do garażu. Szum oceanu dochodził z bardzo bliska. Czuło się zapach, dotyk i smak pyłu wodnego. Wysiedliśmy i zbliżyliśmy się do wejścia do garażu. Z jednej strony zjazdu biegł wąski chodnik. W połowie drogi wisiała tablica z napisem: „Zjeżdżać na niskim biegu. Ostrzegać klaksonem”. Dziewczyna chwyciła mnie za ramię, żeby mnie zatrzymać.

— Wejść przez główny hall. Jestem za bardzo zmęczona żeby wchodzić po tych schodach.

— W porządku. Prawo nie zabrania. Który numer pokoju?

— 1224. A co będzie, jak nas złapią?

— Na czym?

— Wiesz, na czym. Na wyrzucaniu... na przerzucaniu przez barierę balkonu. Czy gdzie indziej.

— Wtedy mnie na pewno wrzucą do mrowiska. A z tobą nie wiem, co będzie. To zależy od tego, co jeszcze mają przeciwko tobie.

— Jak możesz opowiadać takie rzeczy przed śniadaniem?

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Ja ruszyłem w dół do garażu, drogą, która zakreślała tak jak wszystkie zjazdy do garażu, i po chwili zobaczyłem oszkloną budkę garażowego, w której wisiała lampa. Nasłuchiwałem, spodziewając się szczęku narzędzi przy jakiejś drobnej naprawie samochodu, plusku wody w umywalce, kroków, pogwizdywania czy innych dźwięków mogących świadczyć o tym, gdzie był i czym zajmował się nocny stróż. W takim garażu słycać każdy, nawet najmniejszy szmer. Nic nie słyszałem.

Zszedłem jeszcze niżej i znalazłem się prawie na tym samym poziomie co krawędź dachu budki. Kiedy się zatrzymałem, dostrzegłem kilka stopni prowadzących w górę do wind. Drzwi oznaczone napisem „Do windy” były częściowo oszklone i mogłem stwierdzić tylko tyle, że paliło się za nimi światło.

Zrobiłem jeszcze trzy kroki do przodu i zamarłem. Stróż nocny patrzył wprost na mnie z tylnego siedzenia dużego Packarda Sedan. Na jego twarz padało światło. Miał okulary i światło ostro się w nich odbijało. Siedział wygodnie rozparty w rogu auta. Stałem i czekałem, aż się poruszy. Nie poruszył się. Jego głowa opierała się o poduszki samochodu. Usta miał otwarte. Musiałem sprawdzić, dlaczego się nie ruszał. Mógł po prostu udawać, że śpi, dopóki nie wyjdę. A potem dopadnie telefonu i zadzwoni do recepcji.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że to bez sensu. Przecież zaczął zmianę dopiero wieczorem i nie mógł znać wszystkich gości z widzenia. Chodnik wzdłuż zjazdu do garażu był po to, żeby po nim chodzić. Dochodziła czwarta rano. Żaden złodziej hotelowy nie przychodzi o tak późnej porze.

Podszedłem prosto do Packarda i zajrzałem do środka. Wszystkie okna były dokładnie zamknięte. Mężczyzna nie poruszył się. Sięgnąłem do klamki i spróbowałem bezgłośnie otworzyć drzwi. Nadal się nie poruszył. Wyglądał mi na kolorowego. A także na śpiącego, bo słyszałem jego chrapanie, jeszcze zanim otworzyłem drzwi. I wtedy wionęło mi prosto w twarz miodowym oparem dobrze przyprawionej marihuany. Facet odpłynął, przebywał teraz w dolinie spokoju, gdzie czas się zatrzymał, gdzie świat to tylko kolory i muzyka. A za parę godzin nie będzie już tu pracował, nawet, jeżeli nie dopadną go gliny i nie wsadzą do mamra.

Zamknąłem samochód i skierowałem się ku oszklonemu wejściu. Wszedłem do niewielkiego, pustego korytarza z betonową podłogą, gdzie były dwie windy, a obok automatycznie zamykane drzwi wiodące na schody przeciwpożarowe. Otworzyłem je i ruszyłem na górę. Szedłem powoli. Dwanaście kondygnacji

plus piwnica to w sumie sporo stopni. Liczyłem mijane drzwi pożarowe, ponieważ nie miały numerów. Wszystkie były ciężkie, solidne i szare jak beton schodów. Kiedy dotarłem na dwunaste piętro, byłem spocony i brakowało mi tchu. Znalazłem pokój 1224 i nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte, ale niemal natychmiast zostały otwarte, tak jakby czekała tuż za nimi. Wszedłem do środka, minąłem ją, opadłem na fotel i czekałem, aż wróci mi oddech. Pokój był duży, przestronny i miał oszklone drzwi wychodzące na balkon. Dwuosobowe łóżko było już używane albo miało sprawiać takie wrażenie. Na fotelach leżały różne części garderoby, na toaletce kosmetyki, tu i tam bagaże. Szacowałem pokój dwadzieścia dolarów dziennie od osoby.

Zamknęła drzwi na zatrask. — Wszystko w porządku?

— Nocny stróż zaćpany po uszy. Nieszkodliwy jak ćma. — podniosłem się z fotela i ruszyłem w stronę drzwi balkonowych.

— Zaczekaj! — zatrzymała mnie ostro. Odwróciłem się i spojrzałem na nią. — To nie ma sensu — powiedziała. — Tego się nie da załatwić.

Czekałem.

— Chyba wezwę policję — ciągnęła. — Choćby miało się to dla mnie źle skończyć.

— Świetny pomysł — odparłem. — Ciekawe, dlaczego nie wpadliśmy na to wcześniej.

— Będzie lepiej, jak sobie pójdiesz — oświadczyła. — Nie powinienes się w to mieszać.

Nie odzywałem się. Obserwowałem jej oczy. Z trudem walczyła ze snem. Albo był to skutek opóźnionego działania szoku, albo jakiegoś środka. Trudno było powiedzieć.

— Wzięłam dwa nasenne — odezwała się czytając w moich myślach. — Nie jestem dzisiaj w stanie stawić czoła nowym kłopotom. Idź już, proszę cię. Kiedy się obudzę, zadzwonię po kogoś z obsługi. A jak przyjdzie kelner, postaram się jakoś wywabić go na balkon, żeby zobaczył to, co ma zobaczyć. A ja nic o tym nie wiem. — Płatał jej się język Otrząsnęła się i mocno potarła skronie. — Przepraszam za ten numer z pieniędzmi. Będziesz musiał mi je oddać, prawda?

Zbliżyłem się do niej. — Bo jeśli nie, to wszystko im opowiesz, tak?

— Będę musiała — odpowiedziała sennie. — Nic na to nie poradzę. I tak ze mnie wyciągną. Jestem... już taka skonana, że nie mogę dalej walczyć.

Chwyciłem ją za ramię i potrząsałem. Jej głowa kiwała się bezwładnie. — Na pewno wzięłaś tylko dwa?

Otworzyła oczy, mrugając. — Tak. Nigdy nie biorę więcej.



— Wobec tego posłuchaj. Pójdę mu się przyjrzeć. Potem wracam do Rancho. Twoje pieniądze zatrzymuję. Mam też twój pistolet. Może do mnie nie dojdą, ale... Obudź się! Słuchaj! Mówię do ciebie! — Głowa znowu opadła jej do tyłu. Wyprostowała się, jej źrenice rozszerzyły się, ale wzrok miała mętny i nieobecny. — Posłuchaj. Jeżeli nie dotrą do ciebie, to z pewnością nie dojdą też do mnie Pracuję dla adwokata i mam na ciebie zlecenie. Czeka i pistolet znajdują się gdzie trzeba i twoja bajeczka dla glin nie będzie warta funta kłaków. Może najwyżej przyczynić się do tego, że będziesz prędzej wisieć. Rozumiesz?

— Tak, taak — powiedziała. — A mnie to... mnie to, gównu obchodzi.

— To już nie ty mówisz, to proszek.

Poleciała do przodu, ale przytrzymałem ją i zaprowadziłem do łóżka. Padła jak kłoda. Zdjąłem jej buty i przykryłem ją kocem. Zasnęła od razu. Zaczęła chrapać. Poszedłem do łazienki, rozejrzałem się i znalazłem na półce buteleczkę nembutalu. Była prawie pełna. Widniał na niej numer recepty i data sprzedaży sprzed miesiąca, apteką w Baltimore. Wysypałem proszki na dłoń i policzyłem. Było czterdzieści siedem i wypełniały butelkę prawie po sam korek. Kiedy chcą się zabić, połykają wszystkie na raz — chyba, że się rozsypią, a prawie zawsze kilka im się wysypuje. Wrzuciłem proszki z powrotem i wsunąłem butelkę do kieszeni.

Wróciwszy do pokoju przyjrzałem jej się jeszcze raz. W pokoju panował ziąb. Włączyłem kaloryfer, ale nie na cały regulator. Na koniec otworzyłem drzwi balkonowe i wyszedłem na balkon. Na zewnątrz było cholernie zimo. Balkon miał wymiary mniej więcej trzy i pół na cztery i pół metra i osiemdziesięciocentymetrową betonową barierę z niską żelazną poręczą. Można to było przeskoczyć bez trudu, ale wypaść przypadkiem byłoby raczej trudno. Stały tam dwie aluminiowe leżanki z poduszkami i dwa leżaki tego samego typu. Przegroda po lewej wystawała tak, jak dziewczyna mówiła. Nie wydało mi się, żeby była do sforsowania bez użycia sprzętu, nawet przez akrobatę. Po przeciwnej stronie przegroda wznosiła się równo aż do jakiejś krawędzi, prawdopodobnie jednego z tarasów poddasza.

Ani na leżance, ani na podłodze balkonu, ani nigdzie nie było żadnego nieboszczyka. Szukałem śladów krwi. Krwi nie było. Na całym balkonie nie było najmniejszego śladu krwi. Obejrzałem poręcz. Tam też nie było. Nic nie wskazywało, żeby coś przez nią przerzucano. Stałem przy samej przegrodzie i trzymając się metalowej poręczy wychyliłem się najgłębiej, jak mogłem. Patrzyłem w dół po ścianie aż do stóp budynku. Przy samej ścianie rosły krzaki,

potem był wąski pasek trawnika, a dalej chodnik z płyt, jeszcze jeden pas trawy i solidne ogrodzenie gęsto obrośnięte krzewami. Oceeniłem odległość, ale było tam co najmniej dziesięć metrów. Za ogrodzeniem, wokół zanurzonych do połowy głazów, pieniało się morze.

Larry Mitchell mógł być o około trzy centymetry wyższy ode mnie, ale ważył, z grubsza biorąc, jakieś siedem, osiem kilo mniej. Nie było takiego człowieka, który potrafiłby przerzucić przez barierkę ciało ważącego prawie osiemdziesiąt kilogramów mężczyzny na tyle daleko, żeby wpadło do oceanu. Było też mało prawdopodobne, żeby dziewczyna nie zdawała sobie z tego sprawy, po prostu mało prawdopodobne, powiedzmy, prawdopodobne w jednej dziesiątej procenta.

Otworzyłem drzwi balkonowe, wróciłem do pokoju, zamknąłem drzwi i podszedłem do stolika przy łóżku. Nadal głęboko spała. I nadal chrapała. Dotknąłem jej policzka wnętrzem dłoni. Był wilgotny. Poruszyła się i coś mruknęła. Potem westchnęła i poprawiła głowę na poduszce. Brak chrapliwego oddechu, nie wystąpiło żadne odrętwienie ani letarg, nie było, więc też przedawkowania.

Mówiła prawdę, ale tylko w tej jednej sprawie.

W górnej szufladzie toaletki pod lustrem znalazłem jej torebkę. Miała z tyłu kieszeń zapinaną na zamek błyskawiczny. Włożyłem tam książeczkę czekową i przejrzałem zawartość torebki w poszukiwaniu danych. W kieszeni było kilka nowych, złożonych na pół banknotów, rozkład jazdy pociągów z Santa Fe, koperta na bilet i odcinaki biletu kolejowego z rezerwacją na miejsce sypialne. Jechała w przedziale sypialnym E, wagon 19, z Waszyngtonu D.C do San Diego, Kalifornia. Żadnych listów, nic co pomogłoby w identyfikacji. Takie rzeczy zostały zapewne zamknięte w bagażach. Główna przegroda torebki mieściła to, co noszą kobiety: szminka, puder, mała portmonetka z bilonem, w tym kilka srebrnych monet, parę kluczy na kółku, z którego zwisał mały tygrys z brązu; paczka papierosów, która wyglądała na pełną, chociaż została otwarta; pudełko zapalek z jedną wypaloną zapalką, trzy chusteczki do nosa bez monogramu, pilniczki i cążki do paznokci, jakaś substancja do brwi, grzebień w skórzanym etui, okrągła buteleczka z lakierem do paznokci i miniaturowy notesik z telefonami. Rzuciłem się łapczywie na ten notesik. Czysty, w ogóle nieużywany. Znalazłem jeszcze okulary słoneczne w błyszczącej oprawce w niepodpisanym futerale, wieczne pióro, mały złoty ołówek i to wszystko. Odłożyłem torbę na miejsce. Podszedłem do biurka po kartkę hotelowej papeterii i kopertę.

Hotelowym piórem napisałem: „Kochana Betty! Przykro mi, ale nie mogłem zrobić za trupa. Wyjaśnię jutro Larry”.

Włożyłem kartkę do koperty, kopertę zakleiłem, napisałem na niej „Panna Betty Mayfield” i rzuciłem na podłogę tam, gdzie mogłaby się znaleźć, gdyby wsunięto ją pod drzwiami.

Otworzyłem drzwi, wyszedłem, zamknąłem je za sobą i skierowałem się z powrotem ku schodom przeciwpożarowym, ale zakławszy na głos: A niech to szlag trafi! — ściągnąłem windę. Nie nadjechała. Nacisnąłem ponownie nie odrywając palca. W końcu pojawiła się, z zaspanym Meksykaninem, który otworzył drzwi, ziewnął mi szeroka w twarz, a potem uśmiechnął się zapraszająco. Zwróciłem mu uśmiech bez słowa.

W recepcji, która znajdowała się na wprost windy, nie było nikogo. Meksykanin opadł na krzesło i zasnął, nim zdążyłem zrobić parę kroków. Wszyscy śpią oprócz Marlowe'a. Haruje dwadzieścia cztery godziny na dobę, i to bez inkasowania.

Wróciłem do Rancho Descansado. Nie zauważyłem, żeby ktoś się tam już obudził. Spojrzałem tęsknie na łóżko, ale spakowałem walizkę, kładąc na dnie pistolet Betty. Włożyłem do koperty dwadzieścia dolarów, przy wyjściu wsunąłem ją, razem z kluczem od pokoju, przez otwór w drzwiach recepcji.

Pojechałem do San Diego, zwróciłem samochód, zjadłem śniadanie w barze naprzeciw stacji. Kwadrans po siódmej złapałem dwuwagonowy skład do Los Angeles z dieslowską lokomotywą, który przybywa na miejsce punktualnie o dziesiątej rano, bez zatrzymywania.

Zajechałem do domu taksówką, ogoliłem się, wziąłem prysznic, po raz drugi zjadłem śniadanie i przejrzałem poranną gazetę. Kiedy zadzwoniłem do biura pana Clyde'a Umneya, mecenas Umneya, dochodziła jedenasta.

Odebrał telefon osobiście. Może panna Vermilyea jeszcze nie wstała.

— Mówi Marlowe. Jestem w domu. Czy mogę zajść do pana?

— Znalazł ją pan?

— Tak. A dzwonił pan do Waszyngtonu?

— Gdzie ona jest?

— Chciałbym to panu powiedzieć w cztery oczy. Czy dzwonił pan do Waszyngtonu?

— Chciałbym najpierw usłyszeć pańskie sprawozdanie. Czeka mnie bardzo ciężki dzień. — Jego głos brzmiał słabo i niezbyt sympatycznie.

— Będę u pana za pół godziny. — Rozłączyłem się szybko i zadzwoniłem do garażu, gdzie zostawiłem swojego Oldsa.

Biur podobnych do biura Clyde'a Umneya jest u nas więcej niż pod dostatkiem. Ściany pokryte płytami ze sklejki ułożonymi w szachownicę. Oświetlenie pośrednie, wykładzina dywanowa na całej podłodze, meble jasnego koloru, wygodne fotele i zapewne niebotyczne stawki, Okna w metalowych ramach otwierały się na zewnątrz, a za budynkiem znajdował się nieduży parking, gdzie każde miejsce do parkowania oznaczono białą tabliczką z wymalowanym na niej nazwiskiem. Nie wiadomo dlaczego przegroda Clyde'a Umneya była wolna, więc z niej skorzystałem. Może szofer zawoził go do samego gabinetu. Budynek miał cztery kondygnacje, był całkiem nowy i zajmowali go wyłącznie doktorzy i mecenasi.

Kiedy wszedłem, panna Vermilyea przygotowywała się właśnie do rozpoczęcia ciężkiego dnia pracy, poprawiając swoją platynową fryzurę. Sprawiała wrażenie nieco sfatygowanej. Odstawiła lusterko i włożyła do ust papierosa.

— Patrzcie, patrzcie! Pan Twardziel we własnej osobie. Czemu możemy zawdzięczać ten honor?

— Jestem umówiony z Umneyem.

— Dla ciebie to jest pan Umney, kolego.

— A dla ciebie ciepły kochaś, siostrzyczko.

Poderwała się z wściekłością. — Nie nazywaj mnie „siostrzyczką”, tani kapusiu!

— To nie mów do mnie kolego, kosztowna sekretarko. Co robisz dziś wieczorem? I nie opowiadaj, proszę, że znowu, jesteś umówiona z czterema marynarzami.

Jej policzki pobrały. Palce zacisnęły się na przycisku do papierów. Mało brakowało, a rzuciłaby we mnie. — Ty sukinsynu! — syknęła dosadnie. Następnie włączyła przycisk interkomu i gdy odezwał się głos, powiedziała: — Przyszedł pan Marlowe, panie mecenasie.

Potem odchyliła się do tyłu i posłała mi miażdżące spojrzenie. — Mam przyjaciół, którzy mogliby tak cię przykroić, że musiałbyś wchodzić na drabinę, żeby włożyć buty.

— Ktoś musiał się bardzo napracować nad tym tekstem — powiedziałem. — Ale ciężka praca nie zastąpi talentu.

Nagle obydwoje wybuchliśmy śmiechem. Otworzyły się drzwi i pan Umney wystawił przez nie głowę. Ruchem brody wezwał mnie do środka, ale wzrok miał utkwiony w platynowej dziewczynie.

Wszedłem, a on zamknął po chwili drzwi i zasiadł za ogromnym, półkolistym biurkiem, pokrytym zieloną skórą i stertami ważnych dokumentów. Umney był ubrany elegancko, miał za krótkie nogi, za długi nos i za rzadkie włosy. Jego przejrzyste, brązowe oczy wzbudzały duże, jak na prawnika, zaufanie.

— Podrywa pan moją sekretarkę? — zapytał głosem, który brzmiał równie przejrzysto.

— Nie. Wymienialiśmy uprzejmości.

Usiadłem w fotelu dla klientów i przyglądałem mu się miną, która miała wyrażać coś w rodzaju uprzejmości.

— Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. — Usadowił się w fotelu typu prezesowskiego i przybrał surowy wyraz warzy.

— Przez najbliższe trzy tygodnie ma zajęte wszystkie wieczory — odparłem. — Nie mogę tak długo czekać.

— Niech pan uważa, Marlowe. Radzę się od niej odczepić. Stanowi własność prywatną. Zresztą nie poszłoby panu z nią tak łatwo. To piękny okaz rodzaju ludzkiego płci żeńskiej, a przy tym sprytna jak lis.

— Chce pan powiedzieć, że potrafi oprócz tego pisać pod dyktando na maszynie?

— Oprócz czego? — poczerwieniał gwałtownie. — Za dużo pan sobie pozwala. Radzę uważać. Mam dość wpływów w tym mieście, żeby załatwić panu czerwone światło. A teraz proszę o sprawozdanie — krótkie i rzeczowe.

— Czy dzwonił pan już do Waszyngtonu?

— Nieważne, czy dzwoniłem, czy nie. Życzę sobie sprawozdania, i to natychmiast. Reszta to moja sprawa. Gdzie znajduje się obecnie dziewczyna o nazwisku King? — Sięgnął po ładnie zatemperowany ołówek i ładny, świeży notesik. Następnie odłożył ołówek i nalał sobie szklanką wody z czarno—srebrnego termosu.

— Umówmy się w ten sposób — powiedziałem. — Pan mi powie, dlaczego jej szukacie, a ja panu powiem, gdzie ona jest.

— Pracuje pan dla mnie — uciał. — Nie muszę pana o niczym informować. — Pozostawał wciąż twardy i niewzruszony, chociaż trochę tajał po brzegach.

— Panie Umney, będę dla pana pracował, jeżeli zechcę. Na razie nie zrealizowałem jeszcze żadnego z pańskich czeków, nie zawarłem żadnej umowy.

— Przyjął pan zlecenie. I pobrał pan zaliczkę.

— Panna Vermilyea dała mi czek na dwieście pięćdziesiąt dolarów w formie zaliczki oraz następny czek na sumę dwustu dolarów na koszty własne. Nie zrealizowałem ich. Zwracam je panu. — Wyjąłem oba чеki z portfela i położyłem przed nim na biurku. — Proszę je sobie zatrzymać do czasu, kiedy zdecyduje się pan, czy chce pan mieć detektywa, czy potakiwacza, a także do czasu, kiedy przekonam się, czy dostałem zlecenie czy wrobiono mnie w układ, o którym nic nie wiedziałem.

Spojrzał na чеki. Nie był zadowolony. — Poniósł pan pewne koszty — powiedział powoli.

— Nie szkodzi, panie Umney. Miałem zaoszczędzony parę dolarów, a koszty się odlicza. Trochę się też rozerwałem.

— Uparty z pana facet, Marlowe.

— Być może, ale ja chcę pracować w swojej branży. Inaczej bym się nie utrzymał. Mówiłem już panu, że dziewczyna jest szantażowana. Pańscy znajomi z Waszyngtonu na pewno wiedzą, dlaczego. Jeżeli jest przestępczynią, to w porządku. Ale ja muszę o tym wiedzieć. Poza tym utrzymałem ofertę, której nie jest pan w stanie przebić.

— Chce pan zmienić front za większą forszę? — zapytał ze złością. — To byłoby nieetyczne.

Roześmiałem się. — A więc jednak mam prawo do etyki? Może wobec tego dojdziemy do jakiegoś porozumienia.

Wyjął z kasetki papierosa i przypalił pękata zapalniczką, która stanowiła komplet wraz z termosem i podstawką do pióra.

— Pańskie stanowisko nadal mi się nie podoba — burknął. Do wczoraj nie wiedziałem wiele więcej niż pan. Uznałem to za pewnik, że znana, szanowana firma adwokacka z Waszyngtonu nie będzie się do mnie zwracać z prośbą o wykonanie czegoś, co jest sprzeczne z etyką prawniczą. Sądziłem, że skoro dziewczynę można bez trudu aresztować, to chodzi o jakieś nieporozumienie rodzinne albo że to jakaś zbiegła żona czy córka, czy też ważny, ale niechętny świadek, który znalazł się już poza zasięgiem jurysdykcji, na mocy której można by go wezwać do sądu. Takie były moje domysły. Dzisiaj rano sprawy przybrały nieco inny obrót.

Podniósł się, podszedł do dużego okna i ustawił kąt nachylenia żaluzji tak, żeby słońce nie padało na jego biurko. Stojąc tam, palił papierosa, patrzył w dół na ulicę, po czym wrócił za biurko i usiadł.

— Dziś rano — zaczął z namaszczeniem, ściągając brwi — rozmawiałem z moimi współpracownikami z Waszyngtonu. Poinformowano mnie, że dziewczyna była zaufaną sekretarką jakiejś wpływowej i bogatej osoby — nazwiska nie podano — i uciekła, zabierając pewne ważne i niebezpieczne prywatne dokumenty tej osoby. Papiery, których opublikowanie może poważnie zaszkodzić ich właścicielowi. Nie powiedziano mi, w jaki sposób. Być może chodzi o fałszowanie danych podatkowych. Dzisiaj wszystko jest możliwe.

— Zabrała papiery, żeby go szantażować?

Umney kiwnął głową potakująco. — Takie przypuszczenie nasuwa się w sposób oczywisty. W przeciwnym razie nie miałyby dla niej żadnego znaczenia. Klient, nazwijmy go panem A, zorientował się, że dziewczyna wyjechała, kiedy już zdążyła przekroczyć granicę stanu. Wtedy dopiero przejrzał dokumenty i stwierdził, że części papierów brakuje. Nie chciał zawiadomić policji. Podejrzewa, że dziewczyna zamierza wyjechać gdzieś na bezpieczną odległość i stamtąd zacząć z nim negocjacje na temat zwrotu papierów za sowitą opłatą. Dlatego chce ją wytropić tak, żeby ona o tym nie wiedziała, a potem zaskoczyć, zanim zdąży sobie załatwić jakiegoś cwanego adwokata — a muszę przyznać, że niestety takich nie brakuje — i zanim on jej poradzi, jak wywinąć się od kary. A pan mi tu opowiada, że to ona jest szantażowana. Na jakiej podstawie?

— Jeżeli pańska opowieść trzyma się kupy, to być może tylko dlatego, że on wie, jak pomieszać jej szyki — odparłem. — Może wie o niej coś, czym może ją skompromitować na tyle, że wcale nie będzie musiał ruszać tej pierwszej bombonierki.

— Co znaczy, „jeżeli trzyma się kupy”? — oburzył się. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że jest dziurawa jak sito. Ktoś panu sprzedaje popelinę, panie Umney. Gdzie się trzyma takie ważne papiery jak te, o których pan tu mówi — jeżeli w ogóle się je trzyma? Z pewnością nie w miejscu dostępnym dla sekretarki. A jeżeli te dokumenty nie były mu potrzebne, zanim wyjechała, to dlaczego kazał ją śledzić przy wyjeździe? Poza tym, chociaż kupiła bilet do Kalifornii, to mogła przecież pojechać gdziekolwiek. Dlatego konieczne było pilnowanie jej w pociągu, no, a skoro tak, to po co jeszcze ja miałem ją namierzać? Dalej, przyjmując pańską wersję, byłoby to zadanie dla wielkiej agencji o ogólnoamerykańskim zasięgu. Idiotyzmem byłoby zdawać się tylko na jednego człowieka. Zgubiłem ją wczoraj i mogę zgubić ją znowu. Do takiej roboty trzeba co najmniej sześciu ludzi, powtarzam: co najmniej sześciu. W dużym mieście potrzeba dwa razy tyle. Obserwator musi jeść, spać i od czasu do czasu zmienić

koszulę. Jeżeli śledzi z samochodu, to musi być w stanie spuścić z oka obiekt śledzony, żeby znaleźć miejsce do parkowania. Domy towarowe i hotele mogą mieć dziesiątki różnych wejść. Tymczasem dziewczyna przez trzy godziny nie robi nic innego, tylko kręci się po Union Station na oczach wszystkich. A pańscy waszyngtońscy przyjaciele łaskawie wysyłają panu jedno zdjęcie, przeprowadzają z panem rozmowę telefoniczną i wracają przed telewizor.

— Doskonale — powiedział. — Czy to wszystko? — Jego twarz pozostała nieprzenikniona.

— Prawie wszystko. Proszę mi wyjaśnić, dlaczego, skoro dziewczyna nie spodziewała się, że będzie śledzona, miałaaby zmieniać nazwisko? A jeśli podejrzewała, że będzie śledzona, to dlaczego robi co może, żeby ułatwić śledzącym zadanie? Jak już mówiłem, przy tej sprawie kręci się oprócz mnie jeszcze dwóch facetów. Jeden to detektyw prywatny nazwiskiem Goble z Kansas City. Był wczoraj w Esmeralda. Dobrze wiedział, dokąd ma przyjechać. Skąd wiedział? Na czyje zlecenie działa? A ja musiałem za nią jeździć, musiałem dać w łapę taksówkarzowi, żeby dowiedzieć się przez radio taxi, dokąd zawiozła ją taksówka, i żeby jej nie zgubić. Więc w jakim celu mnie pan wynajął?

— Dojdziemy do tego — zapewnił Umney krótko. — Kim jest ten drugi facet, który się koło niej kręci?

— Niejaki Mitchell, playboy. Mieszka w Esmeralda. Spotkał dziewczynę w pociągu. Zarezerwował jej hotel w Esmeralda. Świetnie się rozumieją, tyle że ona go głęboko nienawidzi. On ma na nią jakiegoś haka i ona się go boi, Ten hak polega na tym, że on wie, kim ona jest, skąd przyjechała, co jej się przydarzyło i dlaczego próbuje się ukryć pod zmienionym nazwiskiem. Tyle zrozumiałem z ich rozmowy, ale to za mało, żeby wiedzieć, o co dokładnie chodzi.

Umney odezwał się kwaśno: — Oczywiście, że dziewczyna była śledzona w pociągu. Czy sądzi pan, że ma pan do czynienia z idiotami?. Pan spełniał tu jedynie rolę przynęty. Chodziło o to, żeby zorientować się, czy ma współników. Znajac pańską reputację, liczyłem na to, że będzie się pan popisował do tego stopnia, że ona się na panu pozna. Słyszał pan chyba o jawnej obserwacji?

— Jasne, że słyszałem. Celowe zwrócenie na siebie uwagi obiektu śledzonego po to, żeby go zgubić i żeby mógł go przejąć inny obserwator w dogodnej dla niego sytuacji

— I taka właśnie była pańska rola — wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu. — Ale nadal nie dowiedziałem się od pana, gdzie ona teraz jest.



Nie miałem ochoty mu mówić, ale wiedziałem, że muszę. W pewnym sensie i do pewnego stopnia przyjąłem to zlecenie, a zwracając mu pieniądze chciałem tylko wydusić z niego jakieś bliższe dane. Sięgnąłem przez biurko po czek na dwieście pięćdziesiąt dolarów. — Biorę to jako honorarium za całą robotę, włącznie z kosztami. Zameldowała się w Casa del Poniente w Esmeralda, jako panna Betty Mayfield. Ma kupę forsy. Ale oczywiście pana wyspecjalizowana organizacja doskonale już o tym wie. Podniosłem się. — Dziękuję za tę wycieczkę, panie Umney.

Wyszedłem z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Panna Vermilyea podniosła wzrok znad czasopisma. Usłyszałem przytłumiony trzask wyłącznika gdzieś przy jej biurku.

— Przepraszam, że zachowałem się nieuprzejmie — powiedziałem. — Ale mało spałem tej nocy.

— Nic się nie stało. To była urzędowa pokazówka. Myślę, że przy odrobinie wysiłku mogłabym nawet pana polubić. Jest pan, że tak powiem, sympatyczny w dolnej granicy normy.

— Dziękuję — odparłem i ruszyłem w stronę drzwi. Nie mogę powiedzieć, żeby wodziła za mną tęsknym wzrokiem, ale też nie wydawała się aż tak niedostępna, jak pięćdziesiąt jeden procent udziału w General Motors.

Zawróciłem i zamknąłem drzwi. — Chyba nie będzie padać dziś wieczorem. A mieliśmy coś omówić przy drinku w jakiś deszczowy wieczór. Jeżeli nie będzie pani zbyt zajęta.

Rzuciła mi spokojne, rozbawione spojrzenie. — Gdzie?

— Gdzie pani sobie życzy.

— No, to może ja wpadnę do pana, dobrze?

— To byłoby cholernie uprzejme z pani strony. Ten pani automobil marki Fleetwood mógłby mi pomóc uzasadnić zwłokę w spłacie kredytów.

— Niezupełnie to miałam na myśli.

— Ja też.

— W takim razie może około pół do siódmej. Włożę odpowiednie pończochy.

— Nie śmiałem prosić.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Wyszedłem pośpiesznie.

Pół do siódmej Fleetwood zaterkotał przed moimi drzwiami frontowymi, a kiedy je otworzyłem, wchodziła już na schody. Była bez kapelusza, w płaszczu cielistego koloru z kołnierzem podniesionym wokół platynowych włosów. Stała na środku living—roomu i rozejrzała się pobieżnie. Potem ledwie dostrzegalnym ruchem zsunęła z siebie płaszcz, rzuciła go na tapczan i usiadła.

— Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że przyjdiesz — powie działem.

— Doprawdy? Jaki nieśmiały! Wiedziałeś doskonale, że przyjdę. Proszę szkocką z wodą sodową, jeżeli masz.

— Mam.

Przyniosłem drinki i usiadłem obok niej, ale nie na tyle blisko, żeby dawać cokolwiek do myślenia. Trąciliśmy się szklankami i wypiliśmy.

— Może zjedlibyśmy kolację u Romanoffa?

— A co potem?

— Gdzie mieszkasz?

— W West Los Angeles. W domku na cichej, starej uliczce. Tak się złożyło, że mam go na własność. Pytała: co potem?

— To oczywiście zależy od ciebie.

— Myślałam, że jesteś brutal. Czy chcesz powiedzieć, że nie będę musiała płacić za kolację?

— Powinnaś za to dostać po buzi.

Zaśmiała się nagle i spojrzała na mnie sponad krawędzi szklanki.

— Powiedzmy, że dostałam. Trochę pomyliliśmy się co do siebie. Kolacja może chyba poczekać.

— Zaczniemy od West Los Angeles?

— A dlaczego nie tu?

— Obawiam się, że musiałabyś mnie wtedy porzucić. Miałem tu kiedyś taki sen, jakieś półtora roku temu. Zostały po nim ślady. Nie chciałbym ich zacierać.

Podniosła się szybko i chwyciła płaszcz. Pomogłem j go włożyć.

— Przepraszam — powiedziałem. — Powinienem był cię uprzedzić.

Odwróciła się i jej twarz znalazła się bardzo blisko mojej, ale nie dotknąłem jej.

— Przepraszasz, że miałeś sen i że nie chcesz go zniszczyć? Ja też miałam sny, ale moje już uleciały. Nie starczyło mi odwagi, żeby je przy sobie zatrzymać.

— To niezupełnie tak. To była kobieta. Bogata. Wydawało jej się, że chce za mnie wyjść. Ale nic by z tego nie wyszło. Prawdopodobnie nigdy jej już nie zobaczę. Ale pamiętam.

— Chodźmy — powiedziała cicho. — Zostawmy wspomnienia w spokoju. Żałuję, że sama nie mam już takich, które warto zatrzymać.

Nie dotknąłem jej też w drodze do samochodu. Prowadziła świetnie. Kobieta, która dobrze prowadzi, to już prawie kobieta doskonała.

### 13

Dom stał na cichej, krętej uliczce między San Vincente i Sunset Boulevard. Był daleko cofnięty od ulicy i miał długi podjazd, a wchodziło się od tyłu, przez niewielkie patio. Otworzyła drzwi i zapaliła wszystkie światła, po czym znikła bez słowa. Living—room urządzone był przyjemnie i wygodnie. Czekałem stojąc, dopóki nic przysłała z dwiema szklankami. Zdażyła już zdjąć płaszcz.

— Byłaś już oczywiście mężatką — stwierdziłem.

— Nie wyszłam na tym dobrze. Został mi ten dom i trochę forsy, chociaż o nic nie zabiegałam. Chłopak był sympatyczny, ale nie pasowaliśmy do siebie. Już nie żyje. Katastrofa lotnicza. Latał na odrzutowcach. Zdarza się. Znam takie miejsce w drodze z Los Angeles do San Diego, gdzie jest pełno dziewczyn, które powychodziły za pilotów, ale piloci już nie żyją.

Łyknąłem ze szklanki, odstawiłem ją. Wyjąłem jej szklankę z ręki i też odstawiłem.

— Pamiętasz, jak wczoraj rano zabroniłaś mi gapić się na swoje nogi?

— Chyba sobie przypominam.

— Spróbuj mi teraz zabronić.

Objąłem ją, a ona nie protestowała. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni, którą udało mi się jakoś znaleźć. Położyłem ją na łóżku. Podwinąłem jej spódnicę aż do miejsca, gdzie nad pięknymi, długimi nogami obciągniętymi nylonem zaczynały się białe uda. Nagle wyciągnęła ręce i przytuliła moją głowę do swoich piersi.

— Zwierzę! Zgaś światło!

Podszedłem do drzwi i zgasłem światło w pokoju. Oświetlał go teraz tylko blask padający z hallu. Kiedy się obróciłem, stała przy łóżku naga jak Afrodyta prosto z Morza Egejskiego. Stała dumna, bez wstydu i bez kokieterii.

— Cholera — zauważyłem. — Kiedy byłem młody, rozbierało się dziewczyny powoli. Teraz same wskakują do łóżka, zanim zdążysz rozpiąć kołnierzyk.

— No, to rozpinaj ten swój kołnierzyk.

Odchyliła przykrycie łóżka i położyła się, bezwstydnie naga. Piękna kobieta, która nie wstydzi się swojej nagości.

— Możesz się teraz nasycić widokiem moich nóg.

Nie odezwałem się.

— Wczoraj — mówiła na pół rozmarzonym tonem — powiedziałam, że jest coś, co mi się w tobie podoba: to, że nie pchasz się z łapami. I że jest też coś, czego w tobie nie lubię. Wiesz, czego?

— Nie wiem.

— Że wtedy nie zmusiłeś mnie do tego.

— Twoje zachowanie nie było zbyt zachęcające.

— Jesteś podobno detektywem. No, a teraz bądź tak dobry i zgaś wszystkie światła.

Wkrótce potem mówiła do mnie „kochany, kochany, kochany” tym szczególnym tonem, którego kobiety używają jedynie 'w tych szczególnych chwilach. Później nastąpiło powolne, łagodne odprężenie, spokój i cisza.

— Nasyciłeś się już moimi nogami? — spytała sennie.

— Żaden mężczyzna nie byłby w stanie się nasycić. Prześladowałyby go bez względu na to, ile razy by się z tobą kochał.

— Ty sukinsynu. Ty cholerny sukinsynu. Chodź tu do mnie, bliżej.

Położyła głowę na moim ramieniu i byliśmy teraz bardzo blisko siebie.

— Nie kocham cię — powiedziała.

— Dlaczego miałabyś mnie kochać? Ale nie bądźmy cyniczni. Bywają w życiu chwile subtelne, nawet jeżeli nie trwają dłużej niż chwilę.

Czułem przy sobie jej ciepło. Jej ciało było pełne energii. Obejmowała mnie mocno pięknymi ramionami.

Potem był znowu ten stłumiony okrzyk w ciemności, a po nim znowu powolny, cichy spokój.

— Nienawidzę cię — powiedziała przyciskając wargi do moich ust. — Wcale nie za to, ale dlatego, że doskonałości nigdy nie doświadczą się dwa razy, a nam się to przytrafiło za wcześnie. Nie spotkamy się już i wcale tego nie chcę. To by musiało być albo na zawsze, albo wcale.

— A zachowywałaś się jak osoba, która zna same ciemne strony życia i nie bawi się już w żadne sentymenty.

— Ty też. I oboje nie mieliśmy racji. Ale to i tak nie ma już znaczenia. Pocałuj mnie mocno.

Naraz zniknęła z łóżka, zupełnie bezszelestnie. Po chwili w hallu rozbłysło światło i ukazała się w drzwiach w długim szlafroku.

— Do widzenia — odezwała się spokojnym głosem. — Zamówiłam ci taksówkę. Zaczekaj na nią na zewnątrz. Nie zobaczymy się już.

— A co z Umneyem?

— To biedny, przestraszony frajer. Potrzebuje kogoś, kto potrafiłby pokrzepić jego osobowość, dając mu poczucie władzy i sukcesu. Ja mu to daję. Ciało kobiety nie jest aż taką świętością, żeby nie można się było nim posługiwać, zwłaszcza, jeżeli nie udało jej się użyć go w miłości.

Zniknęła. Wstałem, ubrałem się i nasłuchiwałem chwilę, zanim wyszedłem. Nie usłyszałem żadnego dźwięku. Zawołałem, lecz nie uzyskałem odpowiedzi. Wyszedłem na chodnik przed domem, gdy taksówka właśnie zajeżdżała. Obejrzałem się za siebie. W całym domu panowała ciemność.

Nikt tam nie mieszkał. To był tylko sen. Tyle, że ktoś zamówił taksówkę. Wsiadłem i kazałem się zawieźć do domu.

## 14

Wyjechałem z Los Angeles na super autostradę, która omija Oceanside. Miałem dużo czasu na myślenie.

Z San Onofre do Oceanside ciągnie się trzydzieści kilometrów sześciopasmowej super autostrady, upstrzonej odrapanymi wrakami samochodów porzuconych na skraju wysokiej skarpy na pastwę rdzy. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego wracam do Esmeralda. W całej tej sprawie wszystko było na opak, nie mówiąc o tym, że nie była to już moja sprawa. Zazwyczaj prywatny detektyw ma do czynienia z klientami, którzy dają za mało pieniędzy, żądając w zamian za dużo informacji. Informacje można zdobyć albo nie, zależnie od okoliczności. To samo z honorarium. Ale czasami zdobywa się pożądane informacje plus sporo dodatkowych, włącznie z opowieścią o trupie, który leży na balkonie i którego już nie ma, kiedy się tam przychodzi. Zdrowy rozsądek podpowiada, że należy wracać do domu i zapomnieć o całej aferze, włącznie z pieniędzmi. Zdrowy rozsądek to taki facet, który dowiedziawszy się, że rozwalileś sobie przód w tym tygodniu, mówi ci, że powinieneś być zmienić hamulce tydzień temu. Zdrowy rozsądek to zawodnik rezerwowy, który mówi w poniedziałek rano, że gdyby grał w niedzielę, to jego drużyna by wygrała. Ale on nigdy nie gra. Zawsze siada wysoko na trybunach z butelką w kieszeni. Zdrowy rozsądek to także człowieczek w szarym garniturku, który nigdy nie myli się w dodawaniu. Ale zawsze dodaje cudze pieniądze.

Na skrzyżowaniu skręciłem w dół, do wąwozu, i po chwili zatrzymałem się przed Rancho Descansado. Jack i Lucille byli już na posterunku. Postawiłem walizkę i uparłem się o blat recepcji.

— Czy zostawiłem tyle, ile trzeba?

— Tak. Dziękujemy — odparł Jack. — Chce pan z powrotem swój pokój?

— Jeśli można.

— Dlaczego nie powiedział nam pan, że jest pan detektywem?

— Też pytanie? — wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. — Czy detektyw mówi komukolwiek, że jest detektywem? Oglądacie chyba telewizję?

— Czasami oglądam. Ale rzadko mam na to czas.

— W telewizji zawsze można łatwo rozpoznać detektywa po tym, że nigdy nie zdejmuje kapelusza. Co może mi pan powiedzieć o Larrym Mitchellu?

— Nic — Jack zeszytniał. — To znajomy Brandona. Pan Brandon jest właścicielem tego hotelu.

Lucille wtrąciła inteligentnie: — Znalazł pan wtedy Joe Harmsa?

— Tak, znalazłem, dziękuję pani.

— A czy spot...

— Owszem.

— Trzymaj język za zębami, dziecińko — rzucił Jack. Zrobił do mnie oko i pchnął klucz przez ladę. — Wie pan, panie Marlowe, życie Lucille jest takie monotonne. Siedzi tutaj zamknięta razem ze mną i z tą centralką, no i tym pierścionczkiem z brylantem, tak małym, że aż wstyd go było dawać. Ale cóż można zrobić, kiedy się kocha dziewczynę. Chciałoby się uwidocznic to przynajmniej na jej palcu.

Lucille podniosła do góry lewą rękę i poruszyła dłonią tak, by wydobyć błysk z małego kamyczka. — Nie znoszę go — powiedziała. — Nie znoszę go tak, jak nie znoszę słońca, lata, srebrnych gwiazd i pełni księżyca. Właśnie tak go nie znoszę.

Zabrałem klucz, podniosłem walizkę i opuściłem ich Jeszcze trochę, a zakocham się sam w sobie. Mógłbym się nawet obdarzyć małym, gustownym pierścionkiem z brylantowym oczkiem.

## 15

Telefon w pokoju numer 1224 w Casa del Poniente nie odpowiadał. Podeszedłem do recepcji. Jakiś drętwo wyglądający urzędnik sortował listy. Oni są zawsze zajęci sortowaniem listów.

— Czy mieszka tutaj panna Mayfield? — zapytałem.

Zanim odpowiedział, włożył kolejny list do przegródki.

— Tak, sir. Kogo mam zapowiedzieć?

— Znam numer pokoju. Ale telefon nie odpowiada. Czy widział ją pan dzisiaj?

Poświęcił mi nieco więcej uwagi, ale trudno powiedzieć, żebym go jakoś rozruszał. — Chyba nie — spojrzał za siebie przez ramię. — Nie ma jej klucza. Chce pan zostawić wiadomość?

— Jestem trochę zaniepokojony. Wczoraj wieczór niezbyt dobrze się czuła. Może jest na górze, ale nie odbiera telefonu? Jestem jej znajomym. Nazywam się Marlowe.

Taksował mnie wzrokiem. Patrzyło mu mądrze z oczu.

W szedł za przepierzenie obok kasy i zamienił z kimś kilka słów. Po chwili wrócił. Uśmiechał się.

— Nie sędzę, żeby panna Mayfield źle się czuła, panie Marlowe. Zamówiła do pokoju duże śniadanie. I lunch. Odebrała już kilka telefonów.

— Dziękuję panu — odparłem. — Zostawię dla niej wiadomość. Proszę podać jej moje nazwisko i powiedzieć, że zadzwonię w ciągu dnia.

— Może gdzieś wyszła, do ogrodu albo na plażę — powiedział. — Mamy tu bardzo ciepłą plażę, osłoniętą falochronem — odwrócił głowę i spojrzał na zegar. — Jeżeli wyszła, to niedługo wróci. Robi się już chłodno.

— Dziękuję panu. Przyjdę później.

Do głównego hallu wchodziło się po trzech schodkach pod łukowatym sklepieniem. Było tam kilka osób, które z zasady wysiadują w hallach hotelowych; są przeważnie w podeszłym wieku, przeważnie bogaci i przeważnie nie robią nic, tylko patrzą wyglodniałym wzrokiem. W ten sposób spędzają życie. Dwie starsze damy o surowych twarzach, noszące trwałą ondulację w kolorze fioletowym, walczyły z ogromną układanką, wystawioną na specjalnie w tym celu skonstruowanym dużym stole. Obok rozgrywało partię kanasty dwóch panów i dwie panie, z których jedna miała na sobie tyle biżuterii, że mogłaby założyć sklep jubilerski, oraz grubą warstwę makijażu, którego wystarczyłoby na pomalowanie parowca. Obie kobiety paliły papierosy w długich cygarniczkach. Towarzyszący im mężczyźni byli szarzy i zmęczeni, prawdopodobnie podpisywaniem czeków. W głębi, przy samym końcu wielkiego okna, przez które mogli wyglądać na dwór, siedziała trzymając się za rękę młoda para. Na szyi dziewczyny błyszczał wisior z diamentów i

szmaragdów, a na ręce ślubna obrączka, którą wciąż dotykała koniuszkami palców. Wyglądała na niewyspaną.

Wyszedłem przez bar, żeby rozejrzeć się po ogrodzie.

Ruszyłem ścieżką biegnącą skrajem skały i bez trudu rozpoznałem miejsce, które widziałem poprzedniej nocy z balkonu Betty Mayfield. Poznałem je po stromiźnie urwiska.

Plaża z kąpieliskiem i krótką, zakrzywioną pierzeją miała około stu metrów. Schodziło się na nią ze skały. Na piasku leżeli ludzie. Jedni w kostiumach kąpielowych, inni siedzieli na kocach w ubraniach. Wokół biegały z wrzaskiem dzieci. Na plaży nie było Betty Mayfield.

Wróciłem do hallu hotelowego.

Usiadłem i zapaliłem papierosa. Podeszedłem do stoiska z gazetami i kupiłem gazetę wieczorną, przejrzałem ją i wyrzuciłem. Przechadzałem się przed recepcją. Kartka z wiadomością ode mnie nadal leżała w przegródce 1224. Zatrzymałem się przy telefonie, wykręciłem numer centrali hotelowej i poprosiłem o połączenie z Mitchellem. Numer nie odpowiadał. Niestety, pan Mitchell nie odpowiada. Usłyszałem za plecami kobiecy głos: — Powiedziano mi w recepcji, że chciał się pan ze mną widzieć. Czy pan Marlowe?

Wyglądała świeżo jak róża o poranku. Miała na sobie ciemnozielone spodnie, buty do konnej jazdy, zieloną kurtkę, pod nią białą bluzkę, a na szyi cienki wełniany szalik w dyskretny wzorek. Włosy przewiązane przepaską wyglądały jak rozwiane wiatrem. Tuż obok stał wyteżający słuch starszy boy hotelowy. Zapytałem:

— Panna Mayfield?

— Tak, jestem Betty Mayfield.

— Mój wóz czeka przed hotelem. Czy zechce pani teraz obejrzyć posiadłość?

Spojrzała na zegarek. — A... Tak, sądzę, że tak — odparła. — Przebiorę się tylko. A zresztą nie... Pojadę tak.

— Bardzo proszę.

Ruszyła razem ze mną. Przeszliśmy przez hall. Zaczynałem się tu czuć jak u siebie w domu. Betty Mayfield spojrzała niechętnie na kobiety zajęte układanką.

— Nie znoszę hoteli — powiedziała. — Można tu nie być piętnaście lat, a po przyjeździe ci sami ludzie będą siedzieli w tych samych fotelach.

— Tak, to prawda. Czy mówi pani coś nazwisko Clyde Umney?

Zaprzeczyła ruchem głowy. — A powinno?

— A Helen Vermilyea? Ross Goble?

Znowu pokręciła głową.



— Czy ma pani ochotę na drinka?

— Nie teraz, dziękuję.

Minęliśmy bar, wyszliśmy na dwór, zaprowadziłem ją do swojego Oldsmobila i otworzyłem drzwi. Wycofałem się z parkingu i pojechałem Grand Street prosto w kierunku wzgórz. Włożyła ciemne okulary w błyszczącej oprawie.

— Znalazłam czeki — powiedziała. — Dziwny z pana detektyw, panie Marlowe.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem fiolkę z jej pigułkami nasennymi.

— Przyznam, że trochę się wczoraj przeraziłem — wyznałem. — Przeliczyłem zawartość, ale nie wiedziałem, ile było na początku. Mówiłaś, że wzięłaś dwie. Nie miałem pewności, czy nie jesteś na tyle roztrzęsiona, żeby połknąć całą garść.

Wzięła fiolkę i wepchnęła do kieszeni kurtki. — Wypiłam parę drinków. Alkohol i barbiturany do niedobra mieszanka. Po prostu chyba urwał mi się film i tyle.

— Nie byłem przekonany. Już dwa gramy wystarczą, żeby się przejechać na tamten świat, chociaż potrzeba na to dobrych kilka godzin. Znalazłem się w dość niezręcznej sytuacji. Puls i oddech miałas w porządku, ale nie wiedziałem, na jak długo. Wzywając lekarza musiałbym się niezle tłumaczyć. Gdybyś przedawkowała, to chłopcy z kryminalnego dowiedzieliby się o tym, nawet gdyby udało ci się z tego wylizać. Badają wszystkie próby samobójstwa. Gdyby moje obawy okazały się słuszne, to nie jechałabyś teraz ze mną. I nie wiadomo, gdzie ja sam byłbym o tej porze.

— To prawda — powiedziała. — Ale przyznam, iż niezbyt mnie martwi, że stało się inaczej. Kim są ci ludzie, których nazwiska wymieniłaś?

— Clyde Umney to prawnik, który wynajął mnie, żebym cię śledził na zlecenie firmy adwokackiej z Waszyngtonu. Helen Vermilyea jest jego sekretarką. Ross Goble to prywatny detektyw z Kansas City, który twierdzi, że szuka Mitchella. — Opisałem jego wygląd.

Twarz jej stężała. — Mitchella? Dlaczego miałby interesować się Larrym?

Zatrzymałem się na skrzyżowaniu Fourth Street i Grand Street, przepuszczając jakiegoś staruszka, który skręcał w lewo w samojezdnym fotelu na kółkach z prędkością sześciu kilometrów na godzinę. W Esmeralda roi się od tych cholernych wehikułów.

— Dlaczego miałby szukać Larry'ego Mitchella? — powtórzyła z goryczą. — Czy ludzie muszą sobie zawsze deptać po piętach?

— Nadal nic mi nie mów, tylko zadawaj pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć — odparłem. — To dobra pożywka dla mojego kompleksu niższości. Mówiłem ci, że nie zajmuję się już tą sprawą. A dlaczego tu jestem? Po prostu staram się ponownie o pięć tysięcy dolarów w czekach podróżnych.

— Skręć w lewo na następnym skrzyżowaniu — zadysponowała — i jedźmy w górę. Jest stamtąd piękny widok. I pełno śmiesznych domów.

— Pies je drapał — powiedziałem.

— Panuje tam również cisza — dodała. Wyciągnęła papierosa z pudełka przyklejonego do deski rozdzielczej i zapaliła.

— To już drugi w ciągu dwóch dni — zauważyłem. — Ostro palisz. Papierosy też ci wczoraj przeliczyłem. I zapalki. Przejrzałem twoją torbę. Staję się, że tak powiem, wścibski, kiedy zostanę naciągnięty na taki lewy numer, jak ten. Zwłaszcza, kiedy mojemu klientowi urywa się film i kiedy mnie zostawia z ręką w nocniku.

Odwróciła głowę i spojrzała na mnie.

— To na pewno te proszki i wódka — powiedziała. — Musiało mi się coś pokręcić.

— Do Rancho Descansado dotarłaś w doskonałym stanie. Byłaś niezwykle stanowcza. Mieliśmy wyjechać do Rio i żyć w luksusie oraz zapewne w grzechu. Wystarczyło, żebym pozbył się tego trupa. I cóż za gorzkie spotyka mnie rozczarowanie! Trupa nie ma!

Wciąż się we mnie wpatrywała, ale ja musiałem obserwować szosę. Zatrzymałem się i znowu skręciłem w lewo. Wjechałem w jakąś ślepą uliczkę, z resztkami starych szyn tramwajowych w nawierzchni.

— Skręć w lewo pod górę przed tamtym znakiem. Ten budynek na wprost to szkoła.

— Kto strzelał z tego pistoletu i do czego?

Przycisnęła rękę do skroni.

— Przypuszczam, że to ja. Chyba zwariowałam. Gdzie on jest?

— Pistolet? W bezpiecznym miejscu. Gdyby twój sen okazał się jawą, musiałbym go jednak stamtąd wyjąć.

Wjeżdżaliśmy teraz pod górę. Wrzuciłem trójkę. Przyglądała się z zainteresowaniem. Rozejrzała się po samochodzie, zauważyła jasne, skórzane fotele i różne dodatkowe urządzenia.

— Skąd masz pieniądze na taki drogi samochód? Przecież nie zarabiasz dużo.

— Dzisiaj wszystkie samochody są drogie, nawet te tanie. Dlaczego nie miałbym sobie kupić takiego, który w dodatku jeździ? Gdzieś wyczytałem, że

tajniak zawsze powinien mieć samochód zwyczajny, ciemny, nierzucający się w oczy, na który nikt nie zwróci uwagi. Ten, kto to napisał, nie był chyba nigdy w Los Angeles. Żeby nie rzucać się w oczy w Los Angeles, trzeba by jeździć różowym Mercedeselem z tarasem na dachu, na którym opalały by się trzy piękne dziewczyny.

Zachichotała.

— Poza tym — drażyłem dalej temat — to dobra reklama Czyżby mi się śniło, że jadę do Rio? Dostałbym tam za niego więcej, niż dałem tu za nowy. Transport frachtem nie byłby taki drogi.

Westchnęła.

— Och, nie żartuj sobie ze mnie. Nie jest mi dzisiaj do śmiechu.

— Czy widziałas się już ze swoim chłopcem?

Znieruchomiała.

— Z Larrym?

— A masz innych?

— No, mogło ci chodzić o Clarka Brandona, chociaż go właściwie nie znam. Wczoraj wieczorem Larry się upił. Nie, nie widziałam go. Może odsypia.

— Jego telefon nie odpowiada.

Droga rozwidlała się. Jedna prowadziła w lewo, druga prosto. Pojechałem prosto, właściwie bez żadnego powodu. Mijaliśmy jakieś stare hiszpańskie domostwa, wzniesione wysoko na zboczu, i bardziej nowoczesne po przeciwnej stronie. Potem droga skręcała szerokim łukiem w prawo. Nawierzchnię położono tu chyba niedawno. Po chwili dojechaliliśmy do miejsca, gdzie droga kończyła się niewielkim placykiem do zawracania.

Po obu stronach placyku stały dwa duże domy o elewacjach obficie zdobionych cegłą ceramiczną i z zielonymi szybami w oknach wychodzących na morze. Widok był wspaniały. Poświęciłem mu bez mała trzy sekundy. Zatrzymałem wóz przy krawężniku, wyłączyłem silnik i siedziałem bez ruchu. Znajdowaliśmy się około trzystu metrów powyżej miasta, które rozciągało się pod nami jak na fotografii lotniczej.

— Może jest chory — odezwałem się. — Może wyszedł. A może nawet nie żyje.

— Już ci mówiłam... — zaczęła drzeć. Wyjąłem jej z ręki niedopałek papierosa i włożyłem do popielniczki. Zasunąłem szyby w samochodzie i objąłem ją tak, by mogła położyć głowę na moim ramieniu. Jej ciało było wiotkie, nie sprawiało oporu, ale nadal drżała.

— Jesteś bardzo wygodny — zauważyła. — Ale nie poganiaj mnie.

— Mam w schowku butelkę. Chcesz łyka?

— Chcę.

Wyjąłem butelkę, za pomocą zębów i jednej ręki poradziłem sobie z metalowym paskiem przy zakrętce. Otworzyłem butelkę trzymając ją między kolanami i podsunąłem jej do ust. Ledwo umoczyła wargi, wstrząsnął nią dreszcz. Zakręciłem butelkę i schowałem na miejsce.

— Nie znoszę pić z butelki — wyznała.

— Zgadza się. To nie jest zbyt wyrafinowany sposób. Posłuchaj, Betty. Ja nie próbuję zaciągnąć cię do łóżka. Po prostu martwię się o ciebie. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Milczała przez chwilę, po czym odezwała się znacznie spokojniejszym głosem:

— Na przykład jak? Możesz z powrotem dostać te czeki. Należały do ciebie. Przecież ci je dałam.

— Nikt nie daje pięciu kawałków, ot, tak sobie. To bez sensu. Dlatego właśnie wróciłem z Los Angeles. Wyjechałem dzisiaj z samego rana. Nikt nie wariuje na punkcie takiego faceta jak ja na tyle, żeby opowiadać mu historię o pół milionie dolarów i proponować podróż do Rio oraz przyjemne mieszkanie ze wszystkimi możliwymi luksusami. I nikt — obojętne, na trzeźwo czy po pijanemu, nie będzie się tak zachowywał jedynie dlatego, że przywidział mu się trup jakiegoś faceta na balkonie, wobec czego prosi się mnie, żebym czym prędzej pojechał i wrzucił tego trupa do oceanu. Czego się po mnie spodziewałaś? Że będę cię trzymał za rączkę, a ty będziesz sobie dalej śniła?

Oderwała się ode mnie i wcisnęła w odległy kąt samochodu.

— W porządku, niech będzie. Skłamałam. Zawsze kłamałam.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Z tyłu nadjechał jakiś bury samochodek, skręcił w naszą ulicę i zatrzymał się. Nie byłem w stanie rozpoznać, kto lub co się w nim znajduje. Po chwili samochód wyrznął ciężko w krawężnik, zawrócił i odjechał tą samą drogą, którą przybył. Ktoś chyba zabłądził i zorientował się, że uliczka jest ślepa.

— Kiedy wchodziłem na górę po tych cholernych schodach przeciwpożarowych — ciągnąłem dalej — połknęłaś proszki i udawałaś, że jesteś okropnie śpiąca. Przypuszczam, że po jakimś czasie rzeczywiście zasnęłaś. No dobrze. Wszedłem na balkon. Żadnego trupa ani śladu krwi. Gdybym go zastał, może nawet udałoby mi się przerzucić go przez tę barierkę. Zadanie nie było łatwe, chociaż wykonalne przy odrobinie wysiłku. Ale nawet pół tuzina specjalnie tresowanych słoni nie byłoby w stanie wyrzucić go tak,

żeby wpadł do oceanu. Do płotu jest co najmniej dziesięć metrów, a on powinien spaść za płotem. Moim zdaniem, żeby przedmiot tak ciężki jak ciało dorosłego mężczyzny mógł się tam znaleźć, trzeba by go rzucić szerokim łukiem dobre piętnaście metrów od ściany.

— Powiedziałaś ci już, że kłamałam.

— Ale nie powiedziałaś dlaczego. Porozmawiajmy poważnie. Przypuśćmy, że na tym balkonie był trup mężczyzny. Na czym miałyby polegać moja rola? Może miałbym go znieść po schodach, wsadzić do samochodu, wywieźć gdzieś do lasu i zakopać? Czasami trzeba komuś zaufać. Zwłaszcza jeżeli poniewierają się wokół ciebie ciała denatów.

— Wziąłeś pieniądze — powiedziała bezbarwnym tonem. — Zrobiłeś to, co ci kazałam.

— I dzięki temu miałem okazję dowiedzieć się, że ktoś tu jest niespełna rozumu.

— No, to się dowiedziałeś. Powinieneś być zadowolony.

— Niczego się nie dowiedziałem. Nie wiem nawet, kim naprawdę jesteś.

Rozgniewała się.

— Mówiłam ci już, że nie wiedziałam, co robić — wybuchnęła. — Mam kłopoty, boję się, piję i biorę proszki... Dlaczego mnie jeszcze dręczysz? Mówię przecież, że oddam ci te pieniądze. Czego jeszcze chcesz?

— A co mam za nie zrobić?

— Po prostu je weź, to wszystko. — Teraz była już na mnie bardzo zła. — Bierz te pieniądze i zjeżdżaj. I to jak najdalej stąd.

— Myślę, że tobie potrzebny jest dobry adwokat.

— W tym sformułowaniu zachodzi całkowita sprzeczność — zauważyła z sarkazmem. — Jeżeli miałby być dobry, to nie byłby adwokatem.

— No tak. Miałaś zapewne jakieś bolesne doświadczenia w tej materii. Dowiem się, co to było, jak nie od ciebie, to w inny sposób. Ale nadal mówię poważnie. Twoja sytuacja jest niewesoła. Pomijając to, co stało się z Mitchellem — jeżeli rzeczywiście coś się z nim stało — masz i tak dość kłopotów, żeby wynająć sobie adwokata. Zmieniłaś nazwisko. Dobrze, miałaś widocznie powody. Poszukuje cię ta firma z Waszyngtonu, więc oni też mają swoje powody. Miał także powody klient, który im to zlecił.

Zamilkłem i przyglądałem się jej twarzy na tyle, na ile pozwalało światło wczesnego zmierzchu. W dole pod nami ocean przybierał barwę lapis lazuli, co wcale nie przywodziło mi na myśl oczu panny Vermilyea. Stado mew leciało w zwartym szyku na południe, chociaż nie była to formacja typowa dla North

Island. Nad linią brzegową pojawił się wieczorny samolot z Los Angeles. Miał zapalone światła sygnalizacyjne, potem zamrugał światłem pod kadłubem i wysuwając się nad morze szerokim, leniwym łukiem podchodził do lądowania na Lindberg Field.

— A więc jesteś tylko naganiaczem jakiegoś przekupnego adwokata — odezwała się opryskliwie i znowu sięgnęła po mojego papierosa.

— Nie sędzę, żeby był przekupny. Może za bardzo się stara. Zresztą nie o to chodzi. Wart jest paru dolarów, nawet gdybyś je miała spisać na straty. Chodzi o tak zwany przywilej, którego nie posiada licencjonowany detektyw, a który przysługuje adwokatowi pod warunkiem, że działa w interesie klienta, który go wynajął. A jeżeli adwokat zatrudni detektywa, żeby działał w tym interesie, to wtedy detektyw posiada również przywilej. I tylko w ten sposób może go uzyskać.

— Dobrze wiesz, co możesz zrobić ze swoim przywilejem — powiedziała. — Zwłaszcza, że chodzi o adwokata, który cię wynajął, żebyś mnie szpiegował.

Zabrałem jej papierosa, zaciągnąłem się parę raz i zwróciłem.

— W porządku, Betty. Nie jestem ci potrzebny. I zapomnijmy o tym, że próbowałem ci pomóc.

— Mówisz ładnie, ale tylko dlatego, że liczysz na większą zapłatę za to, że będziesz mi potrzebny. Jesteś taki sam jak wszyscy. Twojego cholernego papierosa też nie chcę. — Wyrzuciła go za okno. — Zawieź mnie z powrotem do hotelu.

Wysiadłem z samochodu i przydeptałem papierosa.

— W California Hills tego się nie robi — stwierdziłem. Nawet poza sezonem.

Wróciłem do samochodu, przekręciłem kluczyk i włączyłem silnik. Zawróciłem, dojechałem do rozwidlenia. Nieco wyżej, tam, gdzie odchodziła w bok ciągła biała linia, stał mały samochód. Światła miał wygaszone. Mógł być pusty.

Wykonałem ostry zwrot do tyłu i jednocześnie włączyłem długie światła, które w trakcie tego manewru omiotły samochodzik. Ktoś zasłonił się kapeluszem, ale nie dość szybko, żebym nie rozpoznał okularów, szerokiej, nalanej twarzy i odstających uszu pana Goble z Kansas City.

Światła wybiegły do przodu i ruszyłem w dół drogą leniwie wijącą się długim zboczem. Nie wiedziałem dokładnie, dokąd ona prowadzi, ale wiedziałem, że wszystkie drogi w okolicy prędzej czy później schodziły nad ocean. Na skrzyżowaniu u stóp wzgórza skręciłem w prawo w wąską uliczkę, która po

kilku przecznicach zaprowadziła mnie nad wybrzeże. Z wybrzeża znowu skręciłem w prawo do centrum Esmeralda.

Dziewczyna odezwała się dopiero, kiedy zatrzymaliśmy się przed hotelem. Szybko wyskoczyła z samochodu.

— Zaczekaj. Przyniosę pieniądze.

— Mieliśmy ogona — powiedziałem.

— Co...? — stanęła w półobrocie jak wryta.

— Jechał za nami taki mały samochodzik. Mogłaś go nie zauważyć. Chyba, że w drodze powrotnej, jeszcze na szczypcie wzgórza, kiedy tak ostro zawracałem i zapaliłem długie światła.

— Kto to był? — jej głos wyrażał silne napięcie.

— Skąd mam wiedzieć? Musiał nas namierzyć już wcześniej, zapewne niedługo tu wróci. Może to glina?

Patrzyła na mnie bez ruchu, zmartwiała. Zrobiła powoli krok do przodu i naraz rzuciła się na mnie, jakby miała zamiar wydrapać mi oczy. Chwyciła mnie za ramiona i próbowała mną potrząsnąć. Dyszała ciężko.

— Zabierz mnie stąd! Na miłość boską, zabierz mnie stąd! Ja chcę mieć trochę spokoju. Gdzieś, gdzie nie będą mnie śledzić, ścigać, straszyć. Przysięgał, że to zrobi, że umie dopadnie. Choćby na końcu świata, na najmniejszej wyspie Pacyfiku...

— Na szczytach gór najwyższych, w sercu najdalszej pustyni — uzupełniłem. — Ktoś tu się naczytał klasycznej literatury.

Opuściła bezwładnie ręce.

— Masz w sobie tyle współczucia, co wygłodniały rekin.

— Nigdzie cię nie zabiorę — oświadczyłem. — Jeżeli coś cię gryzie, to będzie cię gryzło i musisz to znieść.

Odwróciłem się i wsiadłem do samochodu. Kiedy się obejrzałem, była już w połowie drogi do baru. Szła szybkim krokiem.

## 16

Gdybym był rozsądny, wziąłbym walizkę i pojechał do domu, zapominając o niej. Zanim zdecydowałyby się jaką gra rolę, w którym akcie i w jakiej sztuce, byłoby już zapewne za późno, żebym mógł cokolwiek zrobić, chyba że poszedłbym siedzieć za włóczenie się w okolicy poczty.

Czekałem paląc papierosa. Lada moment powinien pojawić się na parkingu Goble w swoim odrapanym, małym, brudnym gruchocie. Nie mógł nas nigdzie

indziej nakryć, a skoro wiedział aż tyle, śledził nas tylko po to, by sprawdzić, dokąd jedziemy.

Nie pojawiał się. Skończyłem papierosa, wyrzucił niedopałek i wyjechałem z parkingu. Skręcając w stronę miasta zauważyłem jego samochód nieumiejętnie zaparkowany przy krawężniku po przeciwnej stronie ulicy. Nie zatrzymałem się, pojechałem w lewo na bulwar, nie śpiesząc się, żeby nie pogubił uszchelek próbując dotrzymać mi kroku. Około półtora kilometra dalej była restauracja pod nazwą Epicure. Pokryta niskim dachem, odgradzona od ulicy murem z czerwonej cegły, posiadała również bar. Wejście znajdowało się z boku. Zaparkowałem i wszedłem do środka. Ruch w interesie jeszcze się nie zaczął. Barman gawędził z kierownikiem sali, który nie włożył jeszcze nawet smokingu. Siedział przy wysokim pulpicie, na którym leżała książka rezerwacji. Książka była otwarta, zawierała listę gości przewidzianych na wieczór. O tak wczesnej porze mogłem jeszcze dostać stolik.

W sali jadalnej panował półmrok, oświetlona była świecami i przedzielona na pół niską ścianką. Sprawiałaaby wrażenie zatłoczonej już przy trzydziestu gościach. Kierownik dał mi stolik w rogu sali i zapalił na nim świecę. Zamówiłem podwójnego Gibsona. Pojawił się kelner i zabrał się do sprzątnięcia nakrycia po drugiej stronie stołu. Powiedziałem mu, żeby je zostawił, bo czekam na kogoś. Obejrzałem kartę dań, która robiła wrażenie nie mniej imponujące niż sala jadalna. Gdybym był ciekaw jej zawartości, musiałbym posłużyć się latarką. To chyba najciemniejsza knajpa, jaką kiedykolwiek widziałem. Człowiek mógłby nie poznać własnej matki siedzącej przy sąsiednim stoliku.

Przyniesiono mi Gibsona. Dostrzegłem zarys szklanki, w której chyba coś było. Skosztowałem, nie było najgorsze, i właśnie wtedy Goble wsunął się na krzesło naprzeciw mnie. O ile mogłem się zorientować w ciemności, wyglądał mniej więcej tak samo jak poprzedniego dnia. Zająłem się kartą. Powinni wydrukować ją Braillem.

Goble sięgnął po moją szklankę z wodą i lodem i napił się.

— Jak tam idzie z dziewczyną? — zapytał od niechcienia.

— Bez powodzenia. A bo co?

— Po co byliście na wzgórzu?

— Myślałem, że będziemy się przytulać. Ale nie była w nastroju. A o co chodzi? Sądziłem, że szukasz faceta o nazwisku Mitchell?

— Bardzo zabawne. Faceta o nazwisku Mitchell. Podobno nigdy o nim nie słyszałeś.



— Zdążyłem już o nim usłyszeć. A nawet go widziałem. Był pijany. I to bardzo. Niewiele brakowało, żeby wyrzucili go z lokalu.

— Bardzo śmieszne — powtórzył Goble sarkastycznie. — A skąd wiedziałeś, że nazywa się Mitchell?

— Stąd, że ktoś się tak do niego zwrócił. To już jest nazbyt zabawne, co? Uśmiechał się ironicznie.

— Powiedziałem ci, żebyś mi nie wchodził w paradę. Teraz już wiem, co z ciebie za ptaszek. Sprawdziłem cię

Zapaliłem papierosa i dmuchnąłem mu dymem w twarz.

— Idź się utop.

— Mocno, powiedziane — zadrwił. — Ale radziłem już sobie z większymi cwaniakami od ciebie.

— Wymień chociaż dwóch.

Nachylił się nad stołem, ale właśnie przyszedł kelner.

— Bourbona z wodą — zamówił Goble. — Monopolową. Barowej nie piję. I nie próbuj chrzczyć, bo ja się i tak poznam. Woda ma być butelkowana. Ta miejska, z kranu, jest tutaj okropna.

Kelner tylko popatrzył na niego.

— A ja poproszę jeszcze raz to samo — powiedział podsuwając swoją szklanę.

— Co tu dają? — zaciekawiał się Goble. — Nigdy nie zaglądam w te afisze — pogardliwym ruchem wskazał menu.

— Piat du jour to sztufada — wyjaśnił kelner opryskliwie.

— Knajpiany fagas w nakrochmalonym kołnierzyku — skomentował Goble. — Niech będzie sztufada.

Kelner spojrzał na mnie. Powiedziałem, że nie mam nic przeciwko sztufadzie. Kelner odszedł. Goble znowu pochylił się nad stolikiem, obejrzawszy się przedtem szybko za siebie i na boki.

— Nie masz szczęścia, przyjacielu — stwierdził radośnie. — Nie uszło ci to bezkarnie.

— Trudno — powiedziałem. — A co nie uszło mi bezkarnie?

— Masz cholernie mało szczęścia. Cholernie mało. Nie dopisał przyplływ albo coś innego. W każdym razie jeden z, tych poławiaczy abalonów zaklinował się pod skałą.

— Zaklinował się pod skałą? — Zimny, łaskotliwy dreszcz przebiegł mi po plecach. Kiedy nadszedł kelner z drinkami, musiałem się dobrze starać, żeby nie porwać od razu za swoją szklanę.

— To bardzo zabawne, prawda, przyjacielu?

— Powtórz to jeszcze raz, a rozwalę ci te cholerne okulary — warknąłem.

Wziął swojego drinka i pociągnął łyczek, posmakował, pomyślał i pokiwał głową.

Przyjechałem tutaj, żeby zarobić trochę forsy — myślał głośno. — Ale nie po to, żeby sprawiać komukolwiek kłopot. Nie można robić forsy, sprawiając jednocześnie kłopot, forszę można robić tylko wtedy, jeśli nie wsadza się nosa w brudne sprawy. Czy wyrażam się jasno?

— Dla ciebie to zapewne coś nowego — powiedziałem. — I jedno, i drugie. — A co z tym poławiaczem? — kontrolowałem się, ale z pewnym trudem.

Usiadł prosto. Mój wzrok przyzwyczyił się już do mroku. Zaważyłem na jego tłustej twarzy wyraz rozbawienia.

— Żartowałem — wyjaśnił. — Nic nie wiem o żadnym poławiaczu. Wczoraj wieczorem po raz pierwszy usłyszałem słowo abalony. Wciąż nie wiem, co to jest. Ale sprawy przybrały, że tak powiem, zabawny obrót. Nie mogę znaleźć Mitchella.

— Mieszka w hotelu — napiłem się trochę, nie za dużo. To nie był czas na pijaństwo.

— Wiem, że mieszka w hotelu, kolego. Nie wiem natomiast, gdzie jest teraz. W pokoju go nie ma. Służba hotelowa nie widziała go. Pomyślałem, że może ty albo ta dziewczyna macie jakiś cynk na ten temat.

— Dziewczyna bredzi — odparłem. — Nie mieszej jej do tego. Poza tym w Esmeralda nie mówi się cynk. Gwarę uważa się tu za obrazę moralności publicznej.

— Odpieprz się, szpiclu. Jak będę potrzebował lekcji angielskiego, to na pewno nie od jakiegoś nędznego kapusia z Kalifornii — odwrócił głowę i wrzasnął: — Kelner!

Kilku gości spojrzało na niego z odrazą. Kelner pojawił się po chwili przy stoliku z takim samym wyrazem twarzy jak goście.

— Jeszcze raz to samo — warknął Goble, pstrykając palcami w szklanę.

— Nie musi pan na mnie krzyżeć — pouczył kelner. Zabrał szklanę,

— Płacę i żądam właściwej obsługi — rzucił za nim Goble.

— Mam nadzieję, że lubisz jednak barową whisky — zauważyłem.

— Moglibyśmy dojść do porozumienia — stwierdził obojętnym tonem — gdybyś miał trochę rozumu.

— I gdybyś ty miał lepsze maniery, kilka centymetrów więcej wzrostu, inną twarz, inne nazwisko i gdybyś nie zachowywał się jak mistrz wagi żabiej.

— Daruj sobie te teksty i wróćmy do Mitchella — przerwał mi. — I do tej lali, do której zabierałeś się tam na górze.

— Spotkała Mitchella w pociągu. Zrobił na niej takie samo wrażenie, jak ty na mnie. Gorąco zapragnęła przesiąść się na pociąg jadący w przeciwnym kierunku.

Traciłem czas. Ten człowiek był równie niekomunikatywny jak mój prapradziadek.

— A więc Mitchell jest dla niej tylko facetem z pociągu, którego nie polubiła przy bliższym poznaniu — skomentował ironicznie. — Dlatego rzuciła go dla ciebie? Dobrze się stało, że akurat znalazłeś się pod ręką.

Przyszedł kelner z talerzami i rozstawił je zamasyście. Jarzyny, sałatka, gorące bułki zawinięte w serwetkę.

— Kawa?

Powiedziałem, że wolę po jedzeniu. Goble zamówił kawę i zapytał o swojego drinka. Kelner odparł, że się robi, ale ton głosu sugerował, że robi się powoli. Goble zaczął swoją porcję sztufady.

— O, do licha, dobre! — zdziwił się. — Tak tu mało ludzi, że wyglądało mi to na jakąś nędzną knajpę.

— Spójrz na zegarek — poradziłem. — Ruch się zaczyna znacznie później. To właśnie takie miasto. Poza tym sezon już się dawno skończył.

— Znacznie później, to prawda — zgodził się, żując. — Nawet bardzo znacznie. Ludzie się odwiedzają o drugiej, czasem o trzeciej nad ranem. Mieszkasz znowu na Rancho, kolego?

Spojrzałem na niego bez słowa.

— Co, mam ci wyłożyć kawę na ławę, kolego? Kiedy się zabieram za robotę, to pracuję do późna.

Nie odzywałem się.

Wytarł usta. — Wydawało mi się, żeś trochę zeszywniał, kiedy wspomniałem o tym facecie, który utknął między skałami pod wodą. Ale może się myłę.

Nie odpowiedziałem.

— Nie chcesz, nie mów — rzucił złośliwie. — Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wspólnie ubić pewien mały interes. Masz ładną prezencję i dobre wejścia. Ale nie masz o niczym zielonego pojęcia. Brakuje ci tego wszystkiego, co jest potrzebne w moim fachu. Tam, skąd pochodzę, trzeba dobrze kombinować, żeby nie zginąć. A tutaj można się opalać i chodzić sobie na luzie.

— Czekam na propozycję — wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

Goble potrafił jeść bardzo szybko, mimo że tak dużo gadał. Odsunął od siebie talerz, wypił trochę kawy i wyciągnął z kamizelki wykałaczkę.

— To jest bogate miasto, przyjacielu — ciągnął powoli. — Dobrze je spenetrowałem. Nauczyłem się go. Rozmawiałem o nim z różnymi facetami. Dowiedziałem się, że to jedno z niewielu miejsc w naszym pięknym kraju, gdzie forsa to jeszcze nie wszystko. W Esmeralda musisz należeć gdzie trzeba. Kto nie należy ten jest nikim. A jeżeli chcesz należeć, być zapraszany tu i tam, przyjaźnić się z właściwymi ludźmi, to musisz reprezentować jakąś klasę. Jest tu taki gość, który zarobił pięć milionów na różnych szwindlach w Kansas City. Kupił sobie ziemię, podzielił ją, postawił domy, wybudował najlepsze lokale w tym mieście. Ale nie należał do Beach Club, bo nikt go tam nie wprowadził. Więc kupił Beach Club. Teraz wiedzą już, co to za ptaszek, skaczą koło niego, zwłaszcza kiedy na coś zbierają, zawsze może liczyć na świetną obsługę, płaci rachunki w terminie, jest porządnym, solidnym obywatelem. Wydaje wielkie przyjęcia, na które przyjeżdżają tylko goście spoza miasta, jeżeli nie liczyć różnych włóczęgów, niedołęgów i innego tałałajstwa, którego zawsze pełno pęta się tam, gdzie pachnie forszą. A ludzie z klasą, mieszkańcy tego miasta? Nie, oni nie, bo dla nich on jest zwykłym Murzynem.

Było to długie przemówienie i wygłaszając je Goble popatrywał na mnie, niby to obojętnie, od niechcienia, rozglądał się po sali i dłubał w zębach wygodnie rozparty na krześle.

— Zapewne go to strasznie boli — zauważyłem. — A jak dowiedzieli się, skąd miał forszę?

Goble pochylił się ku mnie nad stolikiem. — Co roku przyjeżdża tu na urlop jakaś szycha z Departamentu Skarbu. Zobaczył przypadkiem Forsiastego i okazało się, że wszystko o nim wie. Rozpowiedział naokoło. Myślisz, że to nie boli? Nie znasz tych bandziorów, którzy wyszli na swoje i zyskali pewne uznanie. Jego to nie tylko boli. Jego dusza krwawi, przyjacielu. Zetknął się z czymś, czego nie może kupić za papierki, i to go zjada, schnie na wiór.

— A ty skąd o tym wiesz?

— Bo jestem cwany. Chodzę, pytam i dowiaduję się różnych rzeczy.

— Z wyjątkiem jednej — dorzuciłem.

— No, jakiej?

— Nie połapałbyś się, nawet gdybym ci powiedział.

Przyszedł kelner ze spóźnionym drinkiem Goble'a i zabrał talerze. Podał nam karty.

— Nie jadam deserów — powiedział Goble. — Spadaj.

Kelner zatrzymał wzrok na wykałacze. Nachylił się i zręcznie wyjął ją spomiędzy palców Goble'a.

— Tu jest męska toaleta, kolego — powiedział. Wrzucił wykałaczkę do popielniczki i zabrał popielniczkę.

— Widzisz, o to właśnie chodzi — zwrócił się Goble do mnie. — Trzeba mieć klasę.

Zamówiłem dla siebie deser czekoladowy i kawę. — A temu panu proszę przynieść rachunek — dodałem.

— Z przyjemnością — ucieszył się kelner. Goble wyglądał na oburzonego. Kelner oddalił się. Pochyliłem się nad stolikiem i powiedziałem cicho:

— Jesteś największym oszustem, jakiego spotkałem w ciągu ostatnich dwóch dni. A zdążyłem już spotkać kilku doskonałych fachowców. Nie sądzę, żeby interesował cię Mitchell. Myślę, że nigdy go nie widziałeś i że nie słyszałeś o nim aż do wczoraj, kiedy to przyszło ci do głowy, żeby go użyć jako pretekstu. Zostałeś tu przysłany, żeby śledzić dziewczynę, i wiem nawet przez kogo — nie kto cię wynajął, ale z czyjego polecenia. Wiem, dlaczego jest śledzona, i wiem, co zrobić, żeby przestała być śledzona. Jeżeli masz do wyłożenia jakąś mocną kartę, to lepiej wyłóż ją zaraz. Bo jutro może być za późno.

Odsunął krzesło i wstał. Rzucił na stół złożony, wymięty banknot. Zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem.

— Dużo gadasz, mało wiesz — stwierdził. — Nie męcz się, bo dostaniesz chryпки. Nic nie pojmujesz, przyjacielu. I wątpię, żebyś kiedykolwiek pojął.

Odszedł z głową wojowniczo wysuniętą do przodu.

Sięgnąłem po złożony na pół i wymięty banknot, który Goble zostawił na stole. Tak jak się spodziewałem, był to tylko jeden dolar. Faceci, którzy jeżdżą trupem rozwijającym zawrotną prędkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę z górki, jadają w lokalach, gdzie kolacja za 85 centów stanowi szaleństwo sobotniej nocy.

Przyszedł kelner i sporządził rachunek. Zapłaciłem, zostawiając na talerzu dolara od Goble'a.

— Dziękuję — powiedział kelner. — Czy ten pan to rzeczywiście pański bliski przyjaciel?

— Nasza przyjaźń jest bezinteresowna — wyjaśniłem.

— Może jest biedny — zauważył kelner tolerancyjnie. — Jedną z właściwości tego miasta jest to, że ludzi, którzy tu pracują, nie stać na to, żeby w nim mieszkać.

Kiedy wychodziłem, w sali siedziało nie więcej niż dwadzieścia osób. Ich głosy odbijały się od niskiego sufitu.

## 17

Zjazd do garażu wyglądał zupełnie tak samo jak o czwartej rano, z tym, że już na zakręcie usłyszałem plusk wody. Szklana budka stróża była pusta. Gdzieś w głębi ktoś mył samochód, ale nie był to chyba garażowy. Przeszedłem do drzwi prowadzących do korytarza windowego i otworzyłem je. Za plecami usłyszałem dzwonek dochodzący z budki. Drzwi wahadłowe zamknęły się za mną, zatrzymałem się wyczekująco. Zza rogu wyszedł szczupły mężczyzna w długim białym fartuchu. Nosił okulary, skórę miał barwy zimnej owsianki, a oczy puste i zmęczone. Miał w twarzy coś z Azjaty, coś z południowca, coś z Indianina i jeszcze coś ciemniejszego. Czarne włosy płasko oblepiały jego wąską czaszkę.

— Życzy pan sobie swój wóz? Pańskie nazwisko?

— Czy samochód pana Mitchella jest w garażu? Dwukolorowy Buick z dachem...

Nie odpowiedział od razu. Jego oczy zaszły jakąś senną mgłą. Już mu zadawano to pytanie.

— Pan Mitchell zabrał swój samochód dzisiaj rano.

— O której?

Sięgnął po ołówek przyczepiony do kieszeni obok szkarłatnej plakietki z nazwą hotelu. Wyjął ołówek i przyglądał mu się.

— Tuż przed siódmą. Ja zszedłem ze zmiany o siódmej.

— Pracuje pan dwanaście godzin? Jest dopiero kilka minut po siódmej.

Włożył ołówek z powrotem do kieszeni.

— Pracuję osiem godzin, ale na zmianę.

— Aha. Wczoraj pracował pan od jedenastej do siódmej.

— Zgadza się — patrzył w przestrzeń ponad moim ramieniem. — Właśnie wychodzę.

Wyjąłem paczkę papierosów i poczęstowałem go.

Pokręcił głową.

— Wolno mi palić tylko w budce.

— Albo na tylnym siedzeniu Packarda.

Jego prawa dłoń zwinęła się w pięść, jakby zamykała się wokół rękojeści noża.

— Jak tam dostawy? Nie potrzeba czegoś?

Nadal patrzył przed siebie.

— Powinieneś zapytać: „Jakie dostawy?” — powiedziałem.

Nie odpowiadał.

— A wtedy ja bym wyjaśnił, że nie mam na myśli tytoniu — ciągnąłem pogodnie — tylko coś, co konserwuje się miodem.

Nasze spojrzenia spotkały się. Po chwili odezwał się cicho:

— Dostawca?

— Świetnie dajesz sobie radę, skoro pracujesz już od siódmej. Wyglądałeś tak, jakby film urwał ci się na dobrych parę godzin. Musisz mieć zegar w głowie, jak Eddie Arcaro.

— Eddie Arcaro — powtórzył. — A, tak, ten dżokej. Ma w głowie zegarek?

— Podobno.

— Możemy porozmawiać — powiedział nieobecny głosem. — Po ile?

W budce rozległ się dzwonek. Podświadomie zarejestrowałem odgłos zjeżdżającej windy. Otworzyły się drzwi i wyszła przez nie para młodych, których widziałem w głównym hallu, jak trzymali się za ręce. Dziewczyna miała na sobie suknię wieczorową, a chłopak był w smokingu. Stali obok siebie i wyglądali jak dzieci przyłapane na całowaniu się. Garażowy spojrzał na nich i oddalił się, uruchomił silnik i podjechał ładnym nowym Chryslerem ze składanym dachem. Chłopak prowadził dziewczynę ostrożnie, jakby już była w ciąży. Garażowy otworzył drzwi, Chłopak obszedł samochód, podziękował garażowemu i siadł za kierownicą.

— Jak można stąd dojechać do Szklanej Sali? — zapytał nieśmiało.

— Bardzo prosto, sir — garażowy objaśnił im drogę.

Chłopak podziękował z uśmiechem, sięgnął do kieszeni i wręczył garażowemu banknot dolarowy.

— Można u nas zamówić podstawienie wozu przed wejście, panie Preston. Wystarczy zadzwonić.

— Dziękuję, nie trzeba. — powiedział chłopak pośpiesznie. Ruszył ostrożnie w stronę wyjazdu. Chrysler zniknął powoli za zakrętem.

— Nowożeńcy — zauważyłem. — Są tacy rozbrajający. Nie lubią, kiedy się im przyglądać.

Garażowy stał znowu przede mną z niezmiennym pustym wyrazem twarzy.

— A w nas nie ma nic rozbrajającego — dodałem.

— Jeżeli jesteś glina, to pokaż blachę.

— Wyglądam na glinę?

— W każdym razie za dużo wieszysz — mówił ciągle tym samym bemolowym tonem. Wirtuoz jednej struny.

— To moje zajęcie — wyjaśniłem. — Jestem prywatnym detektywem. Wczoraj śledziłem kogoś, kto tutaj wchodził. Siedziałeś w Packardzie, o, tam — pokazałem palcem. — Podszedłem do tego samochodu, otworzyłem drzwi i poczułem trawę. Mógłbym stąd wyprowadzić cztery Cadillacy i nawet byś nie drgnął. Ale to twoja sprawa.

— Pytam, ile chcesz dzisiaj — powiedział — a nie, co było wczoraj.

— Czy Mitchell wyjechał sam?

Kiwnął głową.

— Bez bagażu?

— Miał dziewięć sztuk. Pomagałem mu załadować. Zwolnił pokój. Wystarczy?

— Sprawdziłeś w recepcji?

— Pokazał rachunek. Wszystko zapłacone.

— No pewnie. Wziął oczywiście boya do tego bagażu.

— Windziarza. Boye są dopiero od wpół do ósmej. To było około pierwszej w nocy.

— Którego windziarza?

— Meksykanina, nazywają go Chico.

— A ty nie jesteś Meksykaninem?

— Jestem trochę Chińczykiem, trochę Hawajczykiem, trochę Filipińczykiem i trochę Murzynem. Nie lubiłbyś być w mojej skórze.

— I jeszcze jedno. Jak ci uchodzi na sucho z tą trawą?

Rozejrzał się na boki.

— Palę tylko wtedy, kiedy jestem w bardzo złym nastroju. Zresztą, co cię to obchodzi? Co komu do tego? Mogą mnie nakryć i wylać z tej parszywej roboty. Mogą mnie zapudłować. A może ja całe życie siedzę w pudle, może ciągle noszę je ze sobą? Wystarczy? — Za dużo mówił. To cecha osobników nieźrównoważonych. Najpierw monosylaby, a potem nagle potok słów. Ciągnął dalej zmęczonym, monotonnym, cichym głosem:

— Nie mam do nikogo żalu. Żyję. Jem. Czasem śpię. Wpadnij do mnie kiedyś. Mieszkam w starej zapchlonej ruderze na Polton's Lane. To taka uliczka na tyłach Esmeralda Hardware Company. Ubikacja jest w szopie na zewnątrz. Myję się w kuchni nad zlewem. Śpię na kanapie z popękkanymi sprężynami. Wszystko tam ma ponad dwadzieścia lat. Esmeralda to miasto bogaczy. Przyjdź i zobacz. Mieszkam na posesji bogacza.



- Czegoś brakuje w tej opowieści o Mitchellu — przerwałem.
- Czego brakuje?
- Prawdy.
- Rozejrzę się za nią pod łóżkiem. Może być trochę zakurzona.

Dał się słyszeć warkot samochodu wjeżdżającego do garażu. Garażowy odwrócił się i poszedł zadzwonić po windę. Jakiś dziwny był ten garażowy, bardzo dziwny, Chociaż jednocześnie interesujący. I taki smutny. Jeden z tych smutnych i zagubionych.

Winda długo się nie pojawiała. Zanim nadjechała, miałem już towarzystwo czekającego na nią przystojnego, zdrowego samca metr dziewięćdziesiąt wzrostu, nazwiskiem Clark Brandon. Miał na sobie skórzaną kurtkę, pod spodem gruby niebieski golf, wytarte sztruksowe bryczesy i wysokie, sznurowane buty, jakie noszą agronomowie i geodeci w terenie. Wyglądał jak szef brygady wiertniczej. Bez wątplenia, nim upłynie godzina, zasiądzie we fraku w Szklanej Sali i będzie wyglądał jak szef Szklanej Sali, którym zresztą może nawet jest. Mnóstwo forsy, mnóstwo zdrowia i mnóstwo czasu na korzystanie z jednego i z drugiego, a gdzie nie pójdzie, jest potencjalnym właścicielem.

Spojrzał na mnie, a kiedy nadjechała winda, zaczekał, aż wejdem pierwszy. Windziarz zasalutował mu służbiście. Brandon skinął głową. Wyszliśmy obaj w głównym hallu. Brandon przeszedł do recepcji, a recepcjonista — jakiś nowy, nie widziałem go tu przedtem — przesłał mu szeroki uśmiech i wręczył plik listów. Brandon oparł się o skraj blatu, rozrywał koperty jedną po drugiej i wrzucał do stojącego tuż obok kosza. Większość listów tam kończyła swój żywot. W pobliżu znajdowała się półka z folderami turystycznymi. Wziąłem pierwszy z brzegu folder, zapaliłem papierosa i zacząłem przeglądać.

Jeden z listów zainteresował Brandona. Przeczytał go kilka razy. Zauważyłem, że list był krótki, pisany ręcznie na papeterii hotelowej, ale żeby zobaczyć coś więcej, musiałbym zajrzeć mu przez ramię. Stał z listem w ręku, potem sięgnął do kosza i wyjął kopertę. Przyjrzał się jej. Włożył list do kieszeni i przeszedł wzdłuż lady. Pokazał kopertę recepcjoniście.

— Ktoś to dla mnie zostawił. Widziałeś może kto? Chyba nie znam nadawcy.

Recepcjonista przyjrzał się kopercie i pokiwał głową. — Tak jest, panie Brandon, zostawił to jakiś mężczyzna zaraz na początku mojej zmiany. Taki grubawy, w okularach, w średnim wieku. Był w szarym garniturze i w pilśniowym kapeluszu. Jakiś nietutejszy. Trochę niechlujny. Raczej nie wyglądał na nikogo ważnego.

— Pytał o mnie?

— Nie, sir. Prosił tylko, żebym włożył list do pańskiej przegródki. Coś nie tak, panie Brandon?

— Wyglądał na stukniętego?

Recepcjonista pokręcił głową. — Wyglądał dokładnie tak, jak go opisałem, to znaczy nijak.

Brandon zachichotał.

— Chce ze mnie zrobić biskupa mormonów za pięćdziesiąt dolarów. Jakiś wariat. — Zabrał kopertę z lady i włożył do kieszeni. Już na odchodnym odwrócił się i zapytał:

— Widziałeś może Larry Mitchella?

— Odkąd tu jestem, nie. Ale zacząłem zmianę dopiero kilka godzin temu.

— Aha. Dziękuję.

Brandon przeszedł przez hall i wsiadł do windy. Była to inna winda. Windziarzowi uśmiech rozlał się po całej twarzy i coś zagadnął. Brandon nie odpowiedział ani nawet na niego nie spojrzał. Windziarz zamykał drzwi, urażony. Brandon miał kwaśną minę. A kiedy miał kwaśną minę, to nie był już taki przystojny.

Odłożyłem folder na półkę i podszedłem do recepcjonisty. Zmierzył mnie beznamiętnym spojrzeniem, którym wyraził przekonanie, że nie jestem gościem hotelowym.

— Słucham pana.

Miał siwe włosy i godny wygląd.

— Chciałem zapytać o pana Mitchella, ale właśnie słyszałem, że go pan nie widział.

— Tam są telefony wewnętrzne. — Wskazał ruchem podbródka. — Centrala pana połączy.

— Wątpię.

— To znaczy?

Rozpiąłem marynarkę, żeby sięgnąć po portfel. Wiedziałem, jak wzrok recepcjonisty zatrzymał się na okrągłej rękojeści pistoletu pod moją pachą. Wyjąłem portfel i wyciągnąłem wizytówkę.

— Chciałbym rozmawiać z detektywem hotelowym. Jeśli jest tu taki.

Wziął moją wizytówkę i przeczytał. Spojrzał mi w twarz.

— Proszę zaczekać w głównym hallu, panie Marlowe.

— Dziękuję.

Chwycił za słuchawkę, zanim zdążyłem odwrócić się od lady. Przeszedłem pod łukowatym sklepieniem i usiadłem pod ścianą naprzeciw recepcji. Nie czekałem długo.

Mężczyzna miał mocne, proste plecy, mocną prostą Twarz i cerę, która nigdy się nie opala, tylko czerwienieje, a potem na powrót blednie. Włosy koloru rudoblond cesał do góry. Stał w łukowatym przejściu i powoli powiódł wzrokiem po hallu. Nie zatrzymał go na mnie dłużej niż na innych. Następnie podszedł i usiadł w sąsiednim fotelu. Był w brązowym garniturze i w brązowo—żółtej muszce. Ubranie dobrze na nim leżało. Policzki miał porośnięte delikatnym puchem, a fryzura srebrzyła się szykownymi pasmami siwizny.

— Jestem Javonen — powiedział nie patrząc na mnie. — Pańskie nazwisko już znam. Mam w kieszeni pańską wizytówkę. O co chodzi?

— O człowieka nazwiskiem Mitchell. Szukam go. Nazywa się Larry Mitchell.

— Dlaczego pan go szuka?

— Mam do niego interes. A czy jest jakiś powód, dla którego nie powinienem go szukać?

— Nie ma takiego powodu. Mitchell wyjechał z miasta dziś z samego rana.

— Słyszałem. I trochę mnie to dziwi. Przyjechał tu dopiero wczoraj, najpierw ekspresem Super Chief do Los Angeles, tam przesiadł się do samochodu i dotarł tutaj. Poza tym nie miał forsy. Musiał pożyczyć na kolację. Był na kolacji z dziewczyną w Szklanej Sali. Ostro sobie popił. Albo udawał pijanego, żeby wykręcić się od płacenia rachunku.

— Pan Mitchell może sam wypisywać czeki — zauważył Javonen obojętnym tonem. Ciągle rozglądał się po hallu, jakby spodziewał się, że któryś z uczestników gry w kanastę wyciągnie pistolet i zastrzeli swego partnera albo że któraś ze starszych pań przy układance zacznie rwać sobie włosy z głowy. Jego repertuar przewidywał dwa rodzaje spojrzenia — twarde i jeszcze twardsze.

— Pan Mitchell jest dobrze znany w Esmeralda.

— Tylko z nie najlepszej strony — uzupełniłem.

Odwrócił głowę i zmierzył mnie zimnym wzrokiem.

— Jestem tutaj zastępcą dyrektora, panie Marlowe, zajmuję się także sprawami bezpieczeństwa. Nie mogę omawiać z panem reputacji naszych gości.

— Nie musi pan. Ja ją znam. Z różnych źródeł. Widziałem go przy pracy. Ubiegłej nocy naciągnął pewną osobę na sumę wystarczająco wysoką, żeby mógł zmyć się z miasta. Wiem także, że wyjechał stąd z bagażem.

— Od kogo? — To pytanie opatrzył twardym spojrzeniem.

Spróbowałem zachować się równie twardo i nie odpowiedziałem.

— Poza tym przekażę panu moje trzy spostrzeżenia — ciągnąłem dalej. — Po pierwsze, ubiegłej nocy pościel w jego łóżku nie była używana. Po drugie, w recepcji w ciągu dnia zameldowano, że jego pokój został posprzątny. Po trzecie, jeden z waszych pracowników z nocnej zmiany nie przyjdzie dzisiaj wieczorem do pracy. Mitchell nie mógł zabrać wszystkich bagaży bez czyjejś pomocy.

Javonen spojrzał na mnie, a potem znowu powiódł wzrokiem po hallu.

— Czy ma pan jakiś dokument potwierdzający to, co jest napisane na wizytówce? Każdy może sobie wydruków, taką wizytówkę.

Wyjąłem portfel i podałem mu pomniejszoną fotokopię swojej licencji. Przyjrzał się i oddał mi ją. Włożyłem licencję z powrotem do portfela.

— Mamy własne sposoby radzenia sobie z klientami, którzy wyjeżdżają bez uregulowania rachunku — powiedział. — Tacy też się tu zdarzają, jak wszędzie. Pańska pomoc nie jest nam potrzebna. Nie lubimy też pistoletów w hallu. Recepcjonista zauważył, że nosi pan pistolet. Ktoś inny też mógłby zauważyć. Dziewięć miesięcy temu mieliśmy tu próbę napadu. Jeden z napastników został zabity. Zastrzeliłem go.

— Czytałem o tym w prasie — powiedziałem. — Ze strachu nie mogłem spać przez wiele nocy.

— Nie przeczytał pan wszystkiego. Straciliśmy przez to w następnym tygodniu cztery albo pięć tysięcy dolarów. Goście masowo opuszczali hotel. Rozumie pan teraz, o co mi chodzi?

— Celowo pozwoliłem recepcjoniście zobaczyć kawałek pistoletu. Pytam o Mitchella od rana i odsyłają mnie to tu, to tam. Skoro facet się wymeldował, to dlaczego nie można mi było tego powiedzieć. Nikt nie musiał mnie informować, że nie zapłacił.

— Nikt nie twierdzi, że nie zapłacił. Jego rachunek został zapłacony, panie Marlowe. I co pan na to powie?

— Powiem, że wciąż mnie dziwi, dlaczego trzymano w tajemnicy fakt, że się wymeldował.

Popatrzył na mnie z politowaniem.

— Nikt tego nie trzymał w tajemnicy. Nie słucha pan uważnie. Powiedziałem, że wyjechał z miasta, udał się w podróż. Powiedziałem, że jego rachunek został zapłacony. Nie mówiłem, jaki bagaż zabrał, nie mówiłem, że

zwolnił swój pokój, ani też nie powiedziałem, że zabrał wszystkie swoje rzeczy... Co pan tu próbuje kombinować, panie Marlowe?

— Kto za niego zapłacił?

Jego twarz nieznacznie poczerwieniała.

— Słuchaj pan. Powiedziałem już, że sam zapłacił. Osobiście, wczoraj wieczorem. Cały rachunek, i to za tydzień z góry. Wykazałem wobec pana wiele cierpliwości. Teraz niech mi pan powie, czego pan szuka?

— Niczego. Przekonał mnie pan. Zastanawiam się tylko, dlaczego zapłacił za tydzień z góry.

Javonen uśmiechnął się słabo. Była to, powiedzmy, taka zaliczka uśmiechu.

— Panie Marlowe, pięć lat służyłem w wywiadzie wojskowym. Potrafię znaleźć każdego. Tego faceta, o którym rozmawiamy, także. To dla mnie żaden problem. Płaci z góry, bo to nam zapewnia lepsze samopoczucie. Wpływa na nas stabilizująco.

— A czy przedtem płacił już kiedyś z góry?

— Do jasnej cholery...

— Niech pan uważa — przerwałem mu. — Ten starszy jegomość z laską bacznie obserwuje pańskie zachowanie.

Spojrzał w głąb hallu, gdzie w niskim, miękkim fotelu o zaokrąglonym oparciu siedział blady, szczupły staruszek opierając podbródek na dłoniach w rękawiczkach złożonych na lasce. Patrzył w naszym kierunku i wcale nie mrugał powiekami.

— A, tamten — odparł Javonen. — Za daleko, żeby cokolwiek zobaczyć. Ma osiemdziesiąt lat.

Wstał i obrócił się do mnie twarzą. — W porządku, kolego, jesteś dyskretny — powiedział przyciszonym głosem. — Jesteś prywatnym detektywem, masz klienta i działasz według instrukcji. Mnie interesuje tylko bezpieczeństwo tego hotelu. Następnym razem zostaw pistolet w domu. Z pytaniami zwracaj się do mnie. Nie wpytuj służby. To się roznosi, a my tego nie lubimy. Miejscowe gliny nie byłyby dla ciebie zbyt miłe, gdybym dał im do zrozumienia, że sprawiasz nam kłopot.

— Czy mogę przed wyjściem napić się czegoś w barze?

— Tak, ale nie rozpinaj marynarki.

— Przez pięć lat w wywiadzie wojskowym można się dużo nauczyć — zauważyłem, przyglądając mu się z zachwytem.

— Wystarczająco dużo — skinął głową i oddalił się przechodząc wolnym krokiem pod łukowatym sklepieniem, wyprostowany, z ramionami

odciągniętymi do tyłu, podbródkiem wysuniętym do przodu — twardy, szczupły, dobrze utrzymany kawał chłopca. Świetny fachowiec. Wyciągnął ze mnie wszystko — wszystko, co było wypisane w mojej legitymacji.

Zauważyłem, że staruszek siedzący w fotelu podnosi urękawiczoną dłoń z laski i kiwa na mnie. Wskazałem palcem na siebie i przybrałem pytający wyraz twarzy. Kiwnął głową, więc podszedłem do niego.

Był stary, to prawda, ale wcale nie słabowity, a całkiem rześki. W białych włosach nosił staranny przedziałek. Miał długi i ostry nos pokryty żyłkami i wyblakłe, niebieskie oczy, które wciąż jeszcze wyrażały chęć życia, chociaż powieki opadały na nie powoli i ciężko. W jednym uchu tkwiła plastikowa końcówka aparatu słuchowego, różowo—szara, jak jego ucho. Mankiety zamszowych rękawiczek były wywiniete spinkami do góry. Na wyczyszczonych czarnych butach nosił popielate getry.

— Przysuń sobie fotel, młody człowieku. — Głos miał wysoki i suchy, szeleszczący jak liście bambusa.

Usiadłem obok niego. Przyglądał mi się i wykrzywił wargi w uśmiechu.

— Nasz znakomity pan Javonen spędził pięć lat w wywiadzie wojskowym, czego zapewne nie omieszkał panu powiedzieć.

— Tak jest, sir. W Counter Intelligence Corps.

— Ta nazwa zawiera pewną wewnętrzną sprzeczność. A więc ciekawi pana, jak pan Mitchell zapłacił rachunek?

Spojrzałem na niego, potem na aparat słuchowy. Postukał się w kieszeń na piersiach.

— Straciłem słuch na długo przedtem, nim wymyślili te urządzenia. Ogłuchłem w wyniku upadku z konia. Zresztą z mojej winy. Koń wpadł na płot, bo za wcześnie go poderwałem. Byłem jeszcze młody. Nie bardzo widziałem się z trąbą przy uchu, więc nauczyłem się czytania z warg. Kosztowało mnie to sporo wysiłku.

— A co z Mitchellem, sir?

— Dojdziemy i do Mitchella. Bez pośpiechu — skinął głową.

— Dobry wieczór, panie Clarendon — powiedział boy hotelowy zdążając do baru. Clarendon odprowadził go wzrokiem.

— Nie przejmuj się nim, chłopcze — powiedział. — To alfons. Spędziłem wiele, wiele lat w hallach, salonach i barach, na werandach i tarasach, w bogatych ogrodach hotelowych całego świata. Przeżyłem wszystkich członków swojej rodziny. I pozostanę bezużyteczny i wścibski aż do dnia, kiedy zabiorą mnie na noszach do jakiegoś przyjemnego, przewiewnego pokoju szpitalnego.

Będą mi usługiwać krochmalone białe nietoperze, poprawiać poduszki, podsuwać tace z okropnym szpitalnym jedzeniem, badać puls i mierzyć temperaturę akurat wtedy, gdy będę zasypiał. Leżąc będę wsłuchiwał się w szelest krochmalonych spódnic i pisk gumowych podeszew na aseptycznej podłodze i będę oglądał przerażająco milczący uśmiech doktora. Po jakimś czasie włożą mnie pod namiot tlenowy, rozstawią parawan wokół mego białego łóżeczka i nawet nie zdając sobie z tego sprawy zrobię tę jedyną rzecz w życiu, której nigdy nie robi się dwa razy.

Odwrócił z wolna głowę i spojrzał na mnie.

— Za dużo mówię, prawda? Jak się pan nazywa?

— Philip Marlowe.

— Jestem Henry Clarendon IV. Należę do tak zwanej klasy wyższej. Kształciłem się w Groton, w Harvardzie, Heidelbergu i na Sorbonie, spędziłem nawet rok w Upsali. Nie bardzo już pamiętam po co. Zapewne żeby przygotować się do lekkiego, próżniaczego życia. Jest pan zatem prywatnym detektywem. Jak pan widzi, udaje mi się jednak w końcu powiedzieć czasem coś nie na swój temat.

— Tak jest, sir.

— Powinien się pan od razu zwrócić do mnie po informację. Ale oczywiście nie mógł pan tego wiedzieć.

Zgodziłem się. Zapaliłem papierosa, podsuwając mu paczkę. Pan Henry Clarendon IV odmówił lekkim mchem głowy.

— Tym niemniej, panie Marlowe, powinien pan na przyszłość pamiętać, że w każdym luksusowym hotelu na świecie zawsze znajdzie pan kilku podstarzałych próżniaków płci obojga, wysiadujących beczynnym w hallu. Obserwują, słuchają, wymieniają spostrzeżenia i uwagi, dowiadują się wszystkiego o wszystkich. Nie mają nic innego do roboty, bo życie hotelowe jest najgorszą ze wszystkich form nudy. Ja też niewątpliwie pana zanudzam.

— Prawdę mówiąc, wolałbym raczej usłyszeć coś o Mitchellu. Przynajmniej dzisiejszego wieczoru, panie Clarendon.

— Naturalnie. Jestem egocentrykiem i klepię od rzeczy jak pensjonarka. Widzi pan tę elegancką, ciemnowłosą kobietę grającą w kanastę? Tę, która nosi za dużo biżuterii i okulary w grubej oprawie?

Nie wskazał jej ani nie spojrzał w tamtą stronę. Ale wiedziałem, o kim mówi. Ubrana była z przesadną elegancją i sprawiała wrażenie kobiety nieco cynicznej. To ta, która miała na sobie sklep jubilerski i dużo farby.

— To jest Margo West. Siedmiokrotna rozwódka. Posiada tony pieniędzy i całkiem nieźle wygląda, ale nie potrafi zatrzymać przy sobie mężczyzny. Za bardzo się stara. Nie jest jednak głupia. Może mieć romans z facetem takim jak Mitchell, może dać mu pieniądze i zapłacić za niego rachunek, ale nigdy za niego nie wyjdzie. Wczoraj się pokłócili. Tym niemniej sędzę, że mogła zapłacić za niego rachunek. Robiła to już nie raz.

— Myślałem, że on co miesiąc dostaje czek od ojca z Toronto. Widocznie za mało.

Henry Clarendon IV obdarzył mnie drwiącym uśmiechem.

— Mój drogi, Mitchell nie ma ojca w Toronto. Nie dostaje żadnych czeków. Żyje z kobiet. I dlatego mieszka w takim hotelu jak ten. W luksusowym hotelu zawsze znajduje się jakaś bogata, samotna kobieta. Nie musi być piękna ani bardzo młoda, ale może posiadać inne zalety. Poza sezonem, to znaczy po zakończeniu gonitwy w Del Mar aż do połowy stycznia, połów w Esmeralda bywa bardzo marny. Wtedy Mitchell wybiera się w podróż na Majorkę czy do Szwajcarii, jeżeli go stać, albo, jeżeli dysponuje skromniejszymi funduszami, na Florydę czy którąś z Wysp Karaibskich. W tym roku szczęście mu nie dopisało. Z tego, co wiem, dotarł tylko do Waszyngtonu.

Zerknął na mnie. Przybrałem pełen uprzejmości wyraz twarzy, jak przystało na sympatycznego i w porównaniu z nim młodego faceta, zachowującego się grzecznie wobec starszego gentlemana, który lubi dużo mówić.

— No tak — stwierdziłem. — Być może zapłaciła za niego. Ale dlaczego za cały tydzień z góry?

Przełożył dłonie na lasce, przesunął laskę do przodu i zmienił stosownie pozycję ciała. Wpatrywał się w deseń dywanu. W końcu kłapnął zębami. Rozwiązał problem. Znowu się wyprostował.

— To była opłata kompensacyjna za zerwanie stosunków — orzekł sucho. — Ostateczny i nieodwołalny koniec romansu. Pani West miała go już dość. Poza tym Mitchell pojawił się wczoraj w towarzystwie nowej dziewczyny o ciemnorudych włosach. Takich kasztanowych, ale nie ogniście czy truskawkowo czerwonych. O ile mogłem zauważyć, ich wzajemny stosunek wyglądał nieco dziwnie. Byli oboje jacyś spięci.

— Czy Mitchell mógłby szantażować kobietę?

Zachichotał.

— On potrafiłby szantażować nawet niemowlę w kołysce. Człowiek, który żyje z kobiet, zawsze je szantażuje, chociaż nigdy nie pada słowo szantaż. Okrada je także, jeżeli dostanie do ręki ich pieniądze. Sfałszował dwa чеки na



nazwisko Margo West. To właśnie stało się powodem zerwania. Ona z pewnością ma te czeki. Ale ich nie użyje. Po prostu je sobie zatrzyma.

— Wybacz pan, panie Clarendon, ale skąd pan to wszystko wie?

— Sama mi powiedziała. Wypłakiwała się na moim ramieniu. — Spojrzał w kierunku szykownej ciemnowłosej damy. — Teraz w jej wyglądzie nic na to nie wskazuje. Ale mówię prawdę.

— A dlaczego mówi pan o tym?

Wykrzywił twarz w dość upiornym uśmiechu.

— Jestem mało delikatny. Sam chciałbym poślubić Margo West. To zmieniłoby utarty porządek. Mężczyźni w moim wieku potrafią cieszyć się różnymi drobiazgami. Kolibrem, patrzeniem, jak otwierają się pąki strelcji. Dlaczego na pewnym etapie jej rozwoju pączki rozwierają się pod kątem prostym? Dlaczego pączek dzieli się tak systematycznie i dlaczego kwiaty zawsze pojawiają się w określonym porządku w ten sposób, że ostry, zamknięty koniec pączka przypomina ptasi dziób, a niebieskie i pomarańczowe płatki układają się w kształt rajskiego ptaka? Jakże przedziwne musiało być bóstwo, które stworzyło tak skomplikowany świat, skoro mogłoby stworzyć go o wiele prostszym? Czy rzeczywiście jest wszechmocny? Jak to możliwe? Jest tyle cierpienia na świecie i prawie zawsze cierpią niewinni. Dlaczego królicza matka dopadnięta w norze przez fretkę zasłania dzieci własnym ciałem i daje sobie rozerwać gardło? Dlaczego? Za dwa tygodnie nawet by ich nie poznała. Czy pan wierzy w Boga, młody człowieku?

Podróż odbywała się drogą okrężną, ale nie było sposobu, żeby tego uniknąć.

— Jeżeli ma pan na myśli wszechwiedzącego i wszechmocnego Boga, który rozmyślnie ułożył wszystko dokładnie tak, jak jest, to nie wierzę.

— Ale powinien pan wierzyć, panie Marlowe. To wielka wygoda. Wszyscy do tego w końcu dochodzimy, ponieważ wszyscy musimy umrzeć i w proch się obrócić. Może człowiek na tym się kończy, a może jeszcze nie. Życie pośmiertne stwarza poważne problemy. Nie podobałoby mi się niebo, w którym musiałbym dzielić mieszkanie z kongijskim Pigmejem, z chińskim kulisem, lewantyńskim komiwojazerem czy nawet hoollywoodzkim producentem. Uważam się za snoba i to określenie nie jest w dobrym tonie. Trudno mi także wyobrazić sobie niebo, któremu prezyduje dobroduszny staruszek z długą siwą brodą, znany miejscowym jako Bóg. To głupie wyobrażenia niedojrzałych umysłów. Ale nie wolno kwestionować ludzkich przekonań religijnych, choćby były nie wiem jak idiotyczne. Oczywiście nie mam żadnych podstaw, by przypuszczać, że pójde akurat do nieba. W gruncie rzeczy brzmi to raczej

nieciekawie. Z drugiej jednak strony jakże mogę wyobrazić sobie piekło, w którym dziecko zmarłe przed chrztem cierpi tak samo jak najemny morderca czy komendant hitlerowskiego obozu śmierci. Jakie to dziwne, że najbardziej chwalebne ludzkie dążenia — chociaż człowiek to takie małe, paskudne stworzenie — a także jego najdoskonalsze czyny, wielki heroizm i odwaga, którą wykazuje codziennie na tym najokrutniejszym ze światów, a więc jakie to dziwne, że to wszystko jest o tyle wspanialsze niż los człowieka tu na ziemi.

To trzeba jakoś pojąć. Niech mi pan nie mówi, że honor to tylko chemiczna reakcja albo, że człowiek, który rozmyślnie oddaje życie za innego człowieka, postępuje jedynie zgodnie z obowiązującymi wzorami zachowań. Czy Bóg jest zadowolony z tego, że za słupem ogłoszeniowym samotnie zdycha w konwulsjach otruty przez kogoś kot? Czy Bóg jest zadowolony z tego, że życie jest okrutne i że tylko najsilniejsi potrafią przetrwać? Najsilniejsi w czym? O nie, na pewno nie jest zadowolony. Gdyby Bóg był wszechmocny i wszechwiedzący w sensie dosłownym, to w ogóle nie zawracałby sobie głowy tworzeniem świata. Nie należy mówić o sukcesie tam, gdzie nie zachodzi możliwość porażki, nie ma sztuki bez oporu materii. Czy bluźnierstwem jest przypuszczenie, że Bóg ma po prostu swoje złe dni, kiedy nic nie wychodzi mu jak należy i że dni Boga bywają bardzo długie?

— Jest pan mądrym człowiekiem, panie Clarendon. Wspominał pan coś o odwracaniu porządku.

Uśmiechnął się blado.

— Myślał pan, że zgubiłem się w przydługiej księdze własnych słów. Nie, sir, nie zgubiłem się. Kobiety typu pani West zawsze w końcu wychodzą za pseudo elegantów, łowców majątków, którzy świetnie tańczą tango i noszą zabójcze baki, za instruktorów narciarskich — o pięknej muskulaturze, za wyblakłych francuskich czy włoskich arystokratów czy za nędzne księżątka z Bliskiego Wschodu, a jeden gorszy od drugiego. W skrajnych przypadkach mogą nawet wyjść za takiego faceta jak Mitchell. Gdyby wyszła za mnie, miałaby za męża starego nudziarza, to prawda, ale przynajmniej gentlemana.

— Taak.

Zachichotał.

— Ta monosylaba wyrażała przesyt osobą Henry'ego Clarendona IV. Nie mam do pana żalu. No dobrze, panie Marlowe. Dlaczego zatem interesuje się pan Mitchellem? Chyba, że nie może mi pan odpowiedzieć.

— Rzeczywiście nie mogę, sir. Chciałbym wiedzieć, dlaczego wyjechał tak szybko, kto zapłacił za niego rachunek i dlaczego, jeżeli zapłaciła za niego pani

West czy, powiedzmy, jakiś inny nadziany przyjaciel, jak na przykład Clark Brandon, dlaczego konieczne było zapłacenie aż za tydzień z góry.

Uniósł do góry cienkie, wytarte brwi.

— Brandon mógł bez trudu poręczyć za Mitchella. Wystarczył jego telefon. Pani West być może wolała dać mu pieniądze, żeby sam zapłacił ten rachunek. Ale za tydzień z góry? Dlaczego nasz Javonen powiedział panu o tym? Jak pan to rozumie?

— Rozumiem to w ten sposób, że hotel nie chce ujawnić czegoś na temat Mitchella. Jest to coś, co mogłoby wywołać niepożądany dla nich rozgłos.

— Na przykład co?

— Na przykład samobójstwo lub morderstwo. Zauważył pan zapewne, że prawie nigdy nie wymienia się nazwy wielkich hoteli, kiedy ktoś z gości wyskoczy przez okno. A zawsze dzieje się to w hotelach gdzieś w centrum miasta albo w jakichś znanych i ekskluzywnych. I w hallu hotelu wysokiej klasy nigdy nie zobaczy pan glin, niezależnie od tego, co zdarzyło się na górze.

Jego spojrzenie powędrowało w bok. Podążyłem za nim. Towarzystwo grające w kanastę rozchodziło się. Wyelegantowana i obwieszona biżuterią dama o nazwisku Margo West przeszła do baru w towarzystwie jednego z mężczyzn. Jej cygarniczka sterczała niczym bukszpryt.

— No więc?

— Więc jeżeli Mitchell — ciągnąłem dalej myśląc intensywnie — zajmuje zawsze ten sam pokój...

— Czterysta osiemnaście — wtrącił ze spokojem Clarendon — z widokiem na morze. Czternaście dolarów poza sezonem, osiemnaście w sezonie.

— Niezbyt tanio dla faceta, który robi bokami. No, ale powiedzmy, że ma na tyle. No więc, cokolwiek się zdarzyło, Mitchell po prostu wyjechał na kilka dni. Wyprowadził samochód i załadował bagaże około siódmej rano. Dość dziwna to pora, zważywszy, że poprzedniej nocy był pijany w sztok.

Clarendon odchylił się na fotelu i opuścił dłonie. Widać było, że jest już zmęczony.

— Jeżeli rzeczywiście tak było, to czy nie lepiej dla personelu hotelowego zostawić pana w przekonaniu, że wyjechał na dobre? Musiałby go pan wtedy szukać gdzie indziej. Oczywiście, jeżeli pan go naprawdę szuka.

Napotkałem jego wyblakły wzrok. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Panie Marlowe, pańska opowieść nie brzmi przekonująco. Ja mówię dużo, ale nie tylko po to, żeby słuchać dźwięku własnego głosu. Zresztą i tak nie słyszę go w naturalnym brzmieniu. Mówienie stanowi dla mnie okazję do

obserwowania ludzi w taki sposób, żeby nie wydawać się przy tym niegrzecznym. Przyglądałem się panu. Moja intuicja, jeżeli intuicja jest tu właściwym słowem, podpowiada mi, że pańskie zainteresowanie Mitchellem jest raczej wtórne. Gdyby było inaczej, nie mówiłby pan o tym tak otwarcie.

— Tak. Być może — odparłem.

W tym miejscu znacznie stosowniej zabrzmiałby akapit przejrzystej prozy. Henry Clarendon IV wysłuchałby chętnie. Ale ja nie miałem już nic do powiedzenia.

— Niech pan już idzie — powiedział. — Jestem zmęczony. Pójdę na górę i położę się na chwilę. Było mi miło pan poznać, panie Marlowe. — Podniósł się z wolna i wyprostował przy pomocy laski. Kosztowało go to sporo wysiłku. Wstałem również.

— Nigdy nie podaję ręki — wyjaśnił. — Mam brzydkie i obolałe ręce. Dlatego noszę rękawiczki. Dobranoc. Życzę powodzenia, gdybyśmy się już nie spotkali.

Oddalił się krocząc powoli, z głową podniesioną do góry. Chodzenie najwyraźniej nie sprawiało mu przyjemności. Dwa stopnie wiodące z głównego hallu pod łukowate sklepienie pokonywał na dwa tempa, z długą przerwą w środku. Zawsze stawiał najpierw prawą stopę. Laska ugiwała się ciężko przy lewej. Przeszedł pod łukowatym sklepieniem. Patrzyłem, jak posuwał się w kierunku wind. Stwierdziłem, że pan Henry Clarendon IV to okaz całkiem sympatyczny.

Ruszyłem do baru. Pani Margo West siedziała w bursztynowym świetle w towarzystwie jednego z graczy w kanastę. Kelner właśnie stawiał przed nimi drinki. Nie poświęciłem im zbyt wiele uwagi, ponieważ w głębi, w niewielkiej łoży przy ścianie, zauważyłem osobę, którą znałem znacznie lepiej. Siedziała samotnie.

Ubrana była tak samo, z tym, że zdjęła opaskę z włosów, rozpuszczając je swobodnie.

Usiadłem. Gdy pojawił się kelner, zamówiłem drinka. Z niewidocznego adapteru płynęła cicha i przyjemna muzyka.

Uśmiechnęła się lekko.

— Przepraszam za tamtą scenę — powiedziała. — Zachowałam się bardzo niegrzecznie.

— Nie mówmy o tym. Należało mi się.

— Szukałeś mnie tutaj?

— Nie bardzo.

— Czy byłeś... Ach, zapomniałam! — Sięgnęła po torebkę i położyła ją na kolanach. Grzebała w niej przez chwilę, po czym przykryła dłonią i przesunęła do mnie po stoliku coś niewielkiego, nie dość jednak małego, bym nie zauważył, że była to książeczka czekowa. — Obiecałam, że ci oddam.

— Nie.

— Weź, głupcze! Nie chcę, żeby kelner widział.

Wziąłem książeczkę i wsunąłem do kieszeni. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem mały bloczek z pokwitowaniami. „Otrzymałem od panny Betty Mayfield, Hotel Casa del Poniente, Esmeralda, Kalifornia, sumę 5000 dolarów w czekach podróżnych American Express Company, w nominałach po 100 dolarów, podpisanych przez właścicielkę, pozostających jej własnością i podlegających zwrotowi na każde jej żądanie do czasu ustalenia wysokości honorarium oraz przyjęcia zlecenia przez niżej podpisanego”.

Podpisałem ten bełkot i podsunąłem w jej stronę.

— Przeczytaj i podpisz w dowolnym lewym rogu.

Wzięła pokwitowanie i przybliżyła do światła.

— Ależ ty mnie męczysz — jęknęła. — O co ci chodzi?

— O to, że jestem uczciwy, i o to, żebyś była o tym przekonana.

Podałem jej pióro, podpisała i zwróciła mi wszystko. Wyrwałem oryginał z bloczka i wręczyłem jej. Bloczek schowałem.

Przyszedł kelner i postawił przede mną drinka. Nie czekał, aż zapłacę. Betty odprawiła go ruchem głowy. Kelner oddalił się.

— Dlaczego nie pytasz, czy znalazłem Larry'ego?

— Aha! Czy znalazł pan Larry'ego, panie Marlowe?

— Nie. Opuścił hotel. Miał pokój na czwartym piętrze po tej samej stronie co ty. Chyba nawet dokładnie pod twoim balkonem. Zabrał się swoim Buickiem z dziewięcioma sztukami bagażu. Hotelowy kapuś, który nazywa się Javonen i mówi, że jest zastępcą dyrektora oraz szefem do spraw bezpieczeństwa, twierdzi, że Mitchell zapłacił za pokój, i to za tydzień z góry. I niczym się nie przejmuje. Oczywiście, nie przypadłem mu do gustu.

— A komu przypadłeś?

— Tobie. Za pięć tysięcy dolarów.

— Ty naprawdę jesteś nienormalny. Myślisz, że Mitchell wróci?

— Mówiłem przecież, że opłacił za tydzień z góry.

Spokojnie popijała swojego drinka.

— Może mówiłeś. Ale to niekoniecznie znaczy, że wróci.

— Jasne, że niekoniecznie. Mógłbym na przykład powiedzieć, że to nie on zapłacił, ale że zapłacił za niego ktoś inny. I że ten ktoś chciał zyskać na czasie, na przykład żeby pozbyć się wczoraj tych zwłok z twojego balkonu. Oczywiście, jeżeli były tam w ogóle jakieś zwłoki.

— Och, przestań już!

Dopiła drinka, zdusiła papierosa, wstała i zostawiła mnie z czekiem. Zapłaciłem i nie wiedzieć czemu, być może wiedziony instynktem, ruszyłem do wyjścia przez hall, gdzie zauważyłem Goble'a, który właśnie wchodził do windy. Na jego twarzy malował się wyraz napięcia. Odwracając się napotkał mój wzrok albo tak mi się wydawało, bo nie dał po sobie poznać, że mnie zna. Winda ruszyła w górę.

Wyszedłem na dwór, wsiadłem do samochodu i pojechałem z powrotem do Rancho Descansado. Położyłem się na tapczanie i zasnąłem. Dzień był długi. Pomyślałem, że jeżeli odpocznę, a umysł mi się przejaśni, uda mi się przynajmniej z grubsza pojąć, co tu robię.

## 18

Godzinę później parkowałem przed sklepem żelaznym. Nie był to jedyny sklep żelazny w Esmeralda, ale tylko ten miał z tyłu uliczkę zwaną Polton's Lane. Udałem się na wschód, licząc po drodze mijane sklepy. Do rogu było ich siedem, wszystkie lśniły szkłem, aluminium i chromem. Na wystawach narożnego sklepu z odzieżą stały manekiny, leżały szaliki, rękawiczki i biżuteria. Cen nie było. Obszedłem róg i skręciłem na południe. Prosto z chodnika wyrastały ociążałe eukaliptusy. Nisko zwieszały gałęzie, a ich pnie wyglądały topornie i twardo, zupełnie inaczej niż smukłe i kruche drzewa rosnące wokół Los Angeles. W głębi Polton's Lane znajdowała się jakaś agencja samochodowa. Idąc wzdłuż wysokiego nagiego muru, patrzyłem na połamane skrzynki, sterty tekturowych kartonów i inne rupiecie, zaśmiecone zatoki do parkowania, elegancja od zaplecza. Liczyłem budynki. Trafiłem bez trudu, nie musiałem pytać. W okienku małego domku, który dawno temu stanowił czyjeś skromne mieszkanie, paliło się światło. Domek miał drewnianą werandę ze złamaną poręczą. Nosił ślady malowania, ale to było na długo przed tym, zanim pochłonęły go sklepy. Mógł nawet mieć kiedyś ogródek. Gonty na dachu powypaczały się. Drzwi frontowe były pomalowane na musztardowo, a okno, szczelnie zamknięte, prosiło się o mycie. Przesłaniała je częściowo resztką starej rolety. Na werandę wchodziło się kiedyś po dwóch stopniach, z których został

teraz jeden. Za domem, w połowie drogi do rampy na tyłach sklepu żelaznego, stało coś, co kiedyś służyło zapewne za wygodkę. Zauważyłem jednak rurę wodociągową, wychodzącą z pochylonej ściany. Majętny właściciel wprowadzał, jak widać, ulepszenia w swej posesji. Pojedynczy okaz slumsów.

Przestąpiłem otwór pozostały po brakującym stopniu i zapukałem do drzwi. Dzwonka nie było. Nikt nie odpowiadał. Chwyciłem za klamkę. Drzwi nie zamknięto. Wszedłem do środka. Miałem przeczucie, że spotka mnie tu coś nieprzyjemnego.

W sfatygowanej, wykrzywionej lampie z podartym abażurem paliła się żarówka. W pomieszczeniu znajdowała się kanapa przykryta brudnym kocem, stare krzesło trzcinowe, bujany fotel i stół przykryty zatłuszczoną ceratą. Na stole, obok filiżanki do kawy, leżała otwarta gazeta „El Diario” w języku hiszpańskim, stał też spodek z niedopałkami, brudny talerz i małe radio, z którego płynęła muzyka. Właśnie muzyka urwała się i jakiś mężczyzna zaczął nadawać tekst reklamowy po hiszpańsku. Wyłączyłem radio. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Potem spoza uchylonych drzwi dobiegło tykanie budzika. Następnie zadzwonił jakiś łańcuszek i chrapliwy głos zapytał szybko:

— Quien es? Quien es? Quien es? — Potem rozległ się wściekły małpi jazgot. I znowu cisza.

Z wielkiej klatki wiszącej w rogu pokoju patrzyło na mnie gniewnie okrągłe oko papugi. Wysunęła się na swoim drążku najdalej jak mogła.

— Amigo — zagadnąłem.

Papuga wydała z siebie zgrzyt przypominający śmiech szaleńca.

— Licz się ze słowami, przyjacielu — odparłem.

Papuga przepełzła na drugi koniec drążka, zanurzyła dziób w białym kubku, po czym ze wstrętem strząsnęła z dzioba kawałek pożywienia. W drugim pojemniku była woda, grząska od karmy.

— Założę się, że nie potrafisz się nawet załatwić, gdzie trzeba — powiedziałem.

Papuga popatrzyła na mnie i przestąpiła z nogi na nogę. Odwróciła głowę i spojrzała drugim okiem. Potem nachyliła się do przodu, nastroszyła pióra w ogonie i dała dowód, że mam rację.

— Necio! — wrzasnęła. — Fuera!

Z nieszczelnego kranu kapła woda. Budzik tykał dalej. Papuga głośno naśladowała tykanie.

— Piękna Polly — powiedziałem.

— Hijo de la chingada — odparła papuga.

Posłałem jej krzywy uśmiech i pchnąłem niedomknięte drzwi, prowadzące do pomieszczenia, które służyło prawdopodobnie za kuchnię. Pod zlewem leżało linoleum zdarte prawie do gołej podłogi. Była tam zardzewiała, trzypalnikowa gazowa kuchenka, nad nią wisiała półka, a na niej kilka naczyń i budzik. W rogu na podstawce stała poobijana terma na gorącą wodę, typ antyczny, który ma zwyczaj wybuchać z powodu braku wentyla bezpieczeństwa. W głębi dostrzegłem wąskie zamknięte drzwi, z kluczem tkwiącym w zamku, wiodące na tyły domostwa, oraz pojedyncze okno, także zamknięte. Z popękanego i poznaczonego zaciekami sufitu zwisała słaba żarówka. Za plecami słyszałem wiercenie się papugi i jej znudzony skrzek.

Na cynkowym blacie obok zlewu leżał kawałek czarnej gumowej rurki i strzykawka z wciśniętym tłokiem. W zlewie spoczywały trzy puste szklane fiołki, a przy nich korki. Widywałem już takie fiołki.

Otworzyłem wąskie drzwi i znalazłem się na dworze. Ruszyłem w stronę walącego się ustępu. Jego dach był o jakieś pół metra wyższy z przodu niż z tyłu. Drzwi otwierały się na zewnątrz, bo w środku nie starczyłoby na nie miejsca. Były zamknięte, ale miały stary zamek. Nie stawał dużego oporu.

Nogi mężczyzny wisiały tuż nad ziemią. Głowa ginęła w mroku pod dachem, kilka centymetrów od belek, dwa na cztery, podtrzymujących sufit. Wisiał na czarnym drucie, prawdopodobnie był to kawałek przewodu elektrycznego. Palce jego nóg skierowane były do dołu, jakby starały się dotknąć podłogi. Wytarte mankiety wypłowiałych spodni zakrywały pięty. Dotknąłem go, by upewnić się, że jest już na tyle zimny, iż nie ma sensu go odcinać.

Postarał się, żeby nie było co do tego żadnych wątpliwości. Najpierw stanął przy zlewie w kuchni i zawiązał gumową rurkę wokół ramienia, zacisnął pięść, żeby wystąpiły żyły, potem wprowadził sobie w krwiobieg całą strzykawkę morfiny. Ponieważ wszystkie trzy fiołki były puste, nietrudno się domyślić, że przynajmniej jedna musiała być pełna. Nie obawiał się, że wstrzyknie sobie za mało. Potem odłożył strzykawkę, rozluźnił gumę. Przy wstrzyknięciu prosto do krwi to nie trwa długo. Wyszedł do ustępu, stanął na sedesie i zawiązał sobie węzeł na szyi. Już wtedy powinien czuć oszołomienie. Mógł stać przez chwilę, czekając, aż ugną się pod nim kolana, a resztę załatwił ciężar ciała. A wtedy nie czuł już nic. Spał.

Zamknąłem drzwi. Nie wstępowałem już do domku. Kiedy przechodziłem pod ścianą, kierując się w stronę eleganckiej, zamożnej uliczki zwanej Polton's Lane, usłyszała mnie chyba papuga, bo zaskrzeczała: — Quien es? Quien es? Quien es?



Kto? Nikt, siostrzyczko. To tylko ktoś potknął się w ciemności.  
Oddaliłem się cicho wolnym krokiem.

## 19

Szedłem w ciszy przed siebie, bez określonego celu, ale wiedziałem, gdzie w końcu dotrę. Zawsze tam kończyłem. W Casa del Poniente. Wsiadłem do samochodu na Grand Street, przez jakiś czas krążyłem ulicami, po czym zaparkowałem, jak zwykle, w zatoczce nieopodal wejścia do baru. Wysiadłszy, spojrzałem na samochód stojący obok mojego. Był to brudny gruchot Goble'a. Przyczepił się jak plaster.

Kiedy indziej zachodziłbym w głowę, o co mu chodzi, ale teraz miałem większe zmartwienie. Trzeba było iść na policję i donieść o wisielcu. Nie miałem pojęcia, co im powiedzieć. Dlaczego poszedłem do tego domu? Ponieważ, jeżeli nie kłamał, widział, jak Mitchell wyjeżdżał z samego rana. A dlaczego to było takie ważne? Ponieważ szukałem Mitchella. Chciałem sobie z nim szczerze porozmawiać. O czym? No i od tego miejsca nie potrafiłem już dać żadnej odpowiedzi, która nie prowadziłaby do Betty Mayfield: kim była, skąd przyjechała, dlaczego zmieniła nazwisko, co takiego zdarzyło się w Waszyngtonie, Wirginii czy gdziekolwiek bądź, że musiała uciekać.

W kieszeni miałem pięć tysięcy dolarów w czekach, które od niej dostałem, chociaż formalnie nie była moją klientką. Zaplątałem się, chociaż byłem w porządku.

Poszedłem na skraj urwiska i wsłuchiwałem się w odgłosy przyływu. Nie było widać nic prócz drobnych lśnień fali łamiącej się przed zatoką. W zatoce fale nie załamują się, lecz suną grzecznie jak subiekci. Później wyjdzie zapewne jasny księżyc, ale jeszcze się nie zameldował.

W pewnej odległości ode mnie ktoś stał, zajmując się tym samym co ja. Kobieta. Czekałem, aż się poruszy. Kiedy się poruszy, powinienem wiedzieć, czy ją znam, czy nie. Nie ma dwóch osób, które poruszałyby się tak samo, podobnie jak nie ma dwóch takich samych zestawów odcisków palców.

Zapaliłem papierosa oświetlając sobie twarz płomieniem zapalniczki i kobieta znalazła się tuż przy mnie.

— Może przestałbyś wreszcie włączyć się za mną?

— Jesteś moją klientką. Próbuję cię chronić. A dlaczego, to dowiem się może na swoje siedemdziesiąte urodziny.

— Nie prosiłam cię, żebyś mnie chronił. Nie jestem też twoją klientką. Dlaczego nie idziesz do domu, jeżeli w ogóle masz jakiś dom, tylko drażnisz ludzi?

— Jesteś moją klientką, i to za pięć tysięcy dolarów. Za tę cenę muszę coś robić, choćby miało to być tylko zapuszczanie wąsów.

— Ależ nieznośny facet z ciebie! Dałam ci pieniądze, żebyś mnie zostawił w spokoju. Absolutnie nie do wytrzymania. Jeden z najnieznośniejszych, jakich znam. A spotkałam już różne okazy.

— A co z tym ekskluzywnym apartamentem w Rio, gdzie miałem się wylegiwać w jedwabnej piżamie i bawić się twoimi lubieżnie długimi włosami, podczas gdy lokaj miał rozstawiać porcelanę i srebra, i z właściwym sobie nieszczerym uśmiezkiem poruszać się bezszelestnie jak fryzjer—pedał, pływający wokół gwiazdy filmowej?

— Och, zamknij się.

— A więc to nie była poważna propozycja? Taki przelotny kaprys albo nawet nie kaprys, a drobny chwyt, żebym skrócił sobie godziny snu i podreptał na poszukiwanie zwłok, których nie było?

— Dostałeś już kiedyś po buzi?

— Często dostaję, ale czasem udaje mi się zrobić unik.

Objąłem ją. Próbowwała się wyrwać, ale bez użycia paznokci. Pocałowałem ją w głowę. Przywarła do mnie nagle i podniosła oczy.

— Dobra. Możesz mnie pocałować, jeżeli ci to sprawia przyjemność. Na pewno żałujesz, że nie ma tu gdzieś w pobliżu łóżka.

— Jestem człowiekiem.

— Nie oszukuj się. Jesteś nędznym, tanim detektywem. Pocałuj mnie.

Pocałowałem ją. Zanim odsunąłem usta od jej warg, powiedziałem: — Powiesił się dziś wieczorem.

Odskoczyła gwałtownie.

— Kto? — zapytała, z trudem wydobywając głos z krtani.

— Tutejszy garażowy. Ty go chyba nie widziałaś. Lubił meskalinę i marihuanę. A dzisiaj naszprycował się morfiną i powiesił w ustępie za swoją budą na Polton's Lane. To taka uliczka na tyłach Grand Street.

Drżąc, oparła się na mnie, jakby bała się, że upadnie. Chciała coś powiedzieć, ale zdołała tylko wydobyć z siebie chrapliwy charkot.

— To on mi powiedział, że widział, jak Mitchell wyjeżdżał dziś z samego rana z dziewięcioma walizkami. Nie byłem pewien, czy mam mu wierzyć, czy nie. Powiedział, gdzie mieszka i pojechałem tam wieczorem, żeby jeszcze z nim

pogadać. A teraz muszę iść na posterunek i powiedzieć o tym glinom. I co ja im mogę powiedzieć nie wspominając o Mitchellu, a potem o tobie?

— Proszę cię, proszę, bardzo cię proszę, nie mieszaj mnie do tego — wyszeptała. — Dam ci więcej pieniędzy. Dam ci, ile chcesz.

— Na miłość boską! I tak dałaś mi już więcej, niż mogę zatrzymać. Przecież nie idzie mi o forszę, tylko o to, żebym wreszcie pojął, do cholery, co robię i dlaczego. Słyszałaś chyba o etyce zawodowej. Ja wciąż jeszcze posiadam śladowe resztki tego poczucia. Jesteś moją klientką czy nie?

— Tak. Poddaję się. W końcu wszyscy muszą się tobie poddać, prawda?

— Bynajmniej. Nader często się mną wysługują.

Wyciągnąłem z kieszeni książeczkę czekową, poświeciłem latarką i wydarłem pięć czeków. Zamknąłem książeczkę i wręczyłem dziewczynie.

— Zatrzymuję pięćset dolarów. Teraz wszystko odbywa się zgodnie z prawem. I powiedz mi teraz, co tu jest grane?

— Nie. Nikomu nie musisz mówić o tym człowieku.

— Muszę. Muszę iść na posterunek i to zaraz. I nie mam dla nich żadnej wersji, której nie potrafiliby rozszyfrować w ciągu trzech minut. Masz tu swoje pieprzone czeki. A jeżeli jeszcze kiedykolwiek spróbujesz mi je wcisnąć, to ci przyłożę na goły tyłek.

Chwyliła książeczkę i rzuciła się w ciemność, do hotelu. Zostałem sam i czułem się jak jakiś cholerny głupek. Nie wiem, jak długo tak stałem, ale w końcu wepchnąłem tych pięć czeków do kieszeni, zmęczonym krokiem wróciłem do samochodu i udałem się tam, gdzie musiałem się udać.

## 20

Pewien człowiek w podeszłym wieku, który nazywał się Fred Pope i prowadził mały motel, podzielił się kiedyś ze mną swoimi spostrzeżeniami na temat Esmeralda. Był gadatliwy, a ze słuchania zawsze mogą wypłynąć pewne korzyści. Nawet ludzie, po których trudno by się czegośkolwiek spodziewać, potrafią wtrącić jakiś drobiazg, który w mojej pracy może znaczyć bardzo wiele.

— Jestem już tutaj od trzydziestu lat — mówił. — Zanim tu przyjechałem, miałem suchą astmę. Teraz mam mokrą. Pamiętam czasy, kiedy to miasto było tak spokojne, że na środku bulwaru spały psy i trzeba było zatrzymywać samochód, jeżeli miało się takowy, wysiadać i spychać je z drogi. A te sukinsyny tylko złośliwie szczerzyły zęby. W niedzielę człowiek czuł się tak, jakby go już pogrzebali. Wszystko na głucho pozamykane jak podziemia banku.

Na całej Grand Street można było zażyć tyle rozrywki co nieboszczyk w kostnicy. Nie kupiłeś nawet paczki papierosów. Panowała taka cisza, że było słychać, jak myszy czyszczą wąsy. Razem z moją starą — nie żyje już od piętnastu lat — grywaliśmy w cribbage w jednym takim lokaliku przy końcu ulicy, która biegnie wzdłuż wybrzeża, i nasłuchiwaaliśmy, czy nie zdarzy się coś ciekawego — na przykład, czy wyjdzie na spacer postukując laską jakiś stary kulas. Nie wiem, czy Hellwigowie chcieli, żeby tak to wyglądało, czy też może stary Hellwig ustawił tak wszystko na złość. Wtedy tu nie mieszkał. To była wielka szucha w branży narzędzi rolniczych.

— Myślę, że był na tyle cwany — zasugerowałem — żeby wiedzieć, że takie miejsce jak Esmeralda stanie się z czasem niezłą inwestycją.

— Być może — zgodził się Fred Pope. — W każdym razie to on właściwie stworzył to miasto. Po jakimś czasie przeniósł się tutaj i zamieszkał na wzgórzu, w jednym z tych wielkich domów krytych dachówką. Pełen luksus. Tarasowe ogrody, rozległe zielone trawniki, kwitnące krzewy i bramy z ozdobną kratą, podobno z Włoch, alejki wykładane polnym kamieniem prosto z Arizony, i to nie jeden ogród, a kilka. Posiadał dosyć ziemi, żeby sąsiedzi nie deptali mu po piętach. Wypijał kilka butelek whisky dziennie, powiadali, że był z niego twardy zawodnik. Miał jedną córkę, pannę Patrycję Hellwig. Piękna sztuka, i taką pozostała do dziś.

W tym czasie Esmeralda zaczęła się zaludniać. Z początku przyjeżdżały tu z mężczyznami same stare baby, i dzięki tym zmęczonym staruszkom, którzy tu umierali i tu byli grzebani przez swoje kochające wdowy, przedsiębiorstwo pogrzebowe świetnie prosperowało. Te cholerne baby są za bardzo długowieczne. Moja taka nie była.

Przerwał, obejrzał się, po czym ciągnął dalej:

— Chodził już wtedy tramwaj z San Diego, ale miasto ciągle było spokojne, za spokojne. Mało kto się tu rodził. Rodzenie dzieci uważano za działalność, która ma zbyt wiele wspólnego z seksem. Wszystko się zmieniło dopiero po wojnie. Teraz mamy tu facetów, którzy pracują w pocie czoła, do szkoły chodzą zdrowe dzieciaki w lewis'ach i brudnych koszulkach, są artyści i pijaczkowie z miejscowego klubu, sklepiki z pamiątkami, gdzie sprzedają whisky z wodą za osiem i pół dolara zamiast za ćwierć. Są restauracje i sklepy monopolowe, ale wciąż nie ma tablic reklamowych ani sal bilardowych, ani na parkingu kina. W zeszłym roku chcieli ustawić w parku lunetę na monety. Trzeba było słyszeć, jak się rozdarła rada miejska. Oczywiście projekt upadł, ale miasto przestało już być spokojną przystanią. Są tu sklepy nie gorsze niż w Beverly Hills. Panna Patrycja

całe życia pracowała jak pszczołka na rzecz Esmeralda. Hellwig umarł pięć lat temu. Lekarze mu zagrozili, że jeżeli nie ograniczy picia, to nie dożyje następnego roku. Przeklinał ich, ale powiedział, że skoro nie wolno mu się napić, kiedy ma ochotę, rano, wieczór czy w południe, to woli nie pić wcale. Przestał pić — i stuknął w kalendarz, nim minął rok.

Lekarze jakoś to nawet nazwali. Oni zawsze mają pod ręką jakąś nazwę. A panna Hellwig też ich chyba odpowiednio nazwała, bo wylecieli ze szpitala i musieli wyjechać z Esmeralda. Co zresztą nie miało większego znaczenia, bo i tak zostało tu około sześćdziesięciu innych. W mieście pełno jest Hellwigów, niektórzy mają inne nazwiska, ale wszyscy należą do tej samej rodziny. Niektórzy są bogaci, inni pracują. Panna Hellwig pracuje chyba najciężej ze wszystkich. Ma teraz osiemdziesiąt sześć lat, ale trzyma się twardo jak kamień. Nie zuje tytoniu, nie pije, nie pali, nie klnie ani się nie maluje. Dała miastu szpital, szkołę, bibliotekę, centrum sztuki, publiczny kort tenisowy i Bóg wie ile jeszcze. Od lat wozi się trzydziestoletnim Rolls Roycem, który chodzi ciszej niż szwajcarski zegarek. Burmistrz mieszka dwa kroki od Hellwigów. Jeśli się nie mylę, panna Hellwig zbudowała siedzibę rady miejskiej i sprzedała ją miastu za dolara. To nie byle jaka kobieta. Oczywiście teraz mamy tu także Żydów, ale coś panu powiem. Mówią, że Żyd to jest wredna sztuka, że potrafi zedrzeć z człowieka ostatnie spodnie, jeżeli się człowiek nie pilnuje. To bzdura. Żyd po prostu lubi handlować, lubi biznes, ale jest twardy tylko z wierzchu. W środku żydowski biznesmen jest przeważnie całkiem zwyczajny i przyjemny w kontaktach. Jest ludzki. A od obdzierania ze skóry z zimną krwią mamy tu w mieście sporą gromadkę, która potrafi zjeść człowieka z kośćmi i jeszcze policzy za usługę. Wyrwą ci ostatniego dolara i będą na ciebie patrzyli tak, jakbyś to ty im go ukradł.

## 21

Gliny zajmowały część długiego, modernistycznego budynku na rogu ulic Hellwig i Orcutt. Zaparkowałem i wszedłem do środka wciąż myśląc, jak mam im powiedzieć to, co powiedzieć im musiałem.

Dyżurka była niewielka, ale bardzo czysta. Oficer dyżurny siedzący przy biurku miał dwie, najwyżej trzy zmarszczki na koszuli, cały mundur wyglądał tak, jakby dziesięć minut temu wyjął go spod żelazka. Z wiszących na ścianie głośników dobiegały meldunki posterunków z całej okolicy i polecenia szeryfa.

Przekrzywiona plakietka na biurku informowała, że oficer dyżurny nazywa się Griddell. Patrzył na mnie tak, jak wszyscy oficerowie — wyczekująco.

— Czym możemy panu służyć, sir?

Głos miał spokojny, przyjemny, a spojrzenie zdyscyplinowane, właściwe najlepszym funkcjonariuszom policji.

— Chciałbym zameldować, że znalazłem ciało człowieka, który powiesił się w ruderze na tyłach sklepu żelaznego przy Grand Street, dokładnie przy uliczce zwanej Polton's Lane, w czymś w rodzaju ustępu. Ten człowiek nie żyje. Nie ma szans, żeby go uratować.

— Pańskie nazwisko? — Naciskał już odpowiednie guziki.

— Philip Marlowe. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles.

— Pamięta pan może numer domu?

— Nie zauważyłem żadnego widocznego numeru. Ale to jest tuż za Esmeralda Hardware Company.

— Wzywam pogotowie. Wezwanie pilne — rzucił do mikrofonu. — Prawdopodobnie samobójstwo w domku na tyłach Esmeralda Hardware Store. W ustępie za domem powiesił się mężczyzna.

Spojrzał na mnie.

— Czy zna pan nazwisko tego człowieka?

Przecząco pokręciłem głową. — Był garażowym w Casa del Poniente.

Przerzucił parę kartek w jakiejś książce.

— Znamy go. Notowany za marihuanę. Nie wiem, jak mu się udało utrzymać tę robotę. Teraz może się już nie trudzić. Nie ma tu zbyt wielu chętnych do tego rodzaju pracy.

Do biura wszedł wysoki sierżant o granitowej twarzy, obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i wycofał się. Ruszył jakiś samochód.

Oficer dyżurny nacisnął klawisz małego interkomu.

— Panie kapitanie, melduje się Griddell. Pan Philip Marlowe znalazł ciało mężczyzny na Polton's Lane. Karetka w drodze. Sierżant Green już też wyjechał. Mam w pobliżu dwa wozy patrolowe.

Przez chwilę słuchał, potem podniósł wzrok na mnie.

— Kapitan Alessandro chciałby z panem porozmawiać. Proszę pójść korytarzem, ostatnie drzwi na prawo.

Kiedy wychodziłem, znowu coś mówił do mikrofonu.

Na ostatnich drzwiach na prawo wisiały dwie plakietki z nazwiskami: Kapitan Alessandro na plakietce przybitej na stałe i Sierżant Green na wkładce wymiennej. Drzwi były uchylone, więc zapukałem i wszedłem.

Mężczyzna za biurkiem wyglądał równie nieskazitelnie jak oficer dyżurny. Oglądał przez szkło powiększające jakąś kartkę, a ze stojącego obok magnetofonu jakiś zmięty, nieszczęśliwy głos snuł ponurą opowieść. Kapitan miał około metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ciemne włosy, czystą, oliwkową cerę. Na blacie biurka leżała jego czapka mundurowa. Podniósł wzrok, wyłączył magnetofon, odłożył szkło powiększające i kartkę.

— Proszę usiąść, panie Marlowe.

Usiadłem. Przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu. Jego brązowe oczy patrzyły miękko, ale jego usta nie były miękkie.

— Przypuszczam, że zna pan majora Javonena z Casa?

— Poznałem go, panie kapitanie. Ale nie jesteśmy przyjaciółmi.

Uśmiechnął się z lekka.

— Trudno by się było tego spodziewać. Raczej nie przepada za prywatnymi detektywami, którzy zadają różne pytania w jego hotelu. Pracował kiedyś w kontrwywiadzie. Wciąż nazywamy go majorem. Esmeralda to jedno z najgrzeczniejszych miast, jakie znam. My także stanowimy tu cholernie grzeczną gromadkę, tym niemniej jesteśmy policjantami. No, a teraz przejdźmy do Ceferino Changa.

— Więc tak się nazywał. Nie wiedziałem.

— Tak. Jest nam znany. Czy mogę zapytać, co pan robi w Esmeralda?

— Zostałem wynajęty przez firmę adwokacką z Los Angeles, konkretnie przez mecenasa Clyde'a Umneya. Zlecono mi śledzenie pewnej osoby, która miała wysiąść z ekspresu Super Chief. Miałem ją śledzić do miejsca, w którym się zatrzyma. Nie poinformowano mnie, w jakim celu mam to robić, ale pan Umney twierdził, że działa z polecenia zespołu adwokackiego z Waszyngtonu i że sam nie zna szczegółów. Przyjąłem tę robotę, ponieważ samo śledzenie osób nie jest sprzeczne z prawem, jeżeli nie wchodzi się im w drogę. Osoba ta zatrzymała się w Esmeralda. Wróciłem do Los Angeles, usiłując dowiedzieć się dokładniej, o co chodzi. Nie udało mi się, więc wystawiłem rozsądny moim zdaniem rachunek na dwieście pięćdziesiąt dolarów, co pokryło moje koszty własne. Pan Umney nie był ze mnie zbyt zadowolony.

Kapitan pokiwał głową.

— To jeszcze nie tłumaczy pańskiej tu obecności ani pańskiego związku z Cefeido Chengiem. A skoro już pan nie pracuje dla mecenasa Umneya, to nie posiada pan uprawnień, chyba, że pracuje pan dla innej firmy.

— Pozwoli pan, że wyjaśnię, panie kapitanie. Zorientowałem się, że osoba, którą śledziłem, jest szantażowana, albo, inaczej mówiąc, że doszło do próby

szantażu ze strony człowieka nazwiskiem Mitchell, Larry Mitchell. Mieszka on lub mieszkał w Casa. Próbowałem się z nim skontaktować, ale jedyne informacje, jakie zebrałem na jego temat, pochodzą od Javonena i Ceferino Changa. Javonen powiedział mi, że Mitchell wymeldował się, zapłacił rachunek za swój pokój za tydzień z góry. Chang utrzymywał, że wyjechał dziś rano zabierając dziewięć sztuk bagażu. Chang zachowywał się jednak trochę dziwnie, więc chciałem z nim jeszcze pomówić.

— Skąd pan miał jego adres?

— Od niego. To był bardzo zgorzkniały człowiek. Powiedział, że mieszka na posesji jakiegoś bogacza i wydawało mi się, że ma do niego pretensję za stan swego mieszkania.

— To brzmi mało przekonująco, panie Marlowe.

— Zgadza się. Mnie się też tak zdawało. Był naćpany. Udawałem dostawcę. W moim zawodzie trzeba czasami trochę udawać. ,

— To już brzmi znacznie lepiej. Ale wciąż czegoś brakuje. Kto jest obecnie pańskim zleceniodawcą... jeżeli ma pan zleceniodawcę?

— Czy może pan to zatrzymać do swojej wyłączni wiadomości?

— To zależy. Nie ujawniamy nigdy nazwisk ofiar szantażu, najwyżej dopiero w sądzie. Ale jeżeli osoba ta popełniła lub jest podejrzana o popełnienie przestępstwa, lub przekroczyła granicę stanową w celu uniknięcia kary, wówczas jako przedstawiciel prawa mam obowiązek zameldować o jej aktualnym miejscu pobytu oraz podać nazwisko, jakiego używa.

— A więc już wiecie. Po co wobec tego te pytania. Nie wiem, dlaczego uciekła. Nie chce mi powiedzieć. Wiem tylko, że ma kłopoty, że jest przestraszona i że Mitchell w jakiś sposób dowiedział się o niej wystarczająco dużo, żeby się poddała.

Wykonał płynny gest ręką i wyłowił z szuflady papierosa. Włożył go pomiędzy grube wargi, ale nie zapalał.

Posłał mi kolejne spokojne spojrzenie.

— W porządku, Marlowe. Na razie wystarczy. Ale jeżeli się pan do czegoś dokopie, ma pan to tutaj przynieść.

Podniosłem się. On również wstał i wyciągnął rękę.

— Nie jesteśmy bezwzględni. Po prostu wykonujemy swoje obowiązki. Niech pan nie drażni zbyt wiele Javonena. Facet, który jest właścicielem tego hotelu, pociąga tu wiele sznurków.

— Dziękuję, kapitanie. Postaram się zachowywać grzecznie, nawet wobec Javonena.



Wyszedłem. Idąc korytarzem, zauważyłem, że przy biurku siedział ten sam oficer dyżurny. Skinął mi głową. Zanurzyłem się w mrok i wsiadłem do samochodu. Siedziałem zaciskając ręce na kierownicy. Nie byłem raczej przyzwyczajony do tego, żeby gliny traktowały mnie jak kogoś, kto miał prawo do życia. Nadal siedziałem w wozie, gdy oficer dyżurny wytknął głowę przez drzwi i zawołał, że kapitan Alessandro prosi mnie jeszcze do siebie.

Kiedy znowu znalazłem się w pokoju kapitana Alessandro, rozmawiał przez telefon. Ruchem głowy wskazał mi krzesło dla interesantów i słuchał dalej, robiąc szybkie notatki zwartym pismem w sposób właściwy wielu reporterom. Po chwili powiedział: — Bardzo dziękuję. Będziemy w kontakcie.

Odchylił się na krześle, zastukał palcami w blat biurka i zmarszczył brwi.

— Dostałem właśnie meldunek z posterunku w Escondido. Znalaziono wóz Mitchella. Najprawdopodobniej został porzucony. Pomyślałem, że może to pana zainteresować.

— Dziękuję panu, kapitanie. Gdzie to jest?

— Jakies trzydzieści kilometrów stąd, na polnej drodze, która prowadzi do Trasy 395, ale jest to droga rzadko używana. To miejsce nazywa się Los Penasquitos Canyon. Same kamienie i naga ziemia w wyschniętym korycie rzeki. Byłem tam kiedyś. Dzisiaj rano przejeżdżał tamtędy małą ciężarówką farmer nazwiskiem Gates, szukając kamieni do budowy muru. Minał dwukolorowego Buicka, zaparkowanego na poboczu drogi. Nie zwrócił na niego specjalnej uwagi, ale zauważył, że to nie wrak. Pomyślał, że ktoś go po prostu tam zaparkował. Trochę później, około czwartej, Gates jeszcze raz jechał tamtędy po kamienie, Buick ciągle stał. Tym razem zatrzymał się i przyjrzał mu się. W stacyjce nie było kluczyków, chociaż samochód nie był zamknięty. Nie dostrzegł żadnych śladów uszkodzeń. Na wszelki wypadek zapisał numer rejestracyjny oraz nazwisko i adres. Po powrocie na rancho zadzwonił na posterunek w Escondido. Zastępcy szeryfa znają oczywiście Los Penasquitos Canyon. Jeden z nich pojechał tam i obejrzał samochód. Był czysty jak łąza. Udało mu się otworzyć bagażnik. Znalazł tylko koło zapasowe i kilka sztuk narzędzi. Więc wrócił do Escondido i zadzwonił do nas. Właśnie z nim rozmawiałem.

Zapaliłem papierosa częstując kapitana Alessandro. Odmówił ruchem głowy.

— Domyśla się pan, o co chodzi, Marlowe?

— Nie bardziej niż pan.

— No, to proszę mówić.

— Gdyby Mitchell miał jakieś powody, żeby zniknąć, i gdyby miał przyjaciela, który mógłby go stąd zabrać — przyjaciela, o którym nic tu nikomu nie wiadomo — to zostawiłby raczej samochód w jakimś garażu. Uniknąłby w ten sposób wszelkich podejrzeń. Właściciel garażu też nie miałby powodów do podejrzeń. Po prostu przechowuje samochód. A walizki Mitchella znajdowałyby się w samochodzie przyjaciela.

— A więc?

— Więc żadnego przyjaciela nie było. I Mitchell rozpułnął się jak kamfora, razem z dziewięcioma sztukami bagażu, na pustej, prawie nieuczęszczanej drodze.

— Dalej, proszę dalej. — Jego głos brzmiał teraz twardo. Wyczułem w nim nutę rozdrażnienia. Podniosłem się.

— Niech pan mnie nie podpuszcza, kapitanie. Nie zrobiłem nic złego. Jestem czysty. Jak dotąd, zachowywał się pan po ludzku. Proszę nie myśleć, że mam coś wspólnego ze zniknięciem Mitchella. Nie wiedziałem i nadal nie wiem, jakiego haka miał na moją klientkę. Wiem tylko tyle, że jest to opuszczona, bezradna, zastraszona i nieszczęśliwa dziewczyna. Kiedy się dowiem, dlaczego, a nie wiem, czy się dowiem, to albo dam panu znać, albo nie. Jeżeli nie dam panu znać, to będzie pan musiał złożyć na mnie raport. A to dla mnie nie pierwszozna. Nie sprzedaję się nawet bardzo dobrym policjantom.

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, Marlowe. Miejmy nadzieję.

— Podzielam pańską nadzieję, kapitanie. I dziękuję panu za uprzejmość.

Wróciłem korytarzem, kiwnąłem oficerowi dyżurnemu i znowu usiadłem za kierownicą. Czułem się tak, jakby przybyło mi dwadzieścia lat.

Wiedziałem — i byłem absolutnie pewny, iż kapitan Alessandro wiedział również, że Mitchell nie żyje, że to nie on prowadził samochód do Los Penasquitos Canyon, ale ktoś, kto przywiózł go tam martwego na tylnym siedzeniu. Inaczej być nie mogło. Są fakty, które istnieją w sensie statystycznym, na papierze, na taśmie magnetofonowej, w materiale dowodowym. Ale są też i takie, które muszą być faktami, bo w przeciwnym razie nic nie miałoby sensu.

Przypomina to nagły krzyk w środku nocy, chociaż nie słyhać żadnego dźwięku. Dzieje się prawie zawsze nocą, ponieważ godziny ciemności są godzinami grozy. Ale zdarzało mi się także w biały dzień: dziwny moment

jasności, kiedy nagle zdaję sobie sprawę, że wiem coś, czego nie mam powodu wiedzieć. Chyba, że jest to skutek długich lat spędzonych w bezustannym napięciu albo tak jak w tym przypadku nagła pewność, że właśnie nadeszła chwila, którą toreadorzy nazywają „chwilą prawdy”.

Nie było żadnej innej przyczyny, żadnego uzasadnionego powodu. W każdym razie ustawiłem samochód po przeciwnej stronie drogi, naprzeciw wjazdu do Rancho Descansado, wyłączyłem światła i stacyjkę, potem zjechałem jakieś pięćdziesiąt metrów w dół i zaciągnąłem ręczny hamulec.

Ruszyłem w stronę recepcji. Nad nocnym dzwonkiem błyszczało słabe światełko, ale recepcja była zamknięta. Zbliżała się dziewiąta trzydzieści. Obszedłem budynek. Idąc między drzewami natknąłem się na dwa samochody. Jeden z nich był wynajęty z firmy Hertz i wyglądał anonimowo jak moneta w liczniku parkingowym. Nachyliłem się, żeby odczytać numery rejestracyjne. Obok niego stał mały, bury gruchot Goble'a. Jeszcze niedawno widziałem go przed Casa del Poniente. A teraz był tutaj.

Pod osłoną drzew dotarłem pod okna swojego pokoju. W środku panowała ciemność i cisza. Pokonałem kilka stopni schodów, przyłożyłem ucho do drzwi. Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszałem szloch — męski, nie kobiecy. Następnie cienki, cichy chichot. A potem chyba silny cios. I cisza.

Zszedłem po schodach i pod drzewami wróciłem do samochodu. Otworzyłem bagażnik i wyjąłem łyżkę do opon. Wracałem pod drzwi pokoju równie ostrożnie jak poprzednio, a nawet jeszcze ostrożniej. Znowu nasłuchiwałem. Cisza. Nic. Spokojna noc. Wyjąłem latarkę, rzuciłem snop światła na szybę i odskoczyłem od drzwi. Przez kilka minut nic się nie działo. Następnie drzwi uchyliły się nieznacznie.

Natarłem na nie silnie ramieniem, aż otwały się na całą szerokość. Mężczyzna poleciał do tyłu, a potem się zaśmiał. W bladym świetle dostrzegłem błysk pistoletu. Uderzyłem go w nadgarstek łyżką do opon. Wrzasnął. Uderzyłem w drugi nadgarstek. Usłyszałem, jak rewolwer uderzył o podłogę.

Sięgnąłem ręką za siebie i zapaliłem światło. Kopnięciem zamknąłem drzwi.

Był to bladolicy rudzielec o martwych oczach. Twarz miał wykrzywioną grymasem bólu, ale oczy wciąż martwe.. Chociaż był ranny, trzymał się twardo.

— Nie pożyjesz długo, synu — powiedział.

— Ty możesz skończyć już teraz. Zjeżdżaj!

Udało mu się zaśmiać.

— Nogi masz na razie zdrowe — powiedziałem. — Zegnij je w kolanach i połóż się twarzą do ziemi. Jeżeli zależy ci na tym, żeby mieć twarz.

Próbował mnie opluć, ale się zakrztusił. Osunął się na kolana, wyciągając ramiona do przodu. Teraz zaczął jęczeć. Nagle skulił się. Bywają cholernie twardzi, dopóki mają znaczony karty. A potrafią grać tylko znaczonymi.

Goble leżał na łóżku. Jego twarz pokrywała gęsta mozaika sińców i zadrapań. Miał złamany nos. Był nieprzytomny i oddychał jak na pół uduszony.

Rudy pozostawał nadal wyeliminowany, pistolet leżał przy nim na podłodze. Wyciągnąłem mu pasek ze spodni i związałem nogi w kostkach. Potem odwróciłem go i przeszukałem kieszenie. Miał portfel, a w nim sześćset siedemdziesiąt dolarów, prawo jazdy na nazwisko Richard Harvest i adres hoteliku w San Diego. W notesie znalazłem ponumerowane czekki co najmniej dwudziestu różnych banków i plik kart kredytowych. Ale zezwolenia na broń nie było.

Zostawiłem go tam, gdzie leżał, i poszedłem do recepcji. Wcisnąłem przycisk nocnego dzwonka i długo dzwoniłem. Po chwili z mroku wynurzyła się jakaś postać. Był to Jack, w szlafroku i piżamie. W ręce wciąż trzymałem łyżkę do opon.

Wyglądał na zdziwionego.

— Czy coś się stało, panie Marlowe?

— Nic takiego. Zostałem w swoim pokoju jakiegoś bandziora, który czekał na mnie, żeby mnie zabić. A na moim łóżku leżał poharatany facet. Nic się nie stało. To chyba normalne w tych stronach, co?

— Wezwę policję.

— To byłoby bardzo uprzejme z twojej strony, Jack. Jak widzisz, jeszcze żyję. Wiesz, co powinniście zrobić z tym motelem? Powinniście go przerobić na przychodnię dla zwierząt.

Otworzył drzwi i wszedł do recepcji. Kiedy usłyszałem, że połączył się z policją, wróciłem do pokoju. Rudy nie stracił pary. Udało mu się usiąść pod ścianą. Wzrok miał wciąż martwy, a usta wykrzywione w uśmiechu.

Podszedłem do łóżka. Goble miał otwarte oczy.

— Nie dałem rady — wyszeptał. — Nie jestem już taki dobry, jak myślałem. Odpadłem z pierwszej ligi.

— Gliny już jadą. Jak to się stało?

— Sam się w to wpakowałem. Nie mam żalu. Ten facet jest niebezpieczny. Miałem szczęście. Mogę jeszcze oddychać. Kazał mi tu przyjechać. Przygrzał mi, związał, a potem gdzieś wyszedł na chwilę.

— Ktoś musiał go podwieźć. Obok twojego wozu stoi wynajęty samochód od Hertza. Jeżeli zostawił go w Casa, w jaki sposób znalazł się tutaj?

Goble odwrócił powoli głowę i popatrzył na mnie.

— Myślałem, że jestem cwany. Okazuje się, że nie. Teraz chcę tylko wrócić do Kansas City. Mali faceci nie powinni zaczynać z dużymi facetami. Chyba uratowałeś mi życie.

Wtedy przyszła policja.

Najpierw dwóch z wozu patrolowego: sympatyczni, opanowani, poważni mężczyźni, jak zwykle w nieskazitelnych mundurach i jak zwykle o niewzruszonych twarzach. Potem duży, groźny sierżant, który powiedział, że nazywa się sierżant Holzminder i jest sierżantem patrolowym tej zmiany. Spojrzał na rudego i podszedł do łóżka.

— Wezwijcie karetkę — rzucił krótko przez ramię.

Jeden z gliniarzy wyszedł do samochodu. Sierżant pochylił się nad Goblem.

— Co pan ma do powiedzenia?

— Rudy mnie napadł. Zabrał mi forszę. Wsadził mi gnata pod żebro w Casa. Kazał się tu przywieźć. A potem mnie pobił.

— Dlaczego?

Goble westchnął i głowa opadła mu bezwładnie na poduszkę. Albo znowu stracił przytomność, albo udawał. Sierżant wyprostował się i zwrócił do mnie.

— A pan?

— Nie mam nic do powiedzenia. Człowiek, który leży na łóżku, jadł dzisiaj ze mną kolację. Spotkaliśmy się już przedtem parę razy. Przedstawił się jako prywatny detektyw z Kansas City. Nie udało mi się dowiedzieć, czym się tu zajmuje.

— A tamten? — Sierżant wykonał leniwy gest w kierunku rudego, który wciąż szczyrzył zęby w trochę nienaturalnym, epileptycznym uśmiechu.

— Widzę go po raz pierwszy. Nie wiem o nim nic oprócz tego, że czekał tu na mnie z pistoletem.

— To pana łyżka do opon?

— Moja.

Gliniarz z wozu patrolowego wrócił do pokoju i kiwnął głową sierżantowi.

— Jada.

— Więc miał pan przy sobie tę łyżkę — powiedział sierżant chłodno. — Po co?

— Powiedzmy, że miałem przecucie, że ktoś tu na mnie czeka.

— A może nie tyle miał pan przecucie, co raczej pan wiedział, i to wiedział znacznie więcej.

— A może nie będzie mi pan zarzucał kłamstwa, zanim się pan dobrze zastanowi, co pan mówi. I może nie będzie pan taki ostry tylko dlatego, że ma pan sierżanta. I jeszcze coś. Może facet ten jest bandziorem, ale ma dwa złamane nadgarstki, a pan powinien wiedzieć, co to znaczy, sierzancie. Nigdy już nie utrzyma w ręce pistoletu.

— No więc, spiszemy pana za rozmyślne okaleczenie.

— Jak pan sobie życzy, sierzancie.

Przyjechała karetka. Wynieśli najpierw Goble'a, a potem lekarz założył prowizoryczne szyny na ręce rudego. Rozwiązali mu nogi. Spojrzał na mnie i zaśmiał się.

— Następnym razem, przyjacielu, wymyślę coś bardziej oryginalnego. Ale zagrałeś dobrze. Całkiem dobrze.

Wyszedł. Trzasnęły drzwi karetki, a po chwili ucichł także dźwięk syreny. Sierżant usiadł, zdjął czapkę. Wycierał sobie czoło.

— Spróbujmy jeszcze raz — powiedział bezbarwnym tonem. — Od początku. Tak jakbyśmy się dopiero co poznali i próbowali się porozumieć. Co?

— Tak jest, sierzancie. Możemy spróbować. Cieszę się, że daje mi pan szansę.

## 23

W końcu wylądowałem z powrotem na posterunku. Kapitana Alessandro nie było. Musiałem podpisać protokół zeznania przed sierżantem Holzminderem.

— Łyżka do opon, no, no — powiedział z namysłem. — Ryzykant z pana, panie Marlowe. On przecież mógł pana zastrzelić co najmniej pięć razy, zanim by się pan zamachnął.

— Nie sądzę, sierzancie. Dość mocno stuknąłem go drzwiami. I nie zamachnąłem się z całej siły. Poza tym może on wcale nie miał mnie zastrzelić. Nie wydaje mi się, żeby działał na własną rękę.

Opowiadałem jeszcze trochę na tę samą melodię i zostałem zwolniony. O tej porze można już tylko iść do łóżka, było za późno na rozmowy z kimkolwiek. Mimo to udałem się przed budynek poczty, zamknąłem się w jednej z dwóch zgrabnych budek i nakręciłem numer Casa del Poniente.

— Proszę z panną Mayfield. Betty Mayfield. Pokój 1224.

— Nie wolno mi łączyć z gośćmi o tak późnej porze.

— A to dlaczego? Ma pan może stłuczony nadgarstek? — O, dzisiaj był ze mnie nie lada twardziel. — Myśli pan, że dzwoniłbym, gdyby sprawa nie była pilna?

Połączył mnie. Odezwała się zaspanym głosem.

— Mówi Marlowe. Są pewne kłopoty. Mam przyjść do ciebie, czy ty do mnie?

— Co? Jakie kłopoty?

— Przynajmniej tym razem zdaj się na mnie. Czy mam czekać na ciebie na parkingu?

— Muszę się ubrać. Daj mi chwilę czasu.

Wsiadłem do samochodu i podjechałem przed Casa. Pałem trzeciego papierosa i marzyłem o drinku, kiedy wyszła szybkim krokiem, zbliżyła się bezgłośnie do samochodu i wsiadła.

— O co chodzi, ja o niczym nie wiem — zaczęła, ale jej przerwałem.

— Tylko ty jedna wiesz. I zaraz się od ciebie o tym dowiem. Nie trać czasu na fochy. Tym razem nic z tego.

Ruszyłem szybko przez ciche ulice, zjechałem ze wzgórza, skierowałem się do Rancho Descansado i stanąłem pod drzwiami. Wsiadła bez słowa. Otworzyłem drzwi do pokoju i zapaliłem światło.

— Napijesz się?

— Dobrze.

— Zażywałaś coś?

— Dzisiaj nie, jeżeli masz na myśli pigułki nasenne. Byłam na mieście z Clarkiem i wypiałam mnóstwo szampana. To mi zawsze dobrze robi na sen.

Przygotowałem dwa drinki i postawiłem przed nią szklanekę. Usiadłem i odchyliłem głowę do tyłu.

— Wybacz — powiedziałem — ale jestem trochę zmęczony. Raz na dwa, trzy dni muszę usiąść. Wiem, że jest to oznaka słabości, próbowałem ją zwalczyć, ale nie jestem już taki młody. Mitchell nie żyje.

Wstrzymała oddech, jej ręka zadrżała. Może nawet pobladła, ale nie jestem pewien.

— Nie żyje? — wyszeptała. — Nie żyje?

— Daj sobie spokój. Jak mawiał Lincoln, można nabierać wszystkich detektywów przez jakiś czas, a niektórych detektywów przez cały czas, ale nie można...

— Zamknij się! Zamknij się natychmiast! Co ty sobie wyobrażasz? Że kim ty jesteś, do cholery?

— Facetem, który bardzo się starał wyświadczyć ci jakąś przysługę. Facetem, który ma wystarczająco dużo doświadczenia i rozumie dość dużo, żeby wiedzieć, że się w coś wplątałaś. I chciał pomóc ci wyplątać się z tego, mimo braku pomocy z twojej strony.

— Mitchell nie żyje — powtórzyła cicho, z trudem łapiąc oddech. — Nie chciałam cię urazić. Gdzie to się stało?

— Znalaziono jego wóz porzucony w miejscu, którego chyba nie znasz. Około trzydziestu kilometrów w głąb łądu, na prawie nieuczęszczanej drodze. To miejsce nazywa się Los Penasquitos Canyon. Zupełne pustkowie. W samochodzie nic nie było, żadnych walizek. Po prostu pusty samochód stojący na poboczu drogi, którą nikt nie jeździ.

Spojrzała na swojego drinka i pociągnęła zdrowy łyk.

— Powiedziałeś, że on nie żyje.

— Wydaje się, jakby to było parę tygodni wstecz, ale to zaledwie kilka godzin temu przyszedł tutaj proponując mi ekskluzywne życie w najlepszej dzielnicy Rio, jeżeli pomogę ci pozbyć się jego ciała.

— Ale tam nie było... to znaczy, chyba mi się przyśniło...

— Droga pani, przysłała pani tutaj o trzeciej nad ranem w stanie bliskim szoku. Opisała pani dokładnie, gdzie leżał i jak leżał, na leżance na balkonie. Więc poszedłem tam z panią, wspiałem się po schodach przeciwpożarowych zachowując najdalej idącą ostrożność, z której słynie moja profesja. Mitchella nie było, a panienka śpi sobie w łóżeczku przytulona do pigułeczki nasennej.

— Dalej, baw się dalej — odcięła się. — Wiem, że to lubisz. Dlaczego sam się do mnie nie przytuliłeś? Może nie byłaby mi wtedy potrzebna pigułka nasenna?

— Nie wszystko naraz, jeśli pozwolisz. Po pierwsze, kiedy tutaj przyszedł, mówiłaś prawdę. Mitchell leżał nieżywy na twoim balkonie. Ale ktoś usunął stamtąd jego ciało, podczas gdy ty byłaś tutaj i robiłaś mnie w konia. Ktoś wsadził go do jego własnego samochodu, spakował jego walizki i zaniósł je na dół. Na to wszystko trzeba było czasu. I nie tylko czasu. Dużo pomyślunku. No, a kogo byłoby stać na coś takiego, tylko po to, żeby oszczędzić ci nieco kłopotliwego obowiązku zawiadamiania, że znalazłaś zwłoki na swoim balkonie?

— Och, zamknij się już! — Skończyła drinka i odstawiła szklanę. — Jestem zmęczona. Mogę położyć się na twoim łóżku?

— Możesz, pod warunkiem, że się rozbierzesz.

— W porządku, rozbiorę się. Od początku o to ci chodziło, prawda?



— To łóżko może ci się nie spodobać. Dziś w nocy został na nim pobity Goble przez najemnego mordercę nazwiskiem Harvest, Richard Harvest. Potraktowano go naprawdę brutalnie. Pamiętasz Goble'a? Taki tłusty gość w małym, ciemnym samochodzie, który nas śledził na wzgórzu któregoś wieczoru.

— Nie znam żadnego Goble'a. Ani Richarda Harvesta. Skąd ty to wszystko wiesz? Co oni robili w twoim pokoju?

— Harvest czekał na mnie. Kiedy się dowiedziałem, że znaleźli wóz Mitchella, miałem złe przeczucie. Przeczucia zdarzają się nawet generałom i innym ważnym osobistościom. Dlaczego mnie nie miałyby się przydarzyć? Rzecz w tym, żeby wiedzieć, kiedy się nimi kierować. Dzisiaj, to znaczy wczoraj, miałem szczęście. Kierowałem się przeczuciem. On miał pistolet, ale ja miałem łyżkę do opon.

— Ależ z ciebie wielki, mocarny i niepokonany samiec — powiedziała z goryczą. — Nie mam zastrzeżeń do łóżka. Czy już się rozbierać?

Podszedłem do niej, postawiłem ją na nogi i mocno potrząsnąłem.

— Przestań pleść bez sensu, Betty. Jeżeli nabiorę ochoty na twoje piękne, białe ciało, to dopiero wtedy, kiedy przestaniesz być moją klientką. Chcę wiedzieć, czego się boisz. Jak, do cholery, mogę ci pomóc, jeżeli tego nie wiem? Tylko ty możesz mi powiedzieć.

Zaczęła szlochać w moich ramionach.

Kobiety dysponują niewielką ilością środków obrony, ale przy pomocy tych, którymi dysponują, potrafią dokonywać cudów.

Objąłem ją mocno.

— Możesz bez końca płakać i szlochać, Betty. Proszę bardzo, płacz, ja poczekam, jestem cierpliwy. Gdybym nie był cierpliwy... do cholery, gdybym nie był cierpliwy...

Dalej nie dało rady. Przywarła do mnie cała drżąca. Uniosła twarz do góry i przyciągnęła mnie do siebie tak, że zacząłem ją całować.

— Czy jest jakaś inna kobieta? — zapytała cicho między moimi wargami.

— Była.

— Jakaś niezwykła?

— Była kiedyś, krótko. Ale to było bardzo dawno temu.

— Weź mnie. Jestem twoja... cała twoja. Weź mnie.

Zbudziło mnie walenie do drzwi. Otworzyłem oczy ogłupiały. Przyłgnęła do mnie tak ciasno, że ledwo mogłem się poruszyć. Delikatnie wyzwoliłem się z jej uścisku. Wciąż spała głęboko.

Wszedłem z łóżka, włożyłem szlafrok i zbliżyłem się do drzwi. Nie otwierałem.

— O co chodzi? Jeszcze śpię.

— Kapitan Alessandro wzywa pana natychmiast do siebie. Proszę otworzyć.

— Przykro mi, ale nie mogę. Muszę się jeszcze ogolić, wziąć prysznic i tak dalej.

— Otworzyć. Jestem sierżant Green.

— Przykro mi, sierżancie. Niestety nie mogę. Ale stawię się natychmiast, jak tylko będę gotowy.

— Czy jest u pana kobieta?

— Sierżancie, tego typu pytania są nie na miejscu. Powiedziałem, że przyjdę.

Słyszałem, jak schodzi z werandy. Słyszałem czyjś śmiech. Słyszałem, jak jakiś głos powiedział: —To musi być bogaty facet. Ciekawe, co robi, kiedy ma wolne.

Słyszałem, jak odjeżdża wóz policyjny. Poszedłem do łazienki, wziąłem prysznic, ogoliłem się i ubrałem. Betty wciąż jeszcze leżała wciśnięta w poduszkę. Napisałem kartkę i położyłem obok, na swojej poduszce. „Wzywają mnie gliny. Muszę iść. Mój wóz jest tam, gdzie zawsze. Zostawiam ci kluczyki”.

Wszedłem cicho, zamknąłem drzwi i odszukałem wynajęty samochód Harvesta. Wiedziałem, że kluczyki będą w środku. Specjaliści typu Richarda Harvesta nie zwracają sobie głowy kluczykami. Noszą przy sobie całe zestawy do różnych rodzajów wozów.

Kapitan Alessandro wyglądał dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Zawsze będzie wyglądał tak samo. Był z nim mężczyzna w podeszłym wieku, o kamiennej twarzy i złym spojrzeniu.

Kapitan Alessandro ruchem głowy wskazał mi to samo krzesło, co poprzednio. Wszedł mundurowy policjant i postawił przede mną filiżankę kawy. Wychodząc posłał mi chytry uśmiech.

— Panie Marlowe, to jest pan Henry Kinsolving z Westfield, w Północnej Karolinie. Nie wiem, jak tutaj trafił, ale trafił. Twierdzi, że Betty Mayfield zamordowała jego syna.

Nie odzywałem się. Nie miałem nic do powiedzenia. Małymi łykami popijałem kawę, która była całkiem dobra tyle że za gorąca.

— Czy zechciałby pan poinformować nas o tym nieco dokładniej, panie Kinsolving?

— Kto to jest? — jego głos był równie ostry jak wyraz twarzy.

— Prywatny detektyw Philip Marlowe. Przyjechał tu z Los Angeles. Betty Mayfield jest jego klientką. Wygląda na to, że mają panowie odmienne zdania na temat panny Mayfield.

— Nie mam na jej temat żadnego zdania, kapitanie — powiedziałem. — Czasami lubię ją po prostu poszczypać. Wpływa to na mnie kojąco.

— Lubi pan znajdować ukojenie w ramionach zabójczyni? — warknął na mnie Kinsolving.

— Nie wiedziałem, że jest zabójczynią, panie Kinsolving. To coś nowego. Czy mógłby pan wyrażać się nieco jaśniej?

— Dziewczyna, która nazywa się Betty Mayfield — a jest to jej nazwisko panięskie — była żoną mego syna, Lee Kinsolvinga. Nigdy nie pochwalałem tego małżeństwa. To był jeden z tych wojennych idiotyzmów. Mój syn doznał podczas wojny złamania kręgosłupa szyjnych i musiał nosić kołnierz dla ochrony kręgosłupa. Którejś nocy ona zabrała mu ten kołnierz i drażniła go tak długo, aż się na nią rzucił. Niestety, po powrocie do domu syn dużo pił i zdarzały się między nimi kłótnie. Potknął się i upadł na łóżko. Kiedy wszedłem do pokoju, ona próbowała założyć synowi kołnierz na szyję. Ale on już nie żył.

Spojrzałem na kapitana Alessandro.

— Czy pan to nagrywa, kapitanie?

Kiwnął głową potakująco. — Każde słowo.

— W porządku, panie Kinsolving. Domyślam się, że na tym nie koniec.

— Oczywiście, że nie. Mam poważne wpływy w Westfield. Jestem właścicielem banku, gazety centralnej i znacznej części przemysłu. Mam wielu przyjaciół w Westfield. Moja synowa została aresztowana i poddana śledztwu pod zarzutem zabójstwa. Ława przysięgłych uznała ją winną.

— Czy sąd składał się wyłącznie z mieszkańców Westfield, panie Kinsolving?

— Owszem. Dlaczego miałyby być inaczej?

— Nie wiem, sir. Ale wydaje mi się, że to miasto należy do jednej osoby.

— Niech pan nie próbuje być bezczelny, młody człowieku.

— Przepraszam. Proszę mówić dalej.

— W naszym stanie, podobnie jak, o ile wiem, w kilku innych stanach, obowiązuje taki przepis, że obrońca wnosi zazwyczaj automatycznie o wyrok uniewinniający, który w równie automatyczny sposób jest odrzucany. W moim

stanie sędzia może zastrzec sobie prawo do ogłoszenia swojej decyzji po wydaniu orzeczenia przez ławę przysięgłych. Sędzia, który przewodniczył rozprawie, był stetryczalym starcem. I skorzystał z tego prawa. A kiedy ława wydała wyrok skazujący, on w długiej mowie stwierdził, że nie rozważono takiej możliwości, że mój syn wpadłszy w furję w stanie upojenia alkoholowego sam zdjął kołnierz, żeby przestraszyć swoją żonę. Powiedział, że przy tak dużej niezgodności małżonków wszystko było możliwe oraz że ława nie wzięła pod uwagę takiej ewentualności, że moja synowa mogła postąpić dokładnie tak, jak zeznawała, czyli że próbowała założyć kołnierz na szyję mego syna. Odrzucił wyrok ławy i zwolnił oskarżoną. Oświadczyłem jej, że ponieważ zamordowała mego syna, dopilnuję, że nie znajdzie takiego miejsca na ziemi, gdzie będzie mogła się ukryć. Dlatego tu przyjechałem.

Spojrzałem na kapitana. Patrzył pusto przed siebie.

— Panie Kinsolving — odezwałem się — bez względu na pańskie osobiste przekonanie, pani Kinsolving, znana mi jako Betty Mayfield, została przez sąd uniewinniona. Nazwał ją pan zabójczynią. Jest to pomówienie. Myślę, że zgodzimy się na milion dolarów.

Zaśmiał się sztucznie, niemal groteskowo.

— Ty małomiasteczkowa pluskwo! — wrzasnął piskliwie, — W moim mieście poszedłbyś do pudła za włóczęgostwo,

— Powiedzmy milion i ćwierć — powiedziałem. — Nie jestem tak wartościowy jak pańska eks synowa.

Kinsolving zwrócił się do kapitana Alessandro.

— Co tu się dzieje? — zawył. — Czy wszyscy jesteście bandą płatnych przestępców?

— Mówi pan do oficera policji, panie Kinsolving.

— Nie obchodzi mnie, kim pan jest! — wrzeszczał Kinsolving z furją. — Nie brakuje przekupnych policjantów.

— Zanim zarzuci im pan przekupstwo, zawsze lepiej się co do tego upewnić — odparł Alessandro, nieomal rozbawiony. Potem przypalił sobie papierosa i uśmiechnął się wydmuchując dym.

— Powoli, panie Kinsolving. Jest pan typem zawałowca. Prognozy ma pan słabe. Podniecenie panu szkodzi. Studiowałem kiedyś medycynę. Tak się jakoś złożyło, że skończyłem w policji. To chyba przez tę wojnę.

Kinsolving wstał. Ślina ciekła mu po brodzie. Z gardła wydobywał się zduszony charkot.

— Jeszcze pogadamy.

Alessandro pokiwał głową.

— Jedną z ciekawych stron pracy w policji jest to, że nigdy nie załatwia się spraw do końca. Pozostaje jeszcze wiele niedokończonych wątków. Czego się pan po mnie spodziewa? Że tylko dlatego, iż jest pan grubą rybą w Westfield w Karolinie, aresztuję osobę, którą sąd uznał za niewinną?

— Przysiągłem jej, że nie pozwolę jej zaznać spokoju — rzucił Kinsolving wściekle. — Dopadnę ją wszędzie, choćby na końcu świata. I postaram się, żeby wszyscy się dowiedzieli, kim jest ta dziewczyna.

— A kim ona jest, panie Kinsolving?

— Morderczynią, która zabiła mi syna i została wypuszczona na wolność przez zidiociałego sędziego!

Kapitan Alessandro wstał i wyprostował się na całą swoją wysokość metr dziewięćdziesiąt.

— Zjeżdżaj pan stąd! — powiedział zimno. — Działa mi pan na nerwy. Spotykałem już w życiu różnych drani. Przeważnie były to biedne, zacofane szczeniaki. Ale po raz pierwszy widzę wielkiego, dorosłego ważniaka, który jest równie głupi i wredny jak młodociany przestępca. Westfield w Północnej Karolinie może należeć do pana, chociaż prawdopodobnie tak się panu tylko wydaje. W moim mieście nie należy do pana nawet pet wyplutego na ulicę cygara. Spadaj pan, zanim dosięgnie pana ręka sprawiedliwości za utrudnianie wykonywania obowiązków służbowych funkcjonariuszowi policji.

Kinsolving wpadł na drzwi łapiąc za klamkę, chociaż drzwi były otwarte szeroko. Alessandro odprowadził go wzrokiem. Usiadł powoli.

— Ostro pan zagrał, kapitanie.

— Serce mi się kraje. Jeżeli cokolwiek z tego, co powiedziałem, sprawi, że on spróbuje się nad sobą zastanowić... a zresztą pies go drapał.

— On chyba nie z tych. Czy mogę już iść?

— Tak. Goble nie wnosi oskarżenia. Wyjeżdża dzisiaj do Kansas City. Znajdziemy coś na tego Harvesta, ale na niewiele się to zda. Na jakiś czas się go przyknie, ale są setki innych jemu podobnych, którzy tylko czekają na taką robotę.

— A co pan zamierza zrobić z Betty Mayfield?

— Coś mi się wydaje, że pan już to zrobił — powiedział z kamiennym wyrazem twarzy.

— Najpierw muszę się dowiedzieć, co stało się z Mitchellem — odparłem równie niewzruszonym tonem.

— Wiem tylko tyle, że wyjechał. A to jeszcze nie jest sprawa dla policji.

Wstałem. Wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Wyszędłem.

25

Wciąż spała. Moje przyjście nie obudziło jej. Spała jak dziewczynka, bezgłośnie, spokój malował się na jej twarzy.

Przez chwilę przyglądałem się jej, zapaliłem papierosa i wyszedłem do kuchni. Wstawiłem kawę do zaparzenia w tandetnym ekspresie z cienkiego jak papier aluminium, stanowiącym wyposażenie mieszkania, wróciłem do pokoju i usiadłem na łóżku. Moja kartka nadal leżała na poduszce, a obok niej kluczyki do samochodu.

Potrząsnąłem nią delikatnie, otworzyła oczy i zamrugła.

— Która godzina? — spytała wyciągając do góry nagie ramiona. — Boże, spałam jak kamień.

— Czas wstawać. Nastawiłem kawę. Byłem na policji, wezwali mnie. Przyjechał pani teść, pani Kinsolving.

Usiadła gwałtownie i spojrzała na mnie wstrzymując oddech.

— Dostał niezły wycisk od kapitana Alessandro. Nie zrobi ci już krzywdy. Czy tego właśnie cały czas się bałaś?

— Czy powiedział... czy mówił coś o tym, co się stało w Westfield?

— Właśnie po to tu przyjechał. Jest tak wściekły, że gotów sobie przegryźć gardło. I co z tego? Przecież ty tego nie zrobiłaś, prawda? Nie zrobiłaś tego, co ci zarzucali?

— Nie zrobiłam. — Utkwiła we mnie rozognione oczy.

— Nawet gdybyś to zrobiła, to i tak nie miałoby teraz żadnego znaczenia. Tyle, że nie czułbym się może najlepiej z powodu dzisiejszej nocy. W jaki sposób Mitchell się dowiedział?

— Chyba tam akurat był albo gdzieś w pobliżu. Boże, gazety rozpisywały się o tym przez kilka tygodni. Bez trudu mógł mnie rozpoznać. A tutaj o tym nie pisali?

— Powinni, choćby z powodu tej zawilości proceduralnej. Ale nawet jeżeli pisali, to nie zwróciłem na to uwagi. Kawa powinna już być gotowa. Jaka pijesz?

— Czarną, bez cukru.

— To dobrze. Nie mam ani śmietanki, ani cukru. Dlaczego przybrałaś nazwisko Eleanor King? Albo nie, nie musisz mi mówić. Głupiec ze mnie. Przecież stary Kinsolving znał twoje panięskie nazwisko.

Wyszedłem do kuchni, zdjąłem górną część ekspresu i rozlałem kawę do dwóch filiżanek. Zaniósłem jej do łóżka. Sam usiadłem na krześle. Nasze oczy spotkały się. Znowu byliśmy sobie obcy.

Odstawiła filiżankę.

— Dobrze było. Czy możesz się odwrócić? Chciałabym się ubrać.

— Jasne. — Wziąłem ze stołu paperbacka i udawałem, że czytam. Książka opowiadała o jakimś prywatnym detektywie, którego podniecał widok wiszących pod prysznicem nagich zwłok kobiety ze śladami tortur. W międzyczasie Betty weszła do łazienki. Wrzuciłem książkę do kosza. Przyszło mi do głowy, że są dwa rodzaje kobiet, z którymi można się kochać. Jedne, jak Helen Vermilyea, oddają się tak bezgranicznie, że zapominają o swoim ciele. Inne zachowują pełną świadomość i zawsze chcą coś zakryć. Pamiętam taką dziewczynę z opowiadania Anatola France'a, która koniecznie musiała zdjąć pończochy. W pończochach czuła się jak dziwka. I miała rację.

Betty wyszła z łazienki i wyglądała świeżo jak pączek róży; nienaganny makijaż, płonące spojrzenie, każdy włos na swoim miejscu.

— Czy możesz mnie odwieźć do hotelu? Muszę się rozmówić z Clarkiem.

— Zakochałaś się w nim?

— Myślałam, że zakochałam się w tobie.

— To był taki nocny krzyk — powiedziałem. — Nie przeceniajmy go. W kuchni jest jeszcze kawa.

— Nie, dziękuję. Najpierw chcę zjeść śniadanie. Czy nigdy nie byłeś zakochany? To znaczy tak, żebyś chciał być z kobietą codziennie, na całe miesiące, na całe lata?

— Chodźmy już.

— Skąd u takiego bezwzględного faceta tyle delikatności? — spytała z namysłem.

— Gdybym nie był bezwzględny, to już dawno bym nie żył. Gdybym nie potrafił być delikatny, nie zasługiwałbym na to, żeby żyć.

Podaliśmy jej płaszcz i wyszliśmy do samochodu. Przez całą drogę do hotelu milczała. Kiedy zajechaliliśmy na miejsce i kiedy wsunąłem się w tę zatokę do parkowania co zawsze, wyjąłem z kieszeni pięć złożonych czeków i podałem jej.

— Miejmy nadzieję, że to już po raz ostatni przekładamy je sobie z ręki do ręki — powiedziałem. — Zużywają się w ten sposób.

Spojrzała na czeki, ale ich nie wzięła.

— Sądziłam, że to twoje honorarium — odparła dość ostrym tonem.

— Nie drocz się ze mną, Betty. Wiesz doskonale, że nie mogę przyjąć od ciebie żadnych pieniędzy.

— Z powodu tej nocy?

— Nie ma żadnego powodu. Po prostu nie mogę i tyle. W niczym ci nie pomogłem. Co teraz ze sobą zrobisz? Dokąd pojedziesz? Już ci nic nie grozi.

— Nie mam pojęcia. Coś wymyślę.

— Kochasz się w Brandonie?

— Może?

— To były kryminalista. Wynajął za pieniądze rewolwerowca, żeby postraszył Goble'a. Rewolwerowiec miał zamiar mnie zabić. Czy naprawdę mogłabyś kochać takiego faceta?

— Kobieta kocha mężczyznę. A nie to, czym on jest. Poza tym wcale nie musiało mu o to chodzić.

— Do widzenia, Betty. Dałem z siebie, co mogłem, ale to było za mało.

Wyciągnęła powoli rękę i wzięła czeki.

— Myślę, że jesteś nienormalny. Największy wariat, jakiego spotkałam.

Wysiadła z samochodu i oddaliła się szybkim krokiem, jak zawsze.

## 26

Odczekałem, aż zajedzie do pokoju, po czym sam wszedłem do hotelu i poprosiłem o połączenie z pokojem pana Clarka Brandona. Minał mnie Javonen, posłał mi twarde spojrzenie, ale nic nie powiedział.

W słuchawce usłyszałem męski głos, głos Brandona.

— Panie Brandon, pan mnie nie zna, chociaż jechaliśmy kiedyś razem windą. Nazywam się Philip Marlowe. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles. Jestem także znajomym panny Mayfield. Chciałbym z panem pomówić, jeżeli znalazłby pan dla mnie chwilę czasu.

— Wydaje mi się, że już o panu słyszałem, Marlowe. Niestety, teraz właśnie wychodzę. Może umówimy się na drinka około szóstej wieczorem?

— Chcę już wracać do Los Angeles. Nie zajmę panu wiele czasu.

— Niech będzie — zgodził się niechętnie. — Proszę na górę.

Otworzył mi drzwi. Rosły, muskularny mężczyzna w świetnej kondycji. Nie był ani groźny, ani łagodny. Nie podał mi ręki. Przepuścił mnie i wszedłem do środka.

— Czy jest pan sam, panie Brandon?

— Oczywiście. Dlaczego pan pyta?



— Nie chciałbym, żeby to, co mam do powiedzenia, dotarło do kogoś poza panem.

— Niech pan mówi.

Usiadł w fotelu, opierając nogi na kanapie. Złotą zapalniczką przypalił papierosa ze złotym ustnikiem. Duża klasa.

— Znalazłem się tutaj z polecenia adwokata z Los Angeles w celu śledzenia panny Mayfield. Miałem ustalić i zameldować, dokąd udała się panna Mayfield. Nie wiedziałem, jaki jest cel tej operacji, a mój zleceniodawca zapewnił mnie, że również nie wie, ponieważ sam działa z kolei z polecenia cenionej firmy adwokackiej z Waszyngtonu.

— No dobrze, śledził ją pan. Co z tego?

— To, że nawiązała kontakt z Larry Mitchellem czy raczej on nawiązał z nią kontakt. Miał na nią jakiegoś haka.

— Nie na nią jedną — przerwał Brandon chłodno. — To była jego specjalność.

— Ale już się w tym nie specjalizuje, prawda?

Zmierzył mnie beznamiętnym, spokojnym spojrzeniem.

— Co pan ma na myśli?

— Że już się niczym nie zajmuje. Bo go nie ma.

Słyszałem, że opuścił hotel i wyjechał swoim wozem. Co to ma wspólnego ze mną?

— Nie pyta pan, skąd wiem, że go już nie ma?

— Słuchaj pan, panie Marlowe. — Pogardliwym gestem strząsnął popiół z papierosa. — Nie pytam, bo mnie to nie obchodzi. Przejdź pan do tematu, który mnie dotyczy, albo wynoś się pan.

— Spotkałem tutaj także, jeżeli spotkanie to właściwe słowo, niejakiego Goble'a, który twierdził, że jest prywatnym detektywem z Kansas City, i posiadał legitymację, która mogła o tym świadczyć lub nie. Goble napsuł mi niemało krwi. Wciąż się za mną włóczył. Opowiadał różne rzeczy o Mitchellu. Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Potem, pewnego dnia, odebrał pan w recepcji anonimowy list. Widziałem, jak czytał go pan kilka razy. Zapytał pan recepcjonistę, kto go zostawił. Recepcjonista nie potrafił odpowiedzieć. Wyjął pan nawet pustą kopertę z kosza na śmieci. A kiedy wszedł pan do windy, nie wyglądał pan na zadowolonego.

Brandon nie był już teraz taki opanowany. Ton jego głosu nieco się zaostriżył.

— Za dużo pan węszy, panie detektyw. Zastanawiał się pan kiedyś nad tym?

— Głupie pytanie. Jak inaczej zarobiłbym na życie?

— Zjeżdżaj pan stąd, póki może pan jeszcze chodzić.

Roześmiałem mu się w twarz i to go dopiero ruszyło.

Zerwał się na równe nogi i podszedł do mnie wielkimi krokami.

— Słuchaj, przyjacielu. W tym mieście ludzie się ze mną liczą. I żaden nędzny kapuś nie będzie mi tu zawracał głowy. Jazda stąd!

— Nie chce mnie pan wysłuchać do końca?

— Powiedziałem, jazda!

Podniosłem się.

— Szkoda. Zamierzałem załatwić to z panem osobiście, w cztery oczy. I myli się pan sądząc, że mam zamiar pana straszyć jak Goble. Ja się tym nie zajmuję. Ale skoro wyprasza mnie pan, nie wysłuchawszy do końca, będę zmuszony udać się do kapitana Alessandro. On mnie wysłucha.

Przez dłuższą chwilę stał patrząc na mnie spode łba. Potem na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiezek.

— Wysłucha? I co z tego? Wystarczy jeden mój telefon, żeby dostał przeniesienie.

— Nie sądzę. Nie w przypadku kapitana Alessandro. Jego niełatwo złamać. Zdenerwował się dzisiaj na pana Kinsolvinga. A Henry Kinsolving nie jest przyzwyczajony do tego, żeby ktokolwiek się na niego denerwował. Alessandro załatwił go odmownie jednym celnym zdaniem. To nie jest facet, którego mógłby pan zmusić, żeby cicho siedział. Nigdy w życiu.

— Rany Boga! — powiedział ciągle się uśmiechając. Miałem kiedyś do czynienia z takimi jak ty. Tak długo już tu jestem, że zapomniałem, że tacy chodzą po świecie. Dobra, gadaj!

Usiadł z powrotem w fotelu, wyjął z papierošnicy następnego papierosa ze złotym ustnikiem i zapalił.

— Papierosa?

— Dziękuję. Jeżeli chodzi o tego Richarda Harvesta, to wydaje mi się, że to był błąd. On się nie nadawał do tej roboty.

— Zgadza się. Tępy sadysta. Tak bywa, kiedy człowiek nie ma już kontaktów. Traci się właściwe rozeznanie. Mógł temu Goble'owi pogonić kota nie dotykając go palcem. I jeszcze zabrał go do twojego pokoju. Beznadziejna amatorszczyzna. A teraz co? Teraz nie nadaje się już do niczego. Może handlować ołówkami. Napijemy się czegoś?

— Nie jestem z panem aż w tak dobrych stosunkach, panie Brandon. Pozwoli pan, że skończę. W środku nocy, tej nocy, kiedy po raz pierwszy rozmawiałem z Betty Mayfield, tej samej nocy, kiedy wyrzucił pan Mitchella ze Szklanej Sali

— i przyznaję, że zrobił pan to w ładnym stylu, Betty zjawiała się w moim pokoju w Rancho Descansado, które, jak przypuszczam, również należy do pana. Powiedziała mi, że Mitchell nie żyje, a jego ciało leży na balkonie jej pokoju. Obiecywała mi różne cuda w zamian za to, żebym coś z nim zrobił. Przyszedłem tutaj i nie zastałem na balkonie żadnego nieboszczyka. Następnego dnia rano od garażowego z nocnej zmiany dowiedziałem się, że Mitchell wyjechał swoim wozem, zabierając dziewięć sztuk bagażu i płacąc rachunek za tydzień z góry. Tego samego dnia znaleziono jego samochód porzucony w Los Penasquitos Canyon. Nie było w nim ani Mitchella, ani walizek.

Brandon patrzył na mnie twardo, w milczeniu.

— Dlaczego Betty Mayfield bała się powiedzieć, czego się boi? Bo była oskarżona o morderstwo w Westfield, w Północnej Karolinie, a potem wyrok został zmieniony przez sędziego, który posiada w tym stanie takie uprawnienia i postanowił z nich skorzystać. Ale Henry Kinsolving, ojciec jej męża, o którego morderstwo ją oskarżono, obiecał jej, że będzie ją ścigał wszędzie, gdziekolwiek się uda, i że postara się o to, by nigdzie nie zaznała chwili spokoju. A tu, proszę, dziewczyna znajduje zwłoki na balkonie swojego pokoju. Gliny prowadzą dochodzenie i wszystko wychodzi na jaw. Jest przerażona i zagubiona. Nie wierzy, żeby mogło jej się udać po raz drugi. Bo przecież ława przysięgłych uznała ją winną.

Brandon odezwał się cicho:

— Skręcił sobie kark. Wypadł przez barierę z mojego tarasu. Ona nie potrafiłaby skręcić mu karku. Chodźmy, pokażę panu.

Wyszliśmy na rozległy, słoneczny taras. Brandon podszedł do bariery, a ja spojrzałem w dół przez poręcz i zobaczyłem tuż pod sobą leżankę na balkonie Betty Mayfield.

— Bariera nie jest zbyt wysoka — powiedziałem. — Jest niebezpiecznie niska.

— Owszem — zgodził się Brandon spokojnie. — On stał chyba tutaj. — Ustawił się tyłem do bariery i jej poręcz wypadała mniej więcej w połowie jego uda. A Mitchell też był wysoki. — Czekał, aż Betty podejdzie na tyle blisko, żeby mógł ją złapać, ona go pchnęła i wypadł. Czysty przypadek sprawił, że spadając skręcił sobie kark. Dokładnie tak samo zginął jej mąż. Czy może pan mieć dziewczynie za złe, że wpadła w panikę?

— Nie jestem przekonany, czy mam komukolwiek za złe, panie Brandon. Nawet panu.

Odsunął się od bariery i przez chwilę patrzył w milczeniu w kierunku morza.

— Z wyjątkiem tego — dodałem — że udało się panu pozbyć ciała Mitchella.

— A jakim cudem miałbym to zrobić, do cholery?

— Między innymi jest pan również rybakiem. Założę się, że ma pan w mieszkaniu długą, mocną żyłkę. Mężczyzna tak silny jak pan potrafiłby spuścić się na balkon Betty, zawiązać żyłkę pod pachami Mitchella i rzucić go na ziemię w krzaki. Następnie, wyjąwszy mu z kieszeni klucze od pokoju, spakować jego bagaż i znieść do garażu, windą, albo schodami przeciwpożarowymi. Trzeba było wykonać trzy kursy. Dla pana to nie jest zadanie ponad siły. Potem mógł pan wyprowadzić jego wóz z garażu. Wiedział pan zapewne, że stróż jest narkomanem i że nie puści farby wiedząc, że pan wie. To się działo tuż nad ranem. Oczywiście garażowy skłamał podając mi godzinę. Następnie mógł pan podjechać wozem po ciało Mitchella, załadować je do środka i pojechać do Los Penasquitos Canyon.

Brandon zaśmiał się cierpko.

— I znalazłem się w Los Penasquitos Canyon z samochodem, nieboszczykiem i dziewięcioma walizkami. A jak mam się stamtąd wydostać?

— Helikopterem.

— Pilotowanym przez....?

— Przez pana. Na razie nie pilnują jeszcze prywatnych helikopterów, ale wkrótce zaczną, bo jest ich coraz więcej. Mógł pan wcześniej wezwać helikopter do Los Penasquitos Canyon, ale mógł pan też polecić, żeby ktoś przyjechał i zabrał pilota. Pańska pozycja pozwala na wszystko, Brandon.

— A co potem?

Załadował pan ciało Mitchella i walizki do helikoptera i wyleciał daleko w morze, ustawił pan helikopter nisko nad powierzchnią wody i wtedy wyrzucił ciało i walizki. Polem udał się pan do bazy. Przyjemna, dobrze zaplanowana, czysta robota.

Brandon roześmiał się ochryple — zbyt ochryple. Przez śmiech przebijała nuta przymuszenia.

— I myśli pan, że byłbym aż taki głupi, żeby robić to wszystko dla dziewczyny, którą dopiero co poznałem?

— I owszem. Niech się pan dobrze zastanowi, Brandon. Zrobił pan to dla siebie. Jest przecież jeszcze Goble. Goble pochodzi z Kansas City. A pan?

— No i co z tego?

— Nic. To wystarczy. Goble nie przybył tutaj w celach turystyczno—krajoznawczych. I nie szukał Mitchella. Chyba że poznał go już wcześniej. I

ustalili wspólnie, że trafili na złotą żyłę. Pan był tą złotą żyłą, Brandon. Mitchell zginął, więc Goble próbował działać na własną rękę, ale to była walka myszy z tygrysem. Czy chciałby pan jeszcze wyjaśniać, jak to się stało, że Mitchell wypadł przez taras? Czy chciałby pan, żeby rozgrzebywano pańską przeszłość? Czyż nie byłoby oczywiste dla policji, że to pan wyrzucił Mitchella przez barierę? I nawet gdyby nie udało im się tego udowodnić, to co by pan odtąd znaczył w Esmeralda?

Przeszedł się wolnym krokiem po tarasie. Zatrzymał się przede mną z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Mógłbym kazać pana sprzątnąć, Marlowe. Ale mieszkam tu już tyle lat, że sam nie wiem, dlaczego przestałem być taki. Pana na wierzchu. Żeby się obronić, musiałbym pana sprzątnąć. Mitchell był gnidą, szantażystą kobiet. Nawet gdyby było dokładnie tak, jak pan mówi, nie żałowałbym niczego. Istnieje też taka możliwość, że ja równie nadstawiłem karku za Betty Mayfield. Wątpię, żeby pan uwierzył, ale jest to prawdopodobne. A teraz mów pan ile?

— Za co?

— Za to, że nie pójdzie pan na policję.

— Już powiedziałem. Nic. Chciałem się tylko dowiedzieć, co tu było grane. Czy było mniej więcej tak, jak mówię?

— Dokładnie tak, Marlowe. I nie jest powiedziane, mnie za to nie przymkną.

— Nie jest. Tak, teraz mogę się stąd zabierać. Wracam do Los Angeles. Może dostanę jakąś skromną robótkę. Muszę z czegoś żyć, prawda? .

— Podamy sobie ręce?

— Nie. Wynajął pan płatnego mordercę. To pana wyklucza z kategorii ludzi, którym podaję rękę. Gdyby nie przecucie, już bym dzisiaj nie żył.

— Nie miał nikogo zabijać.

— Ale go pan wynajął. Żegnam.

## 27

Gdy wyszedłem z windy, Javonen chyba już na mnie czekał.

— Chodźmy do baru. — powiedział — Czekałem na pana.

Weszliśmy do baru, w którym o tej porze panowała cisza. Usiedliśmy przy stoliku w rogu. Javonen powiedział cicho:

— Pan mnie uważa za skurwysyna, co?

— Nie. Pan ma swoją robotę, ja swoją. Moja robota się panu nie podobała. Nie miał pan do mnie zaufania. To jeszcze nie świadczy o skurwysyństwie.

— Usiłuję chronić ten hotel. A kogo pan chroni?

— Prawdę mówiąc, nigdy nie wiem na pewno. A kiedy już wiem kogo, to nie wiem jak. Kręcę się w kółko i zawadzam. Często bywam też po prostu niepotrzebny.

— Słyszałem o tym od kapitana Alessandro. Jeżeli nie jest to pytanie zbyt osobiste, niech pan mi powie, ile pan wyciąga na takiej robocie?

— W zasadzie to była trochę nietypowa robota, majorze. W gruncie rzeczy nie wyciągnąłem nic.

— Hotel zapłaci panu pięć tysięcy dolarów za ochronę swoich interesów.

— Hotel to znaczy pan Clark Brandon?

— No tak. On tu jest szefem.

— Pięć kawałków to pięknie brzmi, bardzo pięknie. Będę się wsłuchiwał w to brzmienie w drodze do Los Angeles. — Wstałem od stolika.

— Gdzie mam przesłać czek, Marlowe?

— Fundusz Pomocy dla Policjantów byłby bardzo zobowiązany. Policjanci nie zarabiają zbyt dużo. Kiedy wpadną w tarapaty, zaciągają stamtąd pożyczki. Tak, jestem pewien, że Fundusz Pomocy dla Policjantów byłby panu bardzo wdzięczny.

— A pan nie?

— Był pan majorem wywiadu. Miał pan na pewno niejedną okazję, żeby się dorobić. Ale ciągle pan pracuje. Myślę, że na mnie już czas.

— Posłuchaj pan, Marlowe. Jest pan kompletnym głupcem. Chcę panu powiedzieć...

— Niech pan to zachowa dla siebie, Javonen. Ma pan tu wdzięczne audytorium. Powodzenia.

Opuściłem bar i wsiadłem do wozu. Zajechałem do Descansado, zabrałem bagaż i zatrzymałem się przy recepcji, żeby zapłacić. Jack i Lucille siedzieli tak jak zwykle, Lucille uśmiechnęła się do mnie.

Jack powiedział:

— Nie mam dla pana rachunku, panie Marlowe. Dostałem takie instrukcje. I chcielibyśmy pana gorąco przeprosić za wczorajszą noc. Chociaż przeprosiny niewiele tu pomogą, prawda?

— Jaki powinien być rachunek?

— Nieduży. Jakies dwanaście i pół dolara.

Położyłem pieniądze na blacie. Jack popatrzył na nie i zmarszczył brwi.

— Mówiłem panu, że nie ma żadnego rachunku.

— Dlaczego ma nie być? Zajmowałem przecież pokój.

— Pan Brandon...

— Są ludzie, którzy nigdy się niczego nie nauczą. Cieszę się, że was poznałem. Chciałbym prosić o kwit. Zwracają mi koszty.

## 28

Jechałem do Los Angeles nie więcej niż sto czterdzieści na godzinę. No, może dochodziłem chwilami do stu sześćdziesięciu. Zajechawszy na Yucca Avenue, wstawiłem Oldsa do garażu i zajrzałem do skrzynki na listy. Jak zwykle nic. Wspiąłem się na piętro po długich schodach, drzewa sekwojowego i otworzyłem drzwi. Wszystko bez zmian. Pokój był duszny, ponury i bezosobowy, jak zawsze. Otworzyłem okna i zrobiłem sobie w kuchni drinka. Zjadłem na kanapie i zapatrzyłem się w ścianę. Gdziekolwiek bym nie był, cokolwiek bym nie robił, zawsze tu wracam. Przed pustą ścianą w nijakim pokoju, w nijakim domu.

Odstawiłem nienapoczętego drinka na stolik. Alkohol na to nie pomaga. Zresztą nic nie pomaga oprócz twardego serca, które się niczego od nikogo nie spodziewa.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i rzuciłem bezbarwnym tonem: — Marlowe, słucham.

— Czy pan Philip Marlowe?

— Tak.

— Dzwoniono do pana z Paryża. Za chwilę pana połączę.

Powoli odłożyłem słuchawkę i miałem wrażenie, że ręka lekko mi zadrżała. Albo za szybko jechałem, albo za mało spałem.

Telefon zadzwonił ponownie po piętnastu minutach.

— Paryż na linii. Proszę mówić. W razie zakłóceń proszę wywołać centralę.

— Mówi Linda. Linda Loring. Pamiętasz mnie, prawda, kochanie?

— Jak mógłbym zapomnieć?

— Co u ciebie słychać?

— Jak zwykle, jestem zmęczony. Właśnie wróciłem z dość wyczerpującej roboty. A u ciebie?

— Czuję się samotna. Samotna bez ciebie. Próbowałam o tobie zapomnieć. Nie wyszło. Pięknie się kochaliśmy.

— To było półtora roku temu. I tylko przez jedną noc. Co mam ci powiedzieć?

— Nie zdradziłam cię. Sama nie wiem, dlaczego. Świat jest pełen mężczyzn. A ja byłam ci wierna.

— Ja nie byłem ci wierny, Lindo. Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedyś spotkam. Nie przypuszczałem, że spodziewasz się po mnie wierności.

— Nie spodziewałam się. I nie spodziewam. Próbuję ci tylko powiedzieć, że cię kocham. Chciałabym, żebyś się ze mną ożenił. Mówiłeś, że to nie trwałoby nawet pół roku. Ale słuchaj, dlaczego nie mielibyśmy spróbować? Kto wie, może przetrwałoby na zawsze? Błagam cię. Co ma robić kobieta, żeby zdobyć mężczyznę, którego pragnie?

— Nie wiem. Nie wiem nawet, skąd ona wie, że go pragnie. Żyjemy w dwóch różnych światach. Jesteś bogata, przywykłaś do tego, żeby cię rozpieszczano, ja jestem zmęczonym wyrobnikiem z niepewną przyszłością. Twój ojciec postarałby się zapewne o to, żebyśmy nie mieli żadnej przyszłości.

— Nie boisz się przecież mojego ojca. Ty się nikogo nie boisz. Boisz się tylko małżeństwa. Mój ojciec zna się na ludziach. Och, proszę cię, tak bardzo cię proszę. Jestem u Ritza. Wyślę ci zaraz bilet na samolot.

Roześmiałem się.

— Ty wyślesz mi bilet na samolot? Za kogo mnie bierzesz? To ja tobie wyślę bilet na samolot. Będziesz wtedy miała dość czasu, żeby zmienić zamiar.

— Ależ, kochanie. Nie musisz przysyłać mi biletu. Mam przecież...

— Tak, wiem. Masz dość pieniędzy na pięćset biletów lotniczych. Ale ten jeden jedyny to będzie bilet ode mnie. Albo go przyjmiesz, albo nie przyjeżdżaj.

— Przyjadę, kochany. Na pewno przyjadę. Obejmij mnie. Przytul mnie mocno. Nie chcę cię mieć na własność. Nikt nie będzie cię miał nigdy na własność. Ja tylko chcę cię kochać.

— Zastaniesz mnie tu, jak zwykle.

— Obejmij mnie mocno.

W słuchawce rozległ się trzask, potem odezwał się ciągły sygnał i linia zamilkła.

Sięgnąłem po drinka. Rozejrzałem się po pustym pokoju, który przestał już być pusty. Był w nim głos i piękna, wysoka, smukła kobieta. Ciemnowłosa głowa na poduszce w sypialni. Miękki, delikatny zapach kobiety, która mocno przytula się do ciebie, ma ciepłe, uległe usta i półprzymknięte oczy.

Telefon zadzwonił jeszcze raz.

Podniosłem słuchawkę.

— Tak? — powiedziałem.



— Mówi Clyde Umney, mecenas. Nie otrzymałem jeszcze od pana pełnego sprawozdania. Nie płacę panu za rozrywki. Przyniesie mi pan natychmiast szczegółowy i kompletny raport ze swojej działalności. Żądam dokładnego opisu pańskich czynności od chwili powrotu do Esmeralda.

— Bawiłem się grzecznie na własny koszt.

Zachrypiał cienko:

— Żądam natychmiastowego sprawozdania. W przeciwnym razie dopilnuję, żeby odebrano panu uprawnienia.

— Mam dla pana propozycję, Panie Umney. Niech się pan pocałuje w dupę.

Odkładając słuchawkę usłyszałem jeszcze jego głos zduszony wściekłością. Niemal natychmiast potem telefon znowu zadzwonił.

Ledwo słyszałem. Powietrze przepelnione było muzyką.

KONIEC